



HELENA MNISZKÓWNA

MAGNESY SERC



ROZDZIAŁ I

Okno pracowni Kasi było szeroko otwarte. Wczesny poranek wniknął do pokoju całą gamą woni i blasków.

Kasia oparta o poręcz fotela zapatrzyła się w jasny błękit nieba usiany runami białych obłoków. Przed nią na dużym stole rzucone leżały kartony z planami gmachów, pałaców, domów wiejskich i kamienic piętrowych.

Po chwilowym zamyśleniu wzięła do rąk jeden karton i patrzyła na niego dłużej, z uwagą. Za plan ten otrzymała nagrodę. Ponadto powierzono jej zbudowanie gmachu według tego planu. Dokonała dzieła sumiennie i była z niego naprawdę dumna. Ileż zapału włożyła w tę pracę, ile trudu i pragnień, ile niepewności, czy podoła temu pierwszemu dziełu, które było jej debiutem, uwieńczeniem jej pracy i wytrwałości.

Uśmiechnęła się dodając w myśli i „głupiego uporu” wedle opinii jej rodziny. Upór koleżanki przeistoczył się w dzieło monumentalne — powiedział jej Andrzej Dębosz na uroczystości poświęcenia gmachu.

Widziała teraz postać Dębosa zupełnie wyraźnie.

To był kolega! to człowiek! On rozumiał ją najlepiej. Czyż z jego pochwały nie czuła się najdumniejsza?

Objęła myślą przeżycia z czasów studenckich. Do wspomnień tych, tak niedawnych wracała zawsze z najwyższą radością i tęsknotą.

Wtedy czuła, że żyje.

A teraz?

Jest panią Edwardową z Zahojskich Zebrzydowską, dziedziczką na Kromiłowiu i Pochlebach. Jakaś filisterska obrzydliwa wegetacja. Gorzej bo grzęźnięcie w duchowej nicości. Tępota i szczególne, nieznane dawniej lenistwo. Brak woli, brak zapału i ten wybujały do przesady samokrytycyzm.

Powstała z fotela i ręce podniosła do góry, jakby chciała uchwycić uciekające pasemko wspomnień. Lecz ramiona jej opadły niechętnie, podeszła do okna, oparła się o futrynę i rzuciła wzrok w zielone głębie parku, ożywione jasnymi plamami kwiecistych klombów. Z daleka, w umyślnie wyciętej luce, wśród drzew, ujrzała skrawek pola złotego, na którym żniwiarze pracowali pochyleni z sierpami błyskającymi w słońcu. Hen, za polem na wzgórku widniały słomiane dachy wioski. Pióropusze dymu z kominów strzelały w górę błękitną mgłą.

Żniwa, pogoda, poranek, wieś, młodość i nuda — szepnęła niecierpliwie.

Wróciła znowu do stołu i spojrzała krytycznie na nowy karton przedstawiający plan dużego gmachu. Na kształtnych ustach młodej mężatki wystąpił kapryśny grymas.

Wzruszyła ramionami i poszła do łazienki. Zimna woda orzeźwiła ją, pluskała się długo, po czym zaczęła się szybko ubierać, z jakąś lepszą nutą w duszy. Razem z rumieńcem świeżości na twarzy, wniknął w jej serce ożywczy prąd i poruszył w niej krew do szybszego obiegu.

...Wszystko da się naprawić — myślała weselej. — Zacznę pracować koniecznie. Tę szkołę muszę zbudować tak jak pragnę.

A gdyby nie?

...Byłoby to niedołęstwem! Do tego się nie doprowadzę za nic!

Ubrana wbiegła jeszcze do pracowni i znowu rozpatrywała rysunek.

— To się naprawi!

Po śniadaniu wyszła na ganek. Podszedł do niej powoli duży pies wilk, i powędrował też za nią.

Za chwilę była już na drodze wiodącej na pole. Skręciła na łan, gdzie barwno było od jaskrawych strojów zniwiarzy. Podeszła blisko i pozdrowiła pracujących.

— Boże dopomóż!

— Bóg zapłać — odkrzyknęli chórem.

Kilka kobiet i jeden chłopak podbiegli do pani radośnie, otoczyli ją pękiem kłosów żytnich.

Podziękowała im serdecznymi słowami i zaprosiła całą grupę zniwiarzy na wieczór do dworu, na poczęstunek. Dziękowali ochotnie całując ją w rękę z uśmiechami życzliwymi.

— Pani dziedziczka już na nogach, no, no! A toż dopiero niedawno słońeczko wstało. Jeszcze i rosa całkiem nie opadła — wołała jedna z kobiet, zgarniając sierpem dużą przygarść zboża.

— Pani dziedziczka ranny ptaszek — zawołała druga zażywna kobieta, błyskając dowcipnymi małymi oczkami.

— A to opowiadał nam Jurasek ze dworu, że pani dziedziczka ciągiem coś kreśli a kreśli na papierze. Myślał, że to jakie święte obrazy i raz zakradł się do pokoju pani dziedziczki, patrzy, a tu same jakieś krychy wielgachne, ni to ściany, ni to schody. Nijak nie rozebrał co to takiego. Ale ja tak myślę, że to będzie kościół, bo my słyszeli, że pani dziedziczka uczyła się na jenzyniera od budowania kościołów.

— Ot kiedy Marcycha rozgadała się to rozgadała — burknął starszy chłop wiążąc snopki. — Pani dziedziczka taka wielga pani i będzie pewno

domy albo i kościoły budować. Co durny Jurasek napłócił to baby wierzą i ozorami miela.

— My jeszcze mielema, a Sulej to już i tego nie potrafi, bo za stary jako te dziurawe sito — zaśmiała się Marcycha.

— Dłaczego ja nie mam gadać, kiedy pani dziedziczka słucha rada i sama się nieraz pośmiej z nami. Pani dziedziczka to jest jak ta zorza na niebie.

— Oj to, to! prawdę teraz rzekła, co zorza to zorza! — odezwało się parę głosów.

Marcycha ujęła się pod boki i zaczęła prawić rada z pochwały.

— I dziwować się trzeba, że pani dziedziczka wychodzi z jaśnie panów, a taka jest jakby ot, nasza, wsiowa, swoja własna, a dobra, a miła... że już i nie wypowiedzieć! Szkoda tylko... My tak często gadamy sobie, że szkoda... że...

— No już, no już! — niech pani Marcycha język za zęby schowa — warknęła Sulej niechętnie.

— A cóż to pani dziedziczka niby nie kobieta, niezamężna! Sulej widzę agłupiał do reszty. Widzita go!

— Ej, nie zgłupiał, ino więcej wiem od Marcychy, kiedy można ozorem chlapać a kiedy nie.

Kobieta zmieszala się trochę.

— Ano, toć ja nic złego! Chciałam jeno rzec, żeby się pani dziedzicze dzieciątko przydało. Zawsze byłoby weselej we dworze... A tak co?... Aż i dziwno! Pani dziedziczka młodzieńka kiej ten kwiatek na łące, już dwa lata za mężem i nic, żadnej uciechy. Musi to jaśnie pana...

Sulej trącił kobietę w bok, dawał jej znaki milczenia.

— O, widzita ludzie, jaki ci Sulej skromny! — zaśmiała się baba. — A kiej sam się ożenił, to jeszcze jednych chrzcin nie wydychał a już były drugie.

— Dlatego Marcycha odstraszyła od nas panią. Ot i odchodzi.

— Bywajcie zdrowi kochani! Idę do żniwiarek, więc mi pilno — rzekła młoda pani, widząc zmartwiałe miny Marcychy i Suleja.

— Niechże ta pani dziedziczka nie gniewa się na mnie. Wiadomo, że mam paskudną gębę!

— Nie gniewam się, nie! — odrzekła Zebrzydowska z uśmiechem i odeszła.

— Gęba to gęba! — sarknął Sulej. — Cheba trza miarkować co się gada i z kim. A bolączka nikomuj nie smakuje. Co nama do dziedzicowych dzieci? Ha!... Będą czy nie będą, nie nasza sprawa, nie trza tykać i jaśnie pana.

— Jak to broni chłop chłopa! Widzita ludzie? A pewnie, że to wina jaśnie pana nie zaś onego kwiatuszka, co już ze troje dziecioków mogłaby mieć.

— Pewnie! Może i z mendel! Czemuż nie! Babski ozór na wszystko je gotów, a osobliwie taki prześciplły jak Marcychy.

Jaśnie państwo to je jaśnie państwo i tyła! Sulej rozumie? — wrzasnęła zaperzona nagle baba. — Cóż to jaśnie państwo mają tak samo dzieci sypać kiej z rękawa jak u Suleja w chałupie? Cóż to dwa lata znaczy? Sulej myśli, że już we dworze nic się nie urodzi? Cóż to niby dziedziczka taki stary grzyb jak Sulejowa a jaśnie pan to niby taki suchar, jak Sulej?

— Tfu! — splunął chłop flegmatycznie i schylił się nad sierpem nie uważając już na rozkrzyczaną kobietę.

Śmiech powstał wśród żniwiarzy. Dogadywano Sulejowi i Marcysze, ale ona nikomu nie dała się przegadać.

Młoda Zebrzydowska szła dalej z trochę cierpkim grymasem na ustach. Szpicrutą biła się po buciakach nerwowo. Usłyszała z daleka śmiech żniwiarzy. Drgnęła. Była pewna, że śmiali się z dowcipów Marcychy. Ściągnęła brwi. Chwila gniewu i jakby bólu. A wnet uśmiech ironiczny skrzywił jej twarz. Usta zacisnęły się.

— Sfera Dębosza — wyrzekła głośno.

Szpicruta mocniej uderzyła parokrotnie o wysokie cholewy dziedziczki Kromiłowa i Pochlebów.

— On pochodzi z nich... Andrzej Dębosz!... Chłop!...

Brwi Kasi zbiegły się nad czołem w linię lekkiej ironii. Oczy zmrużyła, chcąc przyćmić zjawiającą się w nich postać Andrzeja. Lecz postać ta rozrosła się w jej wyobraźni ze zniewalającą siłą. Twarz młodej kobiety przybrała inny wyraz. Rozprostowały się ciemne łuki brwi, oczy błysnęły pogodą i uśmiechem. Wspomnienie Dębosza nasunęło znowu słoneczne wizje życia studenckiego, niezapomnianych, najdroższych czasów.

Przeplatały je niemiłe kolizje z rodziną własną, która potępiała dziwactwo Kasi „z tą politechniką”.

Kasia prowadziła z rodziną zaciętą walkę i zwyciężyła. Pozostawiona samej sobie zarabiała korepetycjami na naukę i życie. Pracowała i mieszkała jak najskromniejsza studentka, cierpliwie słuchając wiecznych wymówek rodziców i brata. Była stanowcza. Żadne wpływy godzące w jej umiłowaną pracę nie zdołały jej do niej zniechęcić. Przeciwnie, umacniała się w postanowieniu swoim i dopięła celu.

Skończyła politechnikę z odznaczeniem, zdobyła dyplom inżynierski...

Dębosz był tym, który zawsze w najgorszych chwilach stał przy niej mocny i niezłomny w przyjaźni. Jej duchowy opiekun i kolega. I niby brat rodzony wspierał ją w momentach zniechęcenia lub osłabienia woli. Ileż razy Dębosz pomagał jej materialnie, gdy bywała bieda prawdziwie studencka.

Ile razy niby niechcący, przecuciem wiedziony, wybawiał ją z kłopotów, gdy nie miała na zapłacenie komornego. A ilokrotnie pomagał jej w pracy, w wykonaniu planów gdy biedziła się w trudnych dla niej wyliczeniach lub wymiarach technicznych. Zawsze spokojny, skupiony, niemal zimny przy pracy, był doskonałym kompanem chwil swobody i skromnej zabawy.

Trzeźwy umysł jego nie podlegał nigdy pesymistycznym nastrojom. Był optymistą, patrzącym na świat i ludzi wzrokiem pogodnym, zabarwionym poezją szczerą bez egzaltacji.

— Jędrak ma chłopski rozum — mówili o nim często koledzy. — Nie obrażał się, przeciwnie, lubił to określenie i często sam je stosował: „mój chłopski rozum radziłby to i to” — mówił przy jakichś okazjach zupełnie naturalnie, bez przybranej sztucznie skromności. I zdarzało się najczęściej, że wszyscy go słuchali, idąc za jego radą. Nie okazywał z tego powodu dumy, nie starał się o przewagę nad kolegami posiadając ją jednakże prawie nieświadomie. Lubiany i ceniony miał i zawziętych wrogów, którzy nie mogli mu darować, że jest chłopskim synem. Na tym tle urabiana opinia o Andrzeju często krzywdziła go. Wiedział o tym, lecz się tym nie przejmował, nawet nie sądził źle swoich nieprzyjaciół. Tylko nie narzucał się im. Ale za to dla tych, którzy okazywali mu zaufanie, był oddany całym sercem z poświęceniem samego siebie.

Wybitnie zdolny wyróżniał się spośród kolegów. Nazywano go — mołem książkowym, gdyż ciągle szperał w bibliotekach, był niezwykle odczytany. Wiedzę czerpał pełną garścią i zawsze wedle siebie za mało umiał.

Przystojny i silny, żywy i energiczny, podobał się kobietom, żałowały zawsze tylko, że to chłop. Niejednokrotnie Kasia słyszała takie żale i wówczas drażniły ją.

O rodowodzie Dębosza nie myślała wcale, było jej to obojętne. Lubiała go, wierzyła mu, często imponował jej mocą charakteru lub inteligencją. Jego zdolności wzbudzały w niej podziw, o resztę nie dbała. Gdy nasunęła się myśl, że Andrzej jest chłopem, synem gospodarza wiejskiego na zagrodzie, nie zrażała się do niego.

A dziś? Skąd ta myśl nagła i przykra, że on pochodzi z takich oto ludzi jak Marcycha, Sulej...

Kasia Zebrzydowska zatrzymała się nad głębokim rowem drenowym. Stoki rowu obrosłe były gęsto kwiatami polnymi i zieleń, wysokie brzegi wznosiły się falisto na kształt pagórków, płaskich u góry. Na jednym z nich pokrytym gęsto macierzanką Kasia rozciągnęła się całą długością. Ręce zarzuciła za głowę i splotła elegancko obute nogi. Krótkie, faliste włosy połyskliwe jak mahoń rozpadły się na wonną zieleń macierzanki, wyglądając na tej podściółce jak zastygłe strugi starej miedzi. Oczy brązowe, pełne złotawych iskierki podniosła do góry i śledziła płynące na błękitach zwąły obłoków. Cisza była tu bezmierna a jednak gwarno. Nad samą prawie głową Kasi dzwonił skowronek radośnie, i unosił się wyżej i opadał i trzepotał drobiazgiem skrzydełek, aż zanosząc się świergotem. Gdzieś z oddali odpowiadał mu drugi, on czy ona? Dokoła brzęczały pszczoły opadając na polne kwiaty, ciężarem pełnym słodyczy. Bąk huczał basem skurczony i zły. Jak kulka brązu toczył się tuż nad ziołami, a gdy wpadł w zielone puchy traw, bzycał wściekle i kręcił się jak opętany. Gdzieś z daleka słychać było beczenie owiec. Zresztą pola same przez się wołały i śpiewały różnymi tonami do duszy wrażliwej, która głosy natury rozumie i odczuć potrafi.

Kasia zasłuchała się w tej wyłącznej gwarze przyrody. Usta jej lekko rozwarte chłoneły tę rzeźwość powietrza z rozkoszą. Całe jej ciało młode, smukłe, prężne miało w sobie siłę i urok przyrody. Upalne słońce ozlacało jej młodą nieco opaloną twarz. Postać jej wyglądała dziwnie zgodnie z fizjonomią pól, była jakby wykończeniem ich kwiecisto-zbożnej roztoczy.

Marzyła.

Ale marzenia jej na razie posiadały inne tło niżby się mogło zdawać, patrząc na tę młodzieńczą istotę kobiecą wśród kwiatów i złotych pól, w upalnym dniu letnim. Przed oczami Kasi snuły się obrazy jej prac dokonanych i zamierzonych. Trzeźwą analizą wywołany budził się gorzki wyrzut za marnowanie czasu i za żywot filisterski, który rozleniwił, a nawet czasem był jakby wypoczynkiem dla nieustannej targaniny nerwów. Czyż z taką jałową pustką w duszy można trwać długo? Czyż zanik celów własnych może się wypełnić przez szczyt życia, pozornie błyskotliwy a tak naprawdę ciasny w rozmiarach? Dławił on każdy śmielszy rozpęd duszy, stęsknionej do czynów.

I dlaczego los chciał by te przestrzenie roztaczające się przed jej dziewiczą jeszcze wyobraźnią przyćmione zostały tak nagle, przez postać męską, niespodzianką życia. Czyż marzyła kiedy o takim zakończeniu swej

samodzielnej pracy? Borykała się z przeciwnościami, poszła swoją drogą, wiedzona ideą i wolą po to, by oczy mężczyzny odwróciły prawie brutalnie drogowskaz jej życia w zupełnie innym kierunku. Czy w tym jest pierwiastek jej kobiecości mszczącej się za swe prawa odwiecznie uświęcone, czy też jest to dowód słabości jej duszy i woli?... I serca, które tak nieoczekiwanie dla niej samej uległo urokowi mężczyzny?

Zagadka! Zapewne dla wielu kobiet łatwa do rozwiązania, dla Kasi niepojęta. Ale dopiero teraz.

— War!...

Usta młodej kobiety wypowiedziały to imię bezwiednie, jakby echo myśli rzuconej w przestrzeń. Ale imię to zabrzmiało obojętnie, z odrobiną zdziwienia, że to samo imię tak niedawno tak bardzo odmienny posiadało dźwięk.

— War!...

Ten sam! święty, porywający... Jakież był urok tego człowieka, że zdołał tak łatwo, bezkrytycznie unieść ją w ów, zniechęcony już przez nią świat kabotyństwa, och, nawet kołtuństwa, w masce, nie zasłaniającej dostatecznie parafianstwo duchowe i małostkowość. Wróciła do nich — przez niego. On ją powrócił „towarzystwu dobrze myślących i dobrze urodzonych”.

Odzyskali ją!

Zatracona była „w nowoczesnym bałaganie przewróconych głów, w atmosferze cyganerii i spelunki” a oto on, War Zebrzydowski, wyrwał ją z tych okropności i oddał sferze taką, jaką powinna być

z urodzenia i praw — wielką panią. Krew błękitna mści się za odstępstwo swych pupilów, skoro chwilowy bunt uniesie ich za daleko, lub wraca łaskawie marnotrawne dzieci na swe tradycyjnie dostojne łono. Kasię Zahojską, marnotrawną córę, krew błękitną, przygarnęła wyjątkowo uprzejmie, dając jej w nagrodę za powrót, świetną oprawę w roli Edwardowej Zebrzydowskiej. Ale Kasia triumfalny swój powrót odbyła bez skruchy ani pokory, raczej chmurnie. Lecz że była wówczas zapatrzona w oczy Wara i pod ich narkozą, przeto nikt nie zauważył tego. Kasia przeciągnęła się trochę leniwie, rozkrzyżowała ramiona. Westchnienie głębokie wydobyło się z jej piersi, oczy przyćmiły się rzęsami od nadmiaru blasków.

— Ach, wszystko to było! było! było!... — zawołała głośno z odcieniem niecierpliwości.

Poczuła ciepło na kostkach nóg. To łeb psa wilka tulił się do niej pieścizotliwie i ogrzewał jej stopy.

— Rex, pocziwy Rex!

Pies zaskomlał radośnie i jął lizać jej rękę. Pogładziła smukły łeb, po czym ocierała mokrą dłoń o puchy macierzanki, którą jeła rwać pełną garścią. Rzuciła ziele na łeb psa. Pęki wonne przytulała do swojej rozgrzanej na słońcu twarzy, chłonąc silny, aromatyczny zapach z lubością.

Wtem Rex poruszył się niecierpliwie i nastawił uszy ostre jak lejki. Warknął groźnie. Kasia w jednej chwili podniosła się. Nikogo nie było, tylko kłosa dojrzałego żyta przed nią chwiały się lekko, szeleszcząc. Ale Rex wstał na nogi i cały skupiony wpatrzył się w złotą otchłań zboża. Drżał.

— Kto tam? — głos Kasi zabrzmiał groźnie.

Kłosa poruszyły się gwałtownie, pies skoczył naprzód. Kasia wstrzymała go. Z masy kłosów wychyliła się jasno lniana główka chłopięcia kilkunastoletniego. Błękitne jak chabry oczy patrzyły na Kasię śmiało. Pachole w białej świtce trzymało coś przy piersiach bardzo troskliwie.

— Tomek, co ty tu robisz, niebożę? Podbiegł i przykucnął przy nogach pani.

— Kuropatwę skaleczyli kosą albo sierpem. Ot, już ledwie zipie. Kasia wzięła w rękę skrwawionego ptaka, obejrzała pilnie. — Kona biedula, nic już z niej nie będzie...

Chłopcu łzy trysnęły z oczów. Pochylił głowinę tuż nad ptakiem, tak, że włosy jego obsypały dłoń Kasi. Snadź obyty był z panią i w przyjaznych stosunkach.

— O, o, jakie coś sine zachodzi na oczy!... Już nic nie pomoże, już nic? — szepnęła z bólem, patrząc na kuropatwę żałośnie.

— To moja wina, że ona umiera, to beze mnie.

— Dlaczego przez ciebie?

— A bo, a bo — jękał się zawstydzony — jak ja ją znalazł to trza było ratować, a ja...

— Cóż ty robiłeś...

Spuścił oczy i milczał. Spod powiek kapwały mu łzy. Kasia ujrzała w jego dłoni mały, szary przedmiot i ostrożnie wzięła go w rękę.

— A!! Z czegoś to zrobił?... z gliny?...

— Juści...

— Patrząc na tę kuropatwę?

— No, juści...

Młoda kobieta przyglądała się uważnie wyrobionym doskonale z gliny kształtom ptaka, który konał w jej dłoni. Zdziwiła się.

— Dziś to zrobiłeś?

— Patrzyłem na nią i... lepiłem.

— Ach ty, mały rzeźbiarzu!... Ciągłe tak sobie lepisz. Co?...

— Cięgiem.

— Przecie to jest wyborne! — szepnęła Kasia, obracając w rękę mokrą jeszcze, ze zwykłej gliny podobiznę kuropatwy. Cały kształt ptaka nawet pióra, dziobek i oczy były wykonane z drobiazgową starannością i talentem wyraźnym.

— La Boga już po niej!... — krzyknął chłopczyzna. — Ja ją niósł do rowu, żeby wodą oblać ranę, a ot i już po niej!

Rzewne, obfite łyzy zrosiły bladą wynędzniałą twarzyczkę. Kasia patrzyła na niego długo i pilnie. Dziwne uczucia budziły się w jej duszy.

Tomuś pieścił martwą kuropatwę i płakał nad nią a Kasia Zebrzydowska obracała w rękach ostrożnie glinianego ptaszka. Znowu nie wiadomo skąd nasunął się jej na myśl Andrzej Dębosz. Przyszło wspomnienie jego słów, z jakiejś rozmowy.

— „Są wśród nas siły i talenty ukryte, jak cenne minerały w ziemi. Ale rzadko kiedy szczęśliwy kilof losu wydobędzie je na jaw a i wtedy jeszcze nie zawsze dadzą się one oszlifować tak, by wydały z siebie istotny swój blask i wykazały wartość swej treści”.

Kasia spojrzała na chłopca z uśmiechem.

— Tomuś, po co ty to zrobiłeś? — wskazała na glinę.

— Czy ja wim?... Tak coś...

— Coś ci każe lepić, tak?

— Juści, palce chcom same...

— Aha, palce chcą! A dużo już zrobiłeś takich rzeczy?

— Ojej!... We schowku mom tego niemało.

— W jakim schowku?

— A w polu! Chłopak ożywił się.

— Na starych norach lisich som takie wielgachne dziury, to sobie tam składam co ulepię.

— Czemuż nie w chałupie?

Chłopak spuścił nisko głowę. Szepnął zawstydzony:

— Tatulo bijom!

— Aha, tatulo biją? Twój tatulo to Maciej Kostrzewa, tak?

— Noo!... Chodzom do dworu na zarobek.

— Znam twego tatula. A ty co robisz?

— Gęsi wsiowe pasę.

— A dobrze ty je pasiesz. Co?... Pacholę zaśmiało się swobodnie.

— Czasem tak, a czasem ni.

— Jak coś lepisz, to gęsi idą w szkodę.

- No juści, że tak.
- Zaprowadźże mnie do swojej schowki.
- Tam wielgie jamy, kamienie.
- No to przynieś mi swoje roboty do dworu.
- Do dworu? Bojam się! Straśnie się bojam.
- Mnie się boisz?
- Ni, ino jaśnie pana dziedzica.
- Pana nie ma we dworze.
- Eee... bojam się. Lokaj przepędzi. Jurasek tyż nie dopuści...
- Więc chodź, pójdziemy na nory.

W kilka chwil potem Kasia Zebrzydowska, siedząc na kamieniu, przy piaszczystych osypiskach oglądała z zaciekawieniem różne figurki lepione z gliny, lub wystrugane z drewna. Były tam psy, ptaki, owce, krowy i kwiaty. Jeden przedmiot wywołał okrzyk zdziwienia młodej kobiety i jednocześnie parsknęła śmiechem.

- Cóż to, to jest?... Pacholę milczało.
- Czekaj, to przecie karbowy Zaderek!
- O la Boga, to pani dziedziczka poznała? La Boga!... On ci to jest juści, kiej krzyczy na ludzi.
- Wyborne, doskonale — śmiała się pani — doskonała karykatura Zadorka. Nadzwyczajne! A pokaż tamto. Co tam chowasz przede mną? Pokaż zaraz Tomuś, słyszysz?
- Kiej nie śmiem!
- No, pokaż...

Wzięła z rąk zaczerwienionego chłopca figurę wystruganą z drewna i zdziwiła się szczerze.

Była to miniaturowa jej własna sylwetka na koniu. Obok na podstawce z drewna stał Rex. Figura konia i jej własna postać były uchwycone widocznie z daleka, z taką zadziwiającą wypukłością, że podobieństwo rzucało się w oczy od razu. Twarz była do połowy odwrócona ale zarys części profilu był wprost zdumiewający, podobieństwo uchwycone niejako migawkowo lecz wybornie.

- Kiedy to zrobiłeś — spytała.
- Dawno!... Teraz tom ulepił Matkę Boską z parku dworskiego, co to ją widać ode drogi, kiele świercyny.
- Kasia wzięła w rękę figurkę Matki Boskiej Łaskawej i badała ją długo. Oblicze wyrobione z gliny ze starannością, podobieństwo niemal zupełne.
- Czy byłeś przy tej figurze? Chłopak zmieszał się.

— Rankiem o świcie, kiej we dworze spali. Zakradłem się w świerki i... ulepiłem. Strasznie piękna je ta figura. Nie mógł wytrzymać, żeby ją nie ulepić; ale się okropnie bojałem.

Zebrzydowska patrzyła teraz na pacholę długo i poważnie. „Są pośród nas siły i talenty ukryte jak cenne minerały w ziemi"... — szeptały jej w duszy słowa Andrzeja Dębosza.

RS

ROZDZIAŁ II

Lipcowe popołudnie lało słoneczne strugi ciepła na park w Kromiłowiu. Gęstwiny drzew i krzewów zatopione były w blaskach. Na zielonych trawnikach spacerowały wielkie pawie. Rozwite ich ogony mieniły się tęczą jak trzęsienia zdobne w klejnoty. Ich krzyk ostry i przeciągły mącił niekiedy ciszę. Gruchające gołębie milkły po wrzasku pawi jakby wystraszone. Ze stawu okolonego gęstą rzęsą trzcin dochodziło monotonne kumkanie żab. Świergot ptaków umilkł, wszystko otulał sobą i przyciszał upał, którym dyszało słońce jaskrawe i pełne żaru.

Drzewa stały ciche w tej gorącej kąpeli. W dużej naturalnej altanie pod rozłożystymi kasztanami leżał Rex rozciągnięty na chłodnej ziemi i patrzył pobłaźliwie trochę a trochę sennie na swoją panią, która pomimo upału siedziała opodal przy stoliku, pod dużym parasolem w błękitne i żółte pasy. Parasol na wysokim kiju rzucał cień lekki na stół i na sztalugi, przy których Kasia Zebrzydowska nakładała farbami rysunek, przedstawiający dwór kromiowski, widoczny z daleka, spoza kwietników. Obok siedział Tomek Kostrzewa rozpromieniony, lepił z gliny konia z dżokejem, patrząc na piękną rzeźbę w marmurze stojącą na stoliku.

Jasna czupryna chłopca spadła mu na czoło, oczy świeciły blaskiem szczęścia i zachwytu. Był pochłonięty pracą, oddany jej, wyglądał jak w ekstazie. Zebrzydowska często spoglądała na chłopca uważnie, badając postępy jego roboty. Zaciekał ją ten domorosły artysta, widziała w nim zapał i talent. Odczuwała iskrę Bożą, ukrytą, ale wyłaniającą się już wyraźnie z popieliska jego bytu i warunków. Wykończając swój rysunek myślała o tym, jak kształcić Tomusia, jak zrealizować powzięte postanowienie, by temu chłopcu dać możliwość wykorzystania talentu. Zapaliła się do tej myśli, lecz rozważała trzeźwo, czy podoła zadaniu tak, by doprowadzić ideę swoją do końca, by zrobić z Tomka artystę, o ile jest nim istotnie i o ile talent jego będzie się rozwijał twórczo. Ale czy wytrwa w postanowieniu? Nic jeszcze chłopcu nie mówiła o swych planach. Tymczasem wzięła tylko Tomka do ogrodu jako jednego z ogrodników i po kilka godzin dziennie pozwoliła mu oddawać się ulubionej pracy lepienia i rzeźbienia z drewna. Dostarczyła mu materiałów potrzebnych, dawała modele a on wyczekiwał godzin pracy wdzięczny i radosny. W ogrodzie pracował, grabił, zwijał się jak mógł, zaprzątnięty jedynie myślą o swych lepiankach i wycinaniach z drewna. Marzył o nich w dzień i śnił w nocy. Gdy zbliżała się godzina oznaczona, był już zawsze dużo wcześniej na stanowisku i zabierał się do roboty gorączkowo.

Kasia, widząc zapał chłopca pozwałała mu dłużej zajmować się jego robotą, co go uszczęśliwiała. Wolał to, niż czytać przed panią, gdyż dukał niemożliwie i wstydził się tego, bo wszakże uczęszczał do szkoły ale nie był zbyt pojętym uczniem. Gdy wieczorem odchodził do domu, szedł zawsze z westchnieniem, oglądając się na dwór.

Kasia widziała to wszystko i zastanawiała się niekiedy, czy nie postępuje fałszywie, bałamuć chłopca. Czy to dla niego nie będzie zgubny wpływ? Co z niego w ogóle wyrośnie? Zadawała sobie i teraz to pytanie, patrząc jak spod palców pacholęcia tworzyła się podobizna dżokeja na koniu modelowana doskonale z marmurowego pierwowzoru.

Kasia odrzuciła pędzel i paletę i odsunęła się z krzesłem od stolika. Na ten ruch Rex czuwający w cieniu kasztanów zerwał się i podbiegł do pani z takim impetem, że trącił głową stolik. W jednej chwili gliniana figura konia stoczyła się na ziemię i rozpadła w kawałeczki. Chłopak stanął zmartwiły, ręce załamał i blady patrzył na cząstki swego dzieła prawie ze łzami w oczach. Ale wnet oprzytomniał, rzucił się, zebrał glinę i całą tę bezkształtną masę położył na stoliku. Spojrzał na marmurowy posążek i rzekł z zaciętością:

— Żeby z tego to by się nie rozwalilo bo ciężkie i twarde. Westchnął z pełnej piersi.

— Chciałbyś kuć w marmurze, co? — spytała Zebrzydowska.

— La Boga, a toż bym cheba oszalał z radości.

— Na to trzeba się długo uczyć, to nie takie łatwe jak z gliny.

— Tyło to, że inna robota, ale to samo po prawdzie.

— Jak to rozumiesz?

— Czy ja wim, ale myślę tak, że to robię ręką, tyło palcami, a tamto trza narzędziem, młotkiem abo dłutkiem czy jak? Ja zrobię pług z gliny a kowal wykuje go na kowadle z żelaza, to i z kamienia toż samo.

— A chciałbyś takie rzeczy robić?...

— Już by myślał wtedy, że la mnie cały świat! już by nic więcej nie chciał ino żeby tak wyrabiać z kamienia ot takiego jak ten — odrzekł z błyszczącymi oczami, wskazując na marmur.

Pochylił się nad bryłką gliny.

— Trza to zacząć na nowo.

— Nie sprzykrzy ci się to samo lepić drugi raz?

— I... gdzie tam, przecie to nie było gotowe jeszcze. Taki ten koń piękny, że muszę go zrobić. A to ci stało, kiej mur — patrzył z podziwem na grupę z marmuru. Glina to się rozpadnie i tyło, miętka robota!

Westchnął znowu.

- Czegóż tak wzdychasz ciężko? Zrobisz na nowo tego konia i będzie.
- Co ta z tego?
- A cóż byś chciał?
- Czy ja wim? tak cości me rozpiera, że leciałbym gdzieś a coś chytał a sam nie wiem co i gdzie. Cości takiego we wnętrzu mom.
- Zamyślił się smętnie.
- Stara Marcycha Żulakowa gada na mnie, że ja niesamowity, czy jak. Rzekła, że trza me odczynić, bo we mnie złe siedzi i trza go wygnać, przez to odczynienie. A czy ja wim może i siedzi to złe. Ino że ja zlego nie czuję, tyło czasem...
- Co... czasem?
- Czasem me coś dokucza jakby jaki ktoś drugi był we mnie. Gdzieś ta mnie taszczy naprzód, niby na przełaj, wyrywa, że i nie pojdziesz, musi tak to i jest, że ja niesamowity. W szkole tyż mnie nazywają nieładnie.
- Jakże cię nazywają?
- Odmieniec albo dłubek, że to niby wyrzynam z drewna i lepię z gliny. Tak me przezywają a wyśmiewają, że aż czasem do bicia by się brał żeby już przestali kpinkować.
- No, a nauczyciel pozwala na to?
- On sam pierwszy się wyśmiewa. Raz to me zawołał na całą klasę „Tomek bzdura, lepifigura”. Wszystkie się zaczęli śmiać i tera tak me wołają: „bzdura, lepifigura”. Cierzpliwie słucham, ale jak kiedy dojmie za wiele to...
- To cóż zrobisz?
- Spierę chłopaków po pyskach i tyło.
- A dasz radę?
- Ojej! niektórym poredzę łatwo a od tych co by mnie dali radę... ucieknę.
- To widzę, że z ciebie zuch nie lada.
- Ii... gdzie tam! Ja się ich bojam, bo oni chcą się dobrać do moich schowek i porozbijać moje lepidła. Jakby wytropili, że one som na norach to już i po nich.
- Przynieś je tu, do dworu. Tomek zmieszał się.
- No cóż, nie chcesz?
- Tak mi się widzi, że już wtedy nie bedom moje własne.
- Jak to? Twoje będą, nikt ci ich przecież nie odbierze.
- Ee... na nory to też niełatwo dojść. Pani dziedziczka sama widziała.
- Więc nie chcesz, aby były tu schowane?
- Bo mi się widzi, że wtedy nie bedom takie moje, kiej som tera.

— Tak lubisz te swoje roboty?

— Lubię i nory lubię, bo to moja własna chałupa i niktoj o niej nie wie. A we krzaczach co tam rosną, tarniny i wierzby, to kuropatki się gnieźdzą, często i zajęć się schowa. One się mnie nie boją, znajom już, bo i jeść często przyniosę niebożętom to i one me lubiom.

Chłopak rozgadał się swobodnie, Kasia słuchała go z przyjemnością.

W tej chwili podszedł lokajczyk Jurasek i podał na tacy listy i telegram.

Kasia chwyciła depeszę, przeczytała: „Przyjeżdżamy z Warem w sobotę. Krystyn”. Rumieńcem spłonęła twarz Kasi.

— Pan dziedzic i pan Krystyn przyjadą w sobotę, czyli za trzy dni. Przygotować wszystko — rzekła do pokojowca hamując lekkie podniecenie głosu.

Jurasek odszedł nie bardzo wiedząc co właściwie przygotować, kiedy cały dwór w porządku. Kasia wzięła listy. Jeden był od męża, drugi od hrabiny Mohyńskiej. Powstała od stolika.

— Pewnikiem trza mnie już iść — rzekł Tomek zrezygnowany.

— Siedz sobie tu i lep, skoro jeszcze chcesz. Trochę gorączkowo otworzyła list męża.

— Biarritz? Skądże Biarritz! — wykrzyknęła półgłosem z niemiłym dreszczem. — Był wszakże w Ostendzie. Co to znaczy?

Uczuła, że blednie. Zaczęła czytać:

„Kasiatko moje!

Stęskniony wracam do Ciebie. Ani Karlsbad ani następnie Ostenda, ani obecnie Biarritz nie dały wyników pożądaných. Nie czuję się dobrze. Mam wrażenie, że Kromiłów zrobi mi najlepiej. Tęsknię za Tobą i chcę być przy Tobie jak najprędzej. Za kilka dni wyjeżdżam do Warszawy, skąd razem z Krzysiem do Kromiłowa. Spragniony jestem mojej Kachny słonecznej i spojrzenia Twoich brązowych źrenic wymownych, w których zapalają się takie śliczne, złote iskierki. War umie je zapalać?... czyje zapali?... Pojedziemy sobie do Pochlebów, potem do Gdyni. Z Gaskonii na polskie Pomorze to niezły kroczek... Po kąpielach w Zatoce Biskajskiej do Bałtyku, to ochłodzi. Nieprawdaż? Nie pisałem dawno, gdyż ogarniała mnie i ogarnia nuda. Tu nieco lepiej. Towarzystwo liczne, międzynarodowe, dużo finansjery w dobrym stylu i w bardzo miernym. Pogoda piękna. Zatoka jak płat lazuru. Na ocean wypływam często, gdyż daje emocje, których potrzebuję, aby żyć. Muszę tu przywieźć moją Kachnę. Lękałbym się tylko, że Twoja świeżość brzoskwiniowa zanadto podniecałaby tutejszych koneserów urody kobiecej i byłbym narażony na uczucia zazdrości, mało mi znane w ogóle. Tymczasem przeto wolę być egoistą i upajać się krasą mego

Kasiątka w zaciszu Kromiłowia. Tylko zlituj się nade mną i gdy przyjadę nie mówmy nigdy nic o twoim „fachu”. Niech nie widzę tych robót twoich, planów, rysunków, i tych wszystkich projektów, które mi Ciebie szpecą. Zaraz mam wrażenie, że rączki Twoje umazane są wapnem i gliną i czuję zapach piłowanego drzewa, belek, krokwi... o fe, fe! To nie dla mnie. Kasieńka jest cud mój, stworzony dla mnie i tylko dla mnie a ja jestem esteta i tych wszystkich „inżynierskich” tytułów, zaszczytów, koncesji itd. nie znoszę. Kachuś mój zastosuje się do tego, nieprawdaż?... Będzie wytworne, kapryśne, trochę leniwe i zawsze Warem upojone i Warowi oddane. Zgadzam się na energię tylko na koniu. Twoja giętkość i sprężystość zachwyca mnie przy tenisie, ale nie chcę ciebie oglądać dozorującą przy budowie jakiejś szkoły w Kromiłowiu i tej tam kamienicy we Lwowie. Ach nie!... Zostaw to innym. Tyś mój wykwintny kwiat, niech będzie nawet polny, skoro na orchideę się nie zgadzasz, ale nie inżynier jakiś. Tego nie chcę! Ustroiłbym ciebie w peplum dawnej Rzymianki i w przeźrocza tunikę, przez którą twoje ciało różane niby jutrzienka rozpalające się pod żarem moich ust!”

Kasia zgmiotła list gwałtownie. Przeszła kilka kroków szybkim nerwowym ruchem i znowu rozprostowała arkusz. Czytając płonęła na twarzy jaskrawym rumieńcem, czytała bez tchu z biciem serca i silnym dreszczem podniecenia. Skończywszy czytanie przetarła dłonią czoło. Spojrzała na bogaty kwietnik w kolorowej powodzi barw, zalany potokiem złota.

Kwiaty i trawy szmaragdowe dyszały upałem. Senne pawie snuły się wśród gazonów szukając cienia. Zielone sklepienie alei lipowej, roniło woń przedziwnie słodką. Grona płowych trzęsień kwiatów sypały się zewsząd oblepione ruchomą ciżbą bursztynowych pszczoł. Ocieężałość była w naturze i przedziwna sytość. Brzęk owadów zbierających słodycz z lip napawał sennością. Był zarazem wyłącznie melodią lata, i upału. Nasuwał pragnienia zmysłowe, odurzał. Kasia chodziła po parku pogrążona w kręgach swoich myśli, w których królował War. Czowała się teraz tak bardzo jego, że poprzednie zwątpienia wydały się jej dziecinnymi przywidzeniami.

Goniła go wyobraźnią i stwarzała go takim, jakim był w onych dniach promiennych ich poznania się, dwutygodniowego narzeczeństwa, ślubu i niewypowiedzianie uroczego roku szczęścia. Jakże dalekie były wówczas od niej wszelkie refleksje na temat zmarnowanych ideałów i projektów studenckich. Przede wszystkim nie uważała ich za zmarnowane tylko chwilowo odłożone. Była wówczas pełna optymizmu, który się potem zaciemniał stopniowo — i uporczywie. Czyżby teraz po dwóch z górą latach

miał się na nowo odrodzić? Skoro wtedy mógł tak nagle i w tak niesprzyjających warunkach powstać u niej, może i teraz odżyć zasilony tą samą dynamiczną siłą uroku Wara.

Kasia wzrokiem wyobraźni ujrzała ów moment swego życia, gdy po otrzymaniu dyplomu inżyniera-architekta, po uroczystości poświęcenia gmachu, zbudowanego wedle jej planu i pod jej własnym kierunkiem, znalazła się w Krakowie u kuzynki swego ojca, hrabiny Oktawii Mohyńskiej. Wtedy poznała Wara.

Ten Edward Zebrzydowski, powracający z zagranicy, gdzie szalał przez dłuższy czas za księżniczką gruzińską, o którym była ogólna opinia hulaki i utracjusza nie zaciekawiał jej zbytnio. Mohyńscy niedwuznacznie przeznaczali go na męża dla niej. Rodzice Kasi również skłaniali się do tych planów, chcąc ją oderwać od „niepoczytalnych ambicji”, jak nazywali kierunek jej pracy. Lecz ona wyraźnie niechętna tym projektom, występowała przeciw nim z tąż samą energią, z jaką broniła poprzednio samodzielnej pracy i z jaką dopięła celu. Zamażpójście w programie jej życia nie było pierwszoplanowym punktem, za wiele miała polotów i pragnień całkiem odmiennych. Wybierała się jeszcze na studia za granicę, żądna była wiedzy i świata. Nie kochała dotąd nigdy żadnego mężczyzny. Zdawało się jej, że jest zbyt trzeźwa, czy może chłodna w stosunku do mężczyzn a obca i daleka od wszelkich objawów miłośno-erotycznych. Uczucia kolegów studentów kierowane w jej stronę zbywała lekko, traktując ich zawsze tylko po koleżeńsku. Serce jej dla żadnego z nich nie zabiło żywiej. Wystarczała jej przyjaźń. Jedni uważali ją za arystokratkę, która nie znajduje dla siebie odpowiedniego rasą i urodzeniem, inni posądzali ją o brak temperamentu, jakkolwiek impulsywność jej, szczery i gorący zapal, energia, zbyt wyraźnie zaprzeczały temu.

Więc nie była zmysłową — tak ją ocenili, pragnąc rozbudzić w niej zmysły i wyrwać ją z tej dziewiczości jej natury. Ale ich zakusy jeszcze bardziej odpychały Kasię.

Zamiary matrymonialne rodziców i hrabiostwa Mohyńskich zbywała w taki sam sposób, z dodatkiem gniewu, że ją chciano powstrzymać od wyjazdu na dalsze studia w świat. Wbrew całemu spiskowi godzącemu na jej wolność, przygotowała się do wyjazdu, gdy nadjechał Edward Zebrzydowski. Uprowadzona do niego za opinię, jaką posiadał, wiedząc o jego szalach dawniejszych i nowszych o jego parokrotnych zaręczynach, odnosiła się do tego światowca sceptycznie, a nawet wrogo. Drażniły ją owe swaty, których nie cierpiała. Nie chciała iść na wieczór wyłącznie dla niego urządzony i nawet błagania brata Krzysia nic nie wskórały. Uciekała przed

Zebrzydowskim tym bardziej, im więcej się nim zachwycano. Po owym wieczorze u Mohyńskich opinie o Zebrzydowskim rozłamały się na dwie strony. Jedni twierdzili, że jest czarujący jak dawniej, inni a zwłaszcza inne, szczególnie panny i panie z pretensjami do asysty, oburzały się na niego, że jest niesympatyczny, wyniosły i chociaż świetnie ułożony, ale chłodny jak głaz.

Kasia wieszowała sobie, że nie biegła wraz z innymi na powitanie „tego lowelasa” lecz nie przyznawała się przed samą sobą, że scharakteryzowanie Zebrzydowskiego — chłodny jak głaz — zainteresowało ją cokolwiek. Pomimo to unikała spotkania z nim przez kilka następnych dni. Piątego dnia po wieczorze wypadł ślub jej kuzynki. Po tej uroczystości Kasia zamierzała opuścić Kraków bezzwłocznie. Na ślubie miała być družką panny młodej z jej bratem, którego nie знаła a którego oczekiwano z Wiednia, w dniu ślubu. Gdy po wszystkich ceremoniach przygotowawczych, w salonie panny młodej liczny orszak weselny wyjeżdżał do kościoła i formowały się pary, nagle przystąpił do Kasi jeden z panów, wybitnie wyróżniający się w zgromadzeniu, bardzo wytworny. Złożył jej głęboki ukłon, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. Pod wpływem tego spojrzenia Kasia nagle stropiła się, po raz pierwszy w życiu i najniespodziewaniej dla siebie.

Niskim głosem wypowiedziany prędko skrót jego nazwiska uświadomił ją, że to jej družba Strzębowski, którego oczekiwano. On zaś ofiarował jej wykwintną więź róż i ładnym ruchem dość sztywno podał jej ramię. W milczeniu zesza z nim do karety, nie zdając sobie sprawy z niewytłumaczonego wrażenia, jakie wywierał na niej. Jadąc milczała, opanowując się całą siłą woli. Wreszcie podniosła na niego oczy chmurne. Spotkała jego przymrużone źrenice utkwione w niej.

A wtem głos niski, jakiś metalowy w dźwięku:

— Mam wrażenie, że pani wyrzuciłaby mnie z przyjemnością z karety.

Zmieszła się na nowo. Domyśliła się, że odgadł jej niepokój.

— Gdyby nie obecność pani, sam czmychnąłbym z rozkoszą z tego krakowskiego pudła. Pani ratuje sytuację, więc nie uciekam z tej rudery, która zapewne w kwiecie swego wieku wozila gości na uczyty Wierzyńka. Wstydzę się tego wehikułu przed panią, ale wybraną przeze mnie karetę o kilka wieków młodszą od niniejszej, zabrano mi bezczelnie dla pana młodego.

Kasia ochłonęła, nawet uśmiechnęła się.

— Czy to dlatego miałam pana wyrzucać z karety?

— Może nie tylko dlatego. Spojrzała pani na mnie tak okrutnie, że uczułem się zmiażdżony. Że zaś nie poczuwam się względem pani do

żadnej winy, jak dotąd (prócz jednej, ale to znowu nie moja wina), przeto srogość pani ocknęła we mnie wyrzut sumienia, skierowany natychmiast ku tej landarze. Jak żyję nie jeździłem takim objibrukiem i trzeba trafu czy fatum, że właśnie z panią...

— Wszakże mnie pan nie znał, więc skądże zaraz fatum?

— Owszem, znałem panią, że tak powiem w jej genezie przed poznaniem osoby. I to właśnie jest ów pierwszy powód, dla którego jak mi się zdawało, zirytowałem panią.

— Czy to może ta jedyna wina pańska względem mnie, która jakoby nie jest pańską winą — spytała Kasia.

Przytrzymał na niej swój wzrok długo i badawczo i znowu rzucił na nie niesłychany urok...

— Co się ze mną dzieje?... — przemknęła myśl trwożna.

A on rzekł powoli, z akcentem odpowiadając na jej pytanie.

— Może?... I.. zaczynam wierzyć, że teraz stanie się naprawdę moja winą...

— Nie rozumiem pana! — odrzekła nerwowo, będąc pod coraz silniejszym wrażeniem jego. — Czy daleko jeszcze ten kościół — wyrzała przez okno...

— Znowu zirytowałem panią, co?...

— Ależ!...

Zajrzał jej w oczy z przedziwnym uśmiechem.

— Zresztą co nas kościół obchodzi, skoro jeszcze nie nasz ślub ma się tam odbyć tym razem.

— Słuszna uwaga! nawet bez niepotrzebnego zakończenia zupełnie zrozumiała — odparła żywo, dotknięta jego śmiałością.

— No nie! Na to się nie zgadzam! Ale pani się gniewa?... Doprawdy? Znowu ta chmurka w oczach? Czy byłem zbyt śmiały... odkrywając od razu karty? Nie lubię niejasnych sytuacji. Jeśli w pani mniemaniu popełniłem niegrzeczność, bardzo przepraszam... Byłem tylko szczery. Pani raczy mi wybaczyć. Widzę, że jestem u niej na srogim indeksie. Jeśli tak rzeczywiście... bardzo mi przykro, że się pani narzuciłem a raczej, że mnie narzucono jako drużbę dla pani. Niechże w tej wielkiej mojej winie tłumaczy mnie to, że pragnąłem panią nareszcie poznać i dlatego skusiłem się przyjąć rolę obecną, trochę późno mi ofiarowaną. Ale nie sądziłem nigdy, że panią tym tak bardzo rozgniewam.

W tonie jego głosu, poprzednio miękkim, prawie pięściwym, zabrzmiała duma i podrażniona ambicja.

Kasia patrzyła na niego i zamiast buntu, doznała na nowo olśnienia. Ach, jakże on się jej podobał! Tłumiąc wrażenie odrzekła:

— Panie Strzębowski, zdaje się, że my się nie rozumiemy. A może pan mię bierze za zupełnie kogo innego?

— Strzębowski? — powtórzył ze zdumieniem.

W tej chwili karetą stanęła przed kościołem, lokaj otworzył drzwi. On wysiadł i podał rękę Kasi. Nie patrzyła na niego, ale czuła doskonale wzrok jego na sobie. Usłyszała jak mówił do lokaja.

— Karetę moją, która wiozła pana młodego podać przy wyjeździe dla mnie.

W kościele szła obok niego wsparta na jego ramieniu i jakaś jakby inna. Sama sobie zdawała się obcą a za to dziwnie bliską jego. Nie mogła dojść do ładu z tym co w sobie odczuwała. Budziło się w niej coś niepojętego. Myśli biegły wichrem, płątały się, jedna drugiej zaprzeczała, wirowały jak różnobarwne motyle w mózgu. Szumiały jej w głowie natrętne pytania niezrozumiałe i bez odpowiedzi. Raz śmignęła myśl: Uciec od niego, uciekać z tego wesela. Myśl odleciała jak motyl, nadfrunęła druga. Jakie on ma oczy, co on ma w tych oczach...

I znowu:

A gdyby się wycofać zaraz, natychmiast.

Przed ołtarzem, stojąc w szeregu pań z orszaku, Kasia spojrzała na niego, stojącego naprzeciw, pośród panów. Drgnęła. Patrzył na nią wzrokiem, który wyprowadzał ją z równowagi. Ale w oczach jego była jakby iskra żartu. Na ustach błąkał się szczególnie uśmiech. Dotknęło ją to i podrażniło. Lecz cała jego postać, nawet sposób trzymania figury bardzo swobodnie z odrobiną nonszalancji, nadawało mu wyłącznego charakteru i przykuło oczy Kasi pomimo jej woli. Patrzyli na siebie długą chwilę. Kasia niemal z przerażeniem czuła się pod jego hipnozą. Zadrżała usłyszawszy tuż przy sobie szept jednej z kuzynek.

— Jakże ci się, Kasiu, twój družba podoba? Zaćmiewa sobą wszystkich panów, nieprawdaż?...

Kasia prędko odwróciła oczy od niego zmieszana. Odpowiedzieć nie chciała. Na szczęście zrobił się ruch, państwo młodzi odeszli od ołtarza. W małym zamieszaniu przeszła z nim przez kościół, nie spostrzegła się, jak już siedziała przy nim w karecie strojonej, ubranej różami.

— Na Błonia! — rzucił stangretowi, wsiadając.

Chciała zaprzeczyć, nie miała sił. Rasowe szpaki ruszyły pełnym kłusem.

— No, nareszcie znowu jesteście sami, jedziemy razem i trochę bardziej po europejsku.

Odetchnął. Patrzył na nią z uśmiechem.

— Tam klóciliśmy się, tu mam nadzieję, że będziemy w zgodzie, czego bardzo gorąco pragnę. Ale chcąc uniknąć dalszych nieporozumień między nami, zacznę od pewnego sprostowania. Oto pani mnie posądziła, że biorę ją za kogoś innego. Czy tak?

— Zdawało mi się, sądząc z pańskich niektórych słów.

— Nie pani, ja nie popełniam podobnych omyłek. Zostałem drużbą pani ad hoc, tylko dlatego, by towarzyszyć pannie Kasi Zahojkiej.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Za to pani uważa mnie na Strzębowskiego, podczas gdy ja jestem Zebrzydowski.

Ognie uderzyły na twarz Kasi, jakby wpadła w jakąś otchłań bezdenną a płomienistą.

— Jak to, więc to pan? — jęknęła głucho. Spozrzegł jej wzburzenie i przybladł nieco.

Ujął jej ręce mocno w swoje dłonie i przytulił do ust.

— Tak pani, jestem tym, którego pani unikała od kilku dni, bardzo zgrabnie, lecz który pomimo to postanowił sobie zdobyć ją dla siebie. Postanowienie moje utrwaliło się dziś, gdym panią poznał osobiście. Ach! Pani mi przecież nie ucieknie! — zawołał chwytając głębiej jej ręce, bo szarpnęła się gwałtownie.

— Panno Kasiu, pani wie, że przeznaczają panią na moją żonę od dawna? Czy to dlatego właśnie uciekała pani ode mnie tak uparcie? Nie przeszkadzałem, bo nie widziałem pani dotąd, ale teraz już pani nie puszczę!.. Nie! za nic!

Patrzyła mu w oczy zupełnie osłupiała.

— Przemawia pan do mnie... doprawdy tak... szczególnie, jakbym była zmuszona, czy zobowiązana ulegać owym... swatom... Antypatyczne słowo.

— Och, nie swatom, ale ulegnie pani moim pragnieniom i swojej własnej woli.

— Pan jest nieprzytomny czy ja? Bo już nic nie rozumiem — wykrzyknęła w otumanieniu.

Pochylił się nad nią i mówił głosem przyciszonym.

— Jesteśmy przytomni, tylko padł na nas czar naszego przeznaczenia. Jesteśmy oboje pod wrażeniem tej siły, która nas zmogła i... która nas połączy. Nie zaprzeczaj! Odczułem, widziałem wrażenie twoje od pierwszej chwili naszego poznania, czyli przed godziną. Moje wrażenie miało taką samą moc, spotęgowaną przez płomień, którego jeszcze nie znasz.

Kasia siedziała odrętwiała i niema, jakby przykuta prądem elektrycznym. On całował jej dłonie rozpalonymi ustami, mówił do niej coś jeszcze, ale już prawie nie słyszała. Urok jego ogłuszył ją zupełnie, nie władała sobą. Czowała ogień w mózgu i w całym swym jestestwie, chłonał ją, spalał, unicestwiał jej wolę do utraty zmysłów. Mówiła mu coś, ale nie pamiętała co, nie ocknęła się z tego stanu narkozy nawet wtedy, gdy powrócili do domu. Było już ciemno, nie widziała, kiedy zapadł wieczór.

— Strasznie długo jeździliście państwo, myśleliśmy, że już pan wykradł nam Kasię i że jej więcej nie ujrzymy — mówił ktoś wesoło.

Kasia widziała jak przez mgłę zgorzone miny pań. W tańcu z Warem doznała niepojętej rozkoszy jego obecności. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

— Ogłosimy dziś nasze zaręczyny. Inaczej niepodobna. Czy chcesz?

— Tak.

Tańcząc, wpadł z nią do jakiegoś buduaru. Na ustach swoich uczuła żar jego pocałunku.

— To odwet za mężne władanie sobą w karecie — szepnął gorąco. Pocałunek ten wzbudził w niej płomień i pograżył ją w otchłań szaleństwa. Pamięta jakie po ogłoszeniu ich zaręczyn zapanowało osłupienie w towarzystwie. Taka niespodzianka! Radość Mohyńskich, zdumienie jej rodziców i Krzysia. Pamięta gdy ją brat spytał, czy jest zupełnie przytomna, odrzekła szczerze „nie, ale jestem szczęśliwa”.

Czuła się istotnie bardzo szczęśliwą.

A teraz?...

Pytanie to rzucone samej sobie zraniło Kasię. Ale myśl tę niebezpieczną odparła drugą myślą — dobrą i ufną: — pomimo wszystko jestem i teraz szczęśliwą.

Zarumieniła się pod krytyczną analizą tej drugiej istoty, która była w niej, a której Kasia lękała się jak najsurowszego sędziego. W obawie krytyki tej drugiej, nie chcąc sobie psuć dobrego usposobienia zaniechała rozmyślań. Z miłych i łagodnych prowadzą one często do gorzkich i nieufnych... Kasia pragnęła zachować nastrój obecny do przyjazdu Edwarda, aby mu uprzyjemnić jego powrót. Dopiero za trzy dni! Więc już zapewne jedzie do Warszawy.

Zebrzydowska spojrzała obojętnie na list hrabiny, trzymany w ręku, ale nie miała ochoty czytać foliałów, zawierających najczęściej różne morały, lub utyskiwania na ludzi i czasy. Wróciła spieszenie do domu i od razu wpadła w wir codziennych zajęć. Wszędzie jej było pełno. Konno pojechała do żniwiarek, odwiedziła folwark a spotkawszy na drodze stangreta, który

objeżdżał młodą parę źrebców ze stadniny, kazała stajennemu odprowadzić swego wierzchowca i długo jeździła na wozie, stojąc i powożąc sama rozhukaną parą arabczyków. Był już wieczór, gdy zatrzymała wóz przed stajnią. Oddała lejce stangretowi i zeskoczyła zręcznie na ziemię. Bolały ją ramiona i drżały trochę kolana.

— Pani dziedziczka to jak chłopak, z przeproszeniem wielmożnej pani — skłonił się jej czapką.

— Ależ te ogiery ostre, niechże ich! — zawołała rozprostowując ramiona.

— Ba — ba! toć czterolatki! Ogień im z pysków idzie. Jaśnie pan jak przyjedzie, to nie pozna tych piekielników. A nasz panicz Krystyn to już chyba ze stajni nie wyjdzie.

Kasia uśmiechnęła się. Przyzwyczajona była do tego, że służba w Kromiłowie nazywała ją tylko panią dziedziczką, Krzysia paniczem, podczas gdy War otrzymywał zawsze tytuł — jaśnie pana.

Wiedziano, że ona nie pozwalała się tak tytułować, ani Krystyn również. Oni oboje byli niejako dziećmi Kromiłowa. Edward był obcym tu i mniej lubianym przybyszem. Odnoszono się do niego bardzo życzliwie, ale trochę chłodno. Tytuł nadawany mu przez służbę oddalał go od niej jeszcze bardziej, lecz Kasia nic na to poradzić nie umiała. War nie dążył do zjednywania sobie służby i tak się jakoś utarło.

Zebrzydowska odbyła naradę z rządcą. Wydała kilka poleceń stangretowi i ogrodnikowi i wolnym krokiem, zmęczona przejażdżką wróciła do domu. Przeczytała jeszcze raz list od Wara, zastanawiając się dlaczego ogarnia ją szczególnie niepokój, pomimo że słowa listu podnieciły ją i poiły dobrą otuchą.

Wieczór już był cichy i słodki.

Kasia spacerowała po alei lipowej zamyślona. Dziwny dreszczyk niepokoju wniknął do duszy i dręczył.

Księżyc wypłynął na niego, czyste jak polerowana blacha, o tonach seledynowych, które wolno nasycaly się odcieniem szaro-błękitnym, coraz ciemniejszym. Budziły się głosy i echa nocne. Wołały za parkiem przepiórki, cicho cykały koniki polne. Z głębin gęstych drzew kwiliły żałośnie młode sówki. Przemykały się zdradliwym lotem nietoperze. Nieszporny rechot żab i ciche a jednostajne bzyczenie komarów było monotonnym refrenem pojedynczych odgłosów i pieśni lipcowego wieczoru. Zapach duszący a upoisty zboża skoszonego, którym tchnęło powietrze, odurzał Kasię. Nozdrza jej chciwie wchłaniały woń drażniącą. Rosło w niej jakieś pragnienie, tęsknota ogromna zdawała się rozwijać w jej

piersiach skrzydła mocarne, by unieść ją całą gdzieś w przestrzeń ku szlakom rozkoszy i szczęścia. Była w niej świadomość tej tęsknoty, a nie było pełnej świadomości jej celu. Poryw jej serca, odczuwany wyraźnie błędził, unosząc ją ku czemuś co nie było realne.

Odczuwała to ale nie mogła dojrzeć oczami ducha.

Był w niej ogrom niepopejety, więc mu się poddawała biernie a nawet z rozkoszną uległością.

W miarę wzmagania się w niej tej siły niezrozumiałej, Kasia chodziła coraz prędzej i coraz ciaśniej było jej w parku. Dusił ją gęszcze drzew, straszyły cienie przepastnych alei. Zaprzęgnęła przestrzeni.

Zdyszana, łaknąca powietrza i jakby pędu, dopadła do bramki w sztachetach, szarpnęła ją i wybiegła na pole.

Szła szybko w blasku błękitno-siwym po drodze, po rżyskach ostrych, po miedzach wonnych od ziół i drobnych kwiatuszków mleczka. Oddychała pełną piersią, kąpała się w tej roztoczy rzeźwey, pachnącej cząbrem, przesyconej wonią zbóż i rosy. Niosła się wskroś tych pól wiotka i chybka, tajemnicza a zwodna, srebrząca się w brzasku księżyca jak błędny ognik.

Był w niej odmet wrażeń nieskrystalizowanych, chaos myśli płynących przez mózg nurtem rzeki. I był w niej płomień rozpalający ją do żaru, który trawił ją i targał jej nerwy.

A zarazem nieuchwytną mocą sprzeczności koił ją i przesycił jej serce zaspokojeniem. Zmęczona wrazeniami tej burzy wewnętrznej, rzuciła się na snopy pszeniczne, lekko wilgotne, pachnące silnie i zapadła w sypką, chrzęstliwą pościel.

Był w niej radosny zachwyty odpoczynku i ciszy. Czowała jak ta cisza brała ją w swe ramiona i tuliła pieściwie i nasyciała błogosławieństwem spokoju. Spokój spływał na nią powoli, kołysał ją jak dziecko umęczone szarpaniną i buntem. Czowała ten spokój prawie dotykalnie. Muskał jej czoło rozpalone męką niewysłowionej tęsknicy. Kładł się na jej gorących ustach pieczęcią słodką niby upragnionym pocałunkiem. Poczowała w sobie bezwład i upojenie, dosyt rozkoszy i cicho... cicho, gasnący żar.

Zmąciła się myśl i odczucia wszelkie. Nasunęła się leciutka różowo-szara mgła, zasłaniająca metalowy blask księżyca. Pokryła sobą wszystko dokoła i stawała się coraz bardziej różowa, coraz bardziej purpurowa, aż zmieniła się w zaspę szkarłatną. Zasnuła, zasypała sobą błękitną roztocz księżycowej poświaty. Umilkło granie żab z oddali, tylko cykał konik polny w snopach pszenicznych dyszących rozkoszą.

ROZDZIAŁ III

Tomek „niesamowity” spał na miedzy, puszystej od traw, i kwiatów. Przykryty swoją sukmanką świecił wśród ziół jasną czuprynką, na której osiadła gęsta rosa.

Brzask srebrny, starszy brat złotego świtu, rzucił blawe spojrzenie na pola osnute mgłą nocy.

Spojrzenie to było już zapowiedzią cudu pogody i wesela. Rosa z mlecznej jęła się przeistaczać w migotliwą i niewodem utkanym gęsto pokryła zboża, jeszcze stojące na pniu i rozległe rżyska. Rozsiały się na nich kopczyki ściętych i powiązanych snopków. Brzask wychynał spoza lasu, rozlał się szeroko po łąkach. Budził wszystko dokoła do życia i ruchu.

Ocknęły się ze snu płowe owsy. Dreszcz rozkoszy biegł wskroś całego społeczeństwa kłosów i zachwiał ich młodymi trzęsieniami. Rzeźwy dreszcz wniknął pomiędzy drzewa gaju. Brzozy polotne zaszumiły sennie i na rozpuszczone gałęzie nabierając coraz więcej srebra, drżały w oczekiwaniu przecuć radosnych.

Oczekiwaniem szczodrego świtu tchnął cały gaj, dyszały pola zbożne i zielone niwy.

I zabłysnął poranek w złocie świtu poczęty.

Ptaki podniosły wrzawę. Skrzydlate rzesze wymykały się z gniazd na żer. Z pól śmigały zające uraczone już do syta. Kryły się do kotlin i schowek w zbożu. Rude lisy obżarte sunęły cichym truchtem do nor zacisznych. Zjadliwym nosem węszyły niebezpieczeństwo, wątpliwe na razie, lecz ostrożność nie zawadzi. Spełnione morderstwo nocne może się zemścić na skórze lisa mordercy. Zresztą czas spać po hulaszczej rozdobędzie. Zamilkło wnet na polach. Czworonogi żerujące poznikały, tylko ptaki rozwiemożniły się ufne w swoje prawa zdobywców żeru i pracy o białym dniu.

Opary uniosły się nad łąkami. Skupiały w sobie uciekające z pól rosy, pełne teraz tęczowych kropli.

Ostry chłód przeniknął smukłe i wątłe ciało Tomka. Wstrząsnął nim dreszcz.

Chłopiec ocknął się, otworzył oczy szeroko. W błękicie ich zamigotał różowy blask jutrzeńki. Tomek zerwał się z wilgotnej trawy i rozejrzał po polach.

— Zaspał świt, ot i znowu zaspał! — wyrzekł głośno zmartwiony.

Gniewny błysk zamigotał w jego oczach. Niesamowity przecie był, nazwany tak przez całą wieś. „Bo jakże: w chałupie nie nocuje, po polach i

lasach się włóczy o kawałku chleba. Zna się z drzewami i z wszelką gadziną, prawi ci coś do niej, czego niktoj nie pojmie. Pewnikiem ni strzyg ni duchów nijakich się nie boi. Ot taki już jest odmieniec. Teraz do dworu przystał i pani dziedziczka pozwala mu z onej gliny, co mu sama kupuje, lepić bzdury jak powiadają w szkole. Pewno pani dziedziczka trzyma go przy sobie z tej nudy a z litości nad dлубkiem pozwala mu na one lepidła, bo to, to do niczegoj więcej nie zdatne a na pysku ładne i przypochlibne. Ale niech ino jaśnie pan zjedzie do dworu, wnet dлубek będzie tu znowu po polach z gadziną gadał a gęsi w szkodę puszczał. Gdzie mu tam na ogrodniczka! Jurasek prawi żeć niechluj jest a ino cierpliwość pani dziedziczki znosi takiego odmienca we dworze!" — tak mówiła stara Marcycha poprzedniego wieczora w izbie u Kostrzewów.

Tomek słyszał to i omal się nie rozpląkał, żal dławił go i strach, żeby go istotnie ze dworu nie „wyleli", bo znowu nie miałyby gliny pięknej, tylko zwykłą, z glinianki brudnej wziętą. I nie byłoby tych figur różnych, które mu pani przynosiła i nie gadałby z nią i nie widział jak ona maluje domy a pałace,

Książki mu dawała. Były w nich malowane figury cudne, rzeźby i posągi. Tomek od przytomności odchodził, patrząc na nie. W innych były zwierzęta, ptaki, kwiaty, a jeszcze w innych historyczne obrazy. Książki te stały się dla Tomka ewangelią. W szkole lubił najlepiej historię, słuchał z wielkim zajęciem wykładu nauczyciela i sam ją sobie potem dopełniał wyobraźnią. Widział jak Krakus zabija smoka, słyszał ryk bestii, widział posokę na maczudze Krakusa. Widział w snach Wandę, rzucającą się do Wisły i zdawało mu się, że każdy rys królowej mógł wyrzeźbić, jakby na nią patrzył.

Już minęło sześć tygodni, jak Tomek chodzi do dworu i już nie rozumiałby teraz dawnego życia, przy pasieniu gęsi. A jednak mniejszą miał teraz swobodę, niż dawniej, kiedy to od wczesnej wiosny do późnej jesieni wałęsał się po polach i lasach. Nauczyciel dowodził zawsze, że z Tomka Kostrzewiaka nic nigdy nie wyrośnie mądrego. Dobre i słodkie dziecko, ale niezdarą. W zimie demoralizował uczniów w szkole, wedle opinii nauczyciela a na wiosnę choćby go przywiązać to ucieknie albo się rozchoruje z tęsknoty za polem i słońcem. Od małego dziecka dla Tomka domem i szkołą przez większą część roku była natura. Zżył się z nią, zbratał i kochał nade wszystko. Ale teraz przy umiłowanych swych pracach, we dworze, obok Zebrzydowskiej, nie tęsknił za dawnym życiem. Przeciwnie lękał się, by nie powróciło. Więc wróżby Marcychy przeraziły go i szczerze zgnębiły. Długo w nocy nie mógł zasnąć na swojej miedzy, ciężko

wzdychał, wiedząc już od służby we dworze, że jaśnie pan przyjedzie. Zasnął potem kamiennym snem i oto przespał świt...

Tomek zerwał się z pościeli traw. Patrzył na jutrzenkę jakby wyrzucając tej złotej lunie, że go nie obudziła.

— Niedojda ja nieszczęśny, śpioch zatracony! — zawołał z goryczą. W oczach błękitnych pojawiła się chmurka żalu, na ustach osiadła niechęć i pogarda dla samego siebie.

Wtem ujrzał rząd szarych kulek, toczących się zwawo, jak różaniec, wśród płowej przeźroczej gęstwy owsa.

Radosny uśmiech ożywił opaloną twarz Tomka.

Prędko wyrwał z zanadza chleb czarny, ciepły od jego ciała i jął kruszyć na ziemię.

— Ciur, ciur, ciur malutkie kochanieńkie niebożęta. Ciur, ciur!... Kuropatwy nie spłoszone podtoczyły się sznurkiem do nóg Tomka i jęły zawzięcie dziobać rzucane okruchy. Kwiliły cicho. Ale i chłopak poczuł głód. Drobiąc przeto chleb dla kurek, wkładał go po kawałku do swoich ust. Zuł chleb przemawiając do kuropatw serdecznie. Gdy wreszcie kromki zabrakło zmartwił się szczerze i wyrzucał sobie łakomstwo. Po chwili biegł miedzą w stronę swojej chałupy. Uczuł głód i pragnął się ogrzać.

— Już dzień na niebie, już dzień! — powtarzał sobie w myśli, tęskniąc za dworskim parkiem i ukochaną pracą pod błękitno-żółtym parasolem.

Z miedzy wpadł na rżysko, gdzie stały kopy żytnich snopów.

Złe warczenie psa wstrzymało go. Spojrzał i stanął zdumiony. Na snopkach leżała dziedziczka a obok stał Rex i wyzywająco patrzył na chłopca.

— La Boga, dyć co to?

Kasia zerwała się i usiadła zdziwiona również.

— Tomek! Co ty tu robisz tak rano?

— Ja nocowałem na miedzy.

— A ja wyszłam sobie na spacer i odpoczywam — uśmiechnęła się Zebrzydowska. Przespała bowiem całą noc w snopkach i zbudził ją dopiero okrzyk Tomka. Rex widocznie czuwał nad nią w nocy ale nawet nie słyszała, kiedy się zjawił.

Podnosząc się raźnie z chrześliwej pościeli, rozbawiona swoją przygodą śmiała się do Tomka wesoło.

— Czemuż to nocowałeś na polu. Co?...

— Dyć ja tak zawsze.

— Jak to, nie śpisz w chałupie? Dlaczego? Chłopak milczał.

— I nie zimno ci na polu, nie straszno?

— Ni, a zapach je piękny i tyło powietrza i ja sam na miedzy, to wolę na polu niż w chałupie, na piecu z dzieciokami.

— Masz rację, tu się wybornie śpi! — zdradziła się. — Ale teraz chłodno. Brrr... zimna kąpiel. Tomek, od dziś będziesz sypiał we dworze koło kuchni, z Juraskiem.

Chłopak zaczerwienił się i zmieszał.

— A bez co tak?

— Bo możesz się przeziębć.

— E, ja zwyczajny! Czasem to i w kopanie ziemniaków jeszcze se w lesie sypiam, bo w lesie cieplej. A zawdy co na dworze, to na dworze. Ja zwyczajny.

Znać było, że propozycja Kasi nie zachwyciła go. Chłopak przestępował z nogi na nogę i patrzył na panią z wahaniem i lękiem.

— No, co chcesz powiedzieć Tomek? Mów śmiało!

— A to bojam się okropnie, że me jaśnie pan wygna ze dwora, kiej przyjedzie. Straśnie się tego bojam, bo mnie powiadali...

— Kto ci takie głupstwa opowiadał?

— A Marcycha. Peda, że takiego odmienca to tylko pani dziedziczka cierzpi ale, że jaśnie pan... To już i gliny nie będę miał i onych figur przesłicznych?

Łzy błysnęły w oczach pacholecia, szczerze łzy głębokiego zmartwienia.

Kasia zaśmiała się. Położyła dłoń na jasnej główce i rzekła serdecznie:

— Bądź spokojny! Pan cię nie wypędzi i nie myśl nawet o tym. Będziesz dziś lepił tego lwa, którego ci wczoraj pokazywałam.

— Ale ja konia z tym dokiejem jeszcze nie skończył, bo jak się rozwalił...

— No to skończysz konia a potem tamto. Chodźmy teraz do dworu na śniadanie.

Tomek otarł łzy i podniósł na Kasię oczy pełne niewysłowionej wdzięczności.

Szli do dworu. Tomek baraszkował z Rexem, wesoly jak szczygieł, rozgadany i roześmiany. Zebrzydowska patrzyła na niego. Pytanie natrętnie zmąciło nieco jej dobry nastrój, wywołany niezwykłą przygodą przespanej nocy na polu i słonecznym porankiem.

— Czy on się już nie spaczył?... czy go już nie wytrąciłam z jego przyrodzonych ram?

Lecz ta chwila refleksji zgłuszona została natychmiast przez inną myśl. Zastanowiła się co ją wczoraj tak uniosło? Skąd ten żywioł zerwał się w niej huraganem i zatopił w łunie płomienistej.

— War! — usłyszała szept jakby tej drugiej istoty, którą zawsze odczuwała w sobie czasem z niechęcią i oburzeniem.

Czyżby War?

To przypuszczenie wydało jej się upokarzające. A jednak nie mogła zaprzeczyć; że wiadomość o powrocie Wara zbudziła w niej tęsknotę i pragnienie jego przyjazdu. Nie był w domu od wczesnej wiosny. Kasia miała w duszy gorycz i zwątpienie, żal drażniący jej ambicje wkraśl się do serca i nurtował i bolał. Pustkę czuła dokoła siebie. Ale zaczęła lekceważyć takie objawy. Wmawiała w siebie obojętność i zanik tych porywów, które niedawno były tak silne, że zdołały złamać jej wolę, skierowaną w zupełnie inne zakresy życia.

Krytykowała siebie, pogardzała sobą i była przekonana, że otrzeźwienie przyszło bezwzględne, graniczące już z obojętnością, może nawet z niechęcią.

A jednak...

Doznała oto jakby ocknięcia się z owej trzeźwości, w którą wierzyła święcie. To ją zdumiało jako objaw nowy a niepokojący.

Niespostrzeżona przez nikogo wbiegła do dworu.

Była wesoła i czuła się wybornie. Ujrzawszy łóżko swoje posłane na noc, nietknięte, zaśmiała się.

— Gotowy powód do plotek!

Rzuciła się na pościel ze śmiechem, zgmiotła ją jak należy i zaczęła się rozbierać do kąpieli.

Spostrzegła na stoliku list Mołyńskiej.

Rozrzewniła się... Kochana ciocia — gdyby nie jej upór, może bym nie poznała Wara?...

Przeniknęło ją nad wyraz miłe uczucie szczęścia i wesela życia. Wszelkie niepokoje wnikające wczoraj do jej duszy pierzchły bez śladu... Ale ujrzawszy swoje rysunki techniczne przypomniała zastrzeżenie męża, zawarte w jego liście. Lekka chmurka przyciemniła nieco jej oczy.

— Taki to już jest ten mój wytworny War — pomyślała z przychylną pobłażliwością. I obiecywała sobie, że potrafi ułagodzić Wara, zjednać go dla swojej pracy, przekonać. A wszakże starała się o to przez dwa lata. War widział, że ona potrafi pogodzić jedno z drugim. Często nawet wbrew swojej naturze poddawała się sugestywnie jego woli i wstydząc się samej siebie, grała rolę rozleniwionej hurysy, strojna tak, jak on lubił, poddająca się biernie jego zachciankom. Lecz epiku-rejką nie była z natury, wręcz przeciwnie, więc taka gra męczyła ją, śmieszyła i w rezultacie bolała. Jej

energia nie nadawała się do podobnych ról, przejmujących ją wstrętem. Brzydziła się sobie i zaczęła sobą pogardzać.

— Czyż i teraz tak będzie?...

Kasia czuła w sobie przedziwną moc zwalczania wszelkich niechęci męża, ale wiedziała, że sama poddawać mu się już nie zdoła.

Sabarytyzm Wara znany jej wybornie był jej niebezpiecznym wrogiem.

O tym, by dał się wypenić z natury Wara, nie marzyła. Lecz jej pogodna dusza ożywała się nadzieją, że szczęście powróci w całej pełni i że zamięta harmonia ich pożycia rozjaśni się przez jej ogromne pragnienie szczęścia, którym potrafi i Wara natchnąć tak, że dawne chmury znikną na zawsze.

List Mohyńskiej znowu trochę osłabił nadzieje Kasi. Były w nim jakieś ostrzeżenia mgliste, jakieś zwroty do niej, że zapatrzona w swoje cele zaniedbuje szczęście osobiste, że zamiast wyrabiać sobie koncesję na budowę szkoły w Kromiłowiu, zamiast gospodarować i wysyłać Warowi pieniądze, powinna była sama jechać na „owe kuracje, które go gubią”.

Hrabina Oktawia rozpisała się o obowiązkach żony, „że nowoczesne sawantki dobrowolnie zatracają ideał rodziny, najświętszy dla kobiety i najpotrzebniejszy dla kraju”.

Kasia rozumiejąc to wszystko, nie miała pod tym względem wyrzutów sumienia, prócz tej jednej winy, że nie pojechała razem z Warem na kurację. Czuła się zdrowa i silna, leczyc się nie było potrzeby. Wszelkich uzdrowisk nie cierpiała. Jechać tam tylko dla zabawy było dla niej szczytem bezmyślności i próżniactwa. Tego w sobie nawet dla Wara nie zdołała wyrobić. Zresztą War wydawał bardzo dużo, czyż miała mu dopomagać, bo wszakże powstrzymać go nie było sposobu.

— Ciocia coś majaczy!

Ale w tych wymówkach Mohyńskiej Kasia wyczuła jeszcze coś innego, co ją zaniepokoiło...

— Ciocia coś wie o Warze.

Konkluzja ta burzyła cały spokój Kasi osiągnięty i pobudzony rychłym przyjazdem Wara i tęsknotą za nim.

Przez parę dni oddzielających ją od upragnionej chwili, młoda kobieta była czynniejsza jeszcze niż zwykle. Wrażenie wyniesione z listu Mohyńskiej przykre na razie osłabło prędko i wreszcie zanikło zupełnie. Kasia myślała tylko o tym, jak uprzyjemnić powrót do domu Warowi. Chyba odczuje wszystkie jej starania najdrobiazgowsze i odgadnie, że robione były z myślą o nim. Dwór cały, pokoje, łazienkę, ogród, stajnie, wszystko się odświeżało. Wszystko miało wygląd odświętny. Spiżarnia

zapełniła się smakołykami, zastosowanymi do gustów Wara. Kucharz otrzymał polecenia wyłączone. W sobotę rano Kromiłów przedstawiał się godowo, weselnie. Dzień był jasny, upalny, przepojony błękitem i złotem. Kasia ubrana biało, świeża jak maj nosła właśnie z ogrodu kryształowy koszyk napełniony czarnymi wiśniami, których emaliowa glazura zdawała się tryskać nadmiarem soku, gdy z daleka zawarczała trąbka samochodu wysłanego na kolej.

— Jada!

Hamując wrażenie, wyszła na spotkanie męża.

Oparła się o rzeźbioną balustradę wysokiego ganku i patrzyła na wtaczającą się w bramę wielką limuzynę. Na przedniej szybie słońce rozpryskiwało tysiące iskier jaskrawych. Limuzyna znikła za kępami krzewów, ukazała się na skrócie, błysnęła lakierami, znowu zanurzyła w skupinach białej spirei i wreszcie w całej paradzie, cicho jak po sznurku podsunęła się pod wysokie schody podjazdu.

Lokaj z głębokim ukłonem chciał otworzyć karete, gdy nagle szarpnięto drzwiczki i ukazał się w nich Krystyn Zahojcki.

Ujrawszy siostrę uniósł czapkę nad głowę i jął wchodzić na schody dość wolno. Patrzył na Kasię z nieokreślonym uśmiechem, ale ona wlepione miała oczy w limuzynę odsuwającą się cicho od podjazdu.

Krystyn stanął przy niej. Spojrzał na niego jakby zza mgły.

— War?...

Głos jej był zdławiony. Przez twarz Krystyna przemknął cień.

— War jest w Biarritz.

— Wiem. Pisał... miał przyjechać z tobą. Czy co się stało? Krystyn milczał. Weszli do przedpokoju. Za chwilę w bibliotece

Kasia chwyciła brata za rękę. Była podniecona.

— Jesteśmy sami. Mów co z Warem?... Zahojcki patrzył na nią przyćmionym wzrokiem.

— Powtarzam, nie przyjechał z Biarritz.

— Więc miałaś jakąś wiadomość kiedy przyjedzie? Pisał? Telegrafował?

— A do ciebie co pisał? Tak, w ogóle, jakie były jego listy?

— Krzysiu, mów mi od razu bez wykretów, co się dzieje z Warem? — zawołała gorączkowo.

Krystyn zawahał się, widząc wzburzenie siostry. Nie spodziewał się tego i to go zmieszało. Ale spojrzawszy w jej oczy rzekł prędko, bezbarwnie.

— War wyjechał do Bretanii do zamku...

— Dokończ...

— ...do zamku pewnej margrabiny Rimaldi i z nią. Twarz Kasi stała się kredowo blada.

— Siostrzyczko, najdroższe dziecko! — zawołał Krystyn chwytając ją w ramiona — nie sądziłem nigdy, że ty...

— Skąd masz tę wiadomość? Mów wszystko. Chcę wiedzieć wszystko — mówiła szorstko, niecierpliwie.

— Edward był na wyjeździe z Biarritzu, gdy poznał tę panią. Od razu zawiązał się romans. Zabrała go do swego zamku nad Atlantykiem. Wszystko to stało się niemal impetycznie. Na zimę mają jechać do Egiptu. Wiem z najpewniejszego źródła, bo od mego przyjaciela, który stamtąd wraca.

— Czy nie wiesz, kiedy nastąpiło to... poznanie? — spytała Kasia.

— Owszem, wiem. Poznali się na corso kwiatowym — Krystyn wymienił datę.

Kasia rozumiejąc to wszystko, nie miała pod tym względem wyrzutów sumienia, prócz tej jednej winy, że nie pojechała razem z Warą na kurację. Czuła się zdrowa i silna, leczyć się nie było potrzeby. Wszelkich uzdrowisk nie cierpiała. Jechać tam tylko dla zabawy było dla niej szczytem bezmyślności i próżniactwa. Tego w sobie nawet dla Wara nie zdołała wyrobić. Zresztą War wydawał bardzo dużo, czyż miała mu dopomagać, bo wszakże powstrzymać go nie było sposobu.

— Ciocia coś majaczy!

Ale w tych wymówkach Mohyńskiej Kasia wyczuła jeszcze coś innego, co ją zaniepokoiło...

— Ciocia coś wie o Warze.

Konkluzja ta burzyła cały spokój Kasi osiągnięty i pobudzony rychłym przyjazdem Wara i tęsknotą za nim.

Przez parę dni oddzielających ją od upragnionej chwili, młoda kobieta była czynniejsza jeszcze niż zwykle. Wrażenie wyniesione z listu Mohyńskiej przykre na razie osłabło prędko i wreszcie zanikło zupełnie. Kasia myślała tylko o tym, jak uprzyjemnić powrót do domu Warowi. Chyba odczuje wszystkie jej starania najdrobiazgowsze i odgadnie, że robione były z myślą o nim. Dwór cały, pokoje, łazienkę, ogród, stajnie, wszystko się odświeżało. Wszystko miało wygląd odświętny. Spiżarnia zapełniła się smakołykami, zastosowanymi do gustów Wara. Kucharz otrzymał polecenia wyłączne. W sobotę rano Kromiłów przedstawiał się godowo, weselnie. Dzień był jasny, upalny, przepojony błękitem i złotem. Kasia ubrana biało, świeża jak maj niosła właśnie z ogrodu kryształowy koszyk napełniony czarnymi wiśniami, których emaliowa glazura zdawała

się tryskać nadmiarem soku, gdy z daleka zawarczała trąbka samochodu wysłanego na kolej.

— Jada!

Hamując wrażenie, wyszła na spotkanie męża.

Oparła się o rzeźbioną balustradę wysokiego ganku i patrzyła na wtaczającą się w bramę wielką limuzynę. Na przedniej szybie słońce rozpryskiwało tysiące iskier jaskrawych. Limuzyna znikła za kępami krzewów, ukazała się na skrócie, błysnęła lakierami, znowu zanurzyła w skupinach białej spirei i wreszcie w całej paradzie, cicho jak po sznurku podsunęła się pod wysokie schody podjazdu.

Lokaj z głębokim ukłonem chciał otworzyć karete, gdy nagle szarpnięto drzwiczki i ukazał się w nich Krystyn Zahojski.

Ujrawszy siostrę uniósł czapkę nad głową i jął wchodzić na schody dość wolno. Patrzył na Kasię z nieokreślonym uśmiechem, ale ona wlepione miała oczy w limuzynę odsuwającą się cicho od podjazdu.

Krystyn stanął przy niej. Spojrzała na niego jakby zza mgły.

— War?...

Głos jej był zdławiony. Przez twarz Krystyna przemknął cień.

— War jest w Biarritz.

— Wiem. Pisał... miał przyjechać z tobą. Czy co się stało? Krystyn milczał. Weszli do przedpokoju. Za chwilę w bibliotece

Kasia chwyciła brata za rękę. Była podniecona.

— Jesteśmy sami. Mów co z Warem?... Zahojski patrzył na nią przyćmionym wzrokiem.

— Powtarzam, nie przyjechał z Biarritz.

— Więc miałeś jakąś wiadomość kiedy przyjedzie? Pisał? Telegrafował?

— A do ciebie co pisał? Tak, w ogóle, jakie były jego listy?

— Krzysiu, mów mi od razu bez wykrętów, co się dzieje z Warem? — zawołała gorączkowo.

Krystyn zawahał się, widząc wzburzenie siostry. Nie spodziewał się tego i to go zmieszało. Ale spojrzawszy w jej oczy rzekł prędko, bezbarwnie.

— War wyjechał do Bretanii do zamku...

— Dokończ...

— ...do zamku pewnej margrabiny Rimaldi i z nią. Twarz Kasi stała się kredowo blada.

— Siostrzyczko, najdroższe dziecko! — zawołał Krystyn chwytając ją w ramiona — nie sądziłem nigdy, że ty...

— Skąd masz tę wiadomość? Mów wszystko. Chcę wiedzieć wszystko — mówiła szorstko, niecierpliwie.

— Edward był na wyjeździe z Biarritzu, gdy poznał tę panią. Od razu zawiązał się romans. Zabrała go do swego zamku nad Atlantykiem. Wszystko to stało się niemal impetycznie. Na zimę mają jechać do Egiptu. Wiem z najpewniejszego źródła, bo od mego przyjaciela, który stamtąd wraca.

— Czy nie wiesz, kiedy nastąpiło to... poznanie? — spytała Kasia.

— Owszem, wiem. Poznali się na corso kwiatowym — Krystyn wymienił datę.

— W parę dni po napisaniu listu do mnie — szepnęła młoda kobieta, pamiętając datę listu Wara.

— No tak, powtarzam, nastąpiło to impetycznie. Możemy się tu spodziewać lada dzień Kmietowicza, gdyż War zażądał telegraficznie ogromnej sumy z Pochlebów, na co dzierżawa dać nie może. Będziesz musiała pokryć to z Kromiłowa. Żądanie było tak naglące, że Kmietowicz wysłał z własnej kasy. Widziałem się z nim w Warszawie. Jest rozgoryczony. Jeśli ten Egipt dojdzie do skutku to...

Kasia usiadła ciężko na fotelu i twarz ukryła w dłoniach.

ROZDZIAŁ IV

Po cichej szaro mętnej lagunie Kasia Zebrzydowska płynęła w małej gondoli zapatrzona w białą wizję Wenecji. Kilka dni minęło od chwili, gdy tu przybyła. Nie mogła zdecydować się na dalszą podróż. Przyjechała tu jednym tchem z Kromiłowa, pędząc jak na skrzydłach na ratunek Wara i swego szczęścia. Nie zastanawiała się nad swoim czynem, nie dociekała niczego. Przez trzy miesiące walczyła z sobą, borykała się ze swą zgryzotą i męką. Czekala powrotu męża z nadzieją w sercu, że jego wycieczka romantyczna do zamku margrabiny Rimaldi, skończy się powrotem do domu. Liczyła na to, że szal jego minie. Zdusiła w sobie wszystkie burze i buntury zrywające się w niej przeciw niemu. Łagodziła oburzenie własnej rodziny, znosiła gorzkie ponad wszelki wyraz przykre wyrzuty matki Zebrzydowskiej, bo wciąż oczekiwała przyjazdu Wara. Dopiero gdy on w połowie października zażądał pieniędzy z Neapolu, nie mogła dłużej przebywać samotnie w Kromiłowie. Uniósł ją ból, żal i nowa nieśmiała nadzieja. Pojedzie do niego! Może zdoła wyrzucić jakiś wpływ.

Zresztą nie bardzo zastanawiała się, pragnęła ratować Wara i ratować siebie. Tym hasłem wiedziona zerwała się, jak ptak do odlotu.

I ugrzęzła w Wenecji, bo przyszło znużenie duchowe a w ślad za nim rozwaga.

Po co tam jedzie? Nie myślała o tym co ją tam spotkać może, tylko po co jedzie w ogóle, bo przyszło jakby jasnowidzenie, że nie osiągnie celu. Co dzień postanawiała jechać dalej i co dzień zostawała z coraz głębszym przekonaniem, że lepiej wracać do pustego Kromiłowa na całą długą, głuchą zimę niż dążyć teraz do Wara. Była zbyt wyczerpana i zbyt słaba. Wola jej zastygła. Dogadzała jej ta bierność chwilowa i nieobecność siebie samej w sobie. Łagodziła ją Wenecja, która była świadkiem największego szczęścia Kasi z Warem. Zdawało jej się, że w tych murach, we freskach pałaców i świątyń przyczajone drzemia jej

dawne szczęśliwe i pełne zachwyty spojrzenia, że słowa Wara, które wówczas do niej mówił, szepczą tu jeszcze zaklęte w uroczone echa tamtych dni. Chodziła tam gdzie chodzili z Warem, pływała tam, gdzie on sam wiosłował, tylko z nią, na łagodnych falach Adriatyku. Widziała przed sobą jego sylwetkę przy wiosłach i łamanie się odbicia jego postaci na fali. Słyszała jego głos, czasem jakby na jawie i te oczy jego, którymi przykuł ją do siebie. Tamte wspomnienia to był narkotyk zbyt silny i odurzający, by mogła mu się oprzeć i wyrwać się z tych miejsc przepojonych i jakby nasiąkniętych nim.

Im ból stawał się silniejszym, tym War był bliższym jej duszy, im dalej był od niej, tym bardziej pragnęła odzyskania go dla siebie. Ale opuścić te zaczarowane miejsca i gonić za nim do wrogiej sobie świadomości, że on... z tamtą... nie miała sił i bała się, że te oczekiwane siły nie nadejdą i że wola jej złamie się pod mocą trwogi. Tak trwała, sama siebie nie poznając jakby była w niej inna osoba.

Mała gondola sunęła niby łabędź po gładkim lustrze wody, trącanej od czasu do czasu wiosłem leniwego wioślarza, staruszka. Spod czarnego beretu błyskała srebrna kępka włosów, oczy jasne, jak u dziecka niewinne patrzyły w wodną dal. Stary gondolier przyzwyczajony był już do zadumy swojej młodej pasażerki. Opowiedział jej już wszystko, co miał do opowiadania. Woził ją wszędzie, gdzie chciała i gdzie sam uważał za stosowne. Wyśpiewywał sennym głosem cały zapas swoich pieśni i niczym nie rozruszał tej młodej a samotnej pani, w której oku gazeli czaił się ból. Miała widocznie jakąś truciznę w sercu. Gondolier to odczuł i także zamilkł. Tylko, gdy mijali inne gondole, wołał stereotypowe ho, ho, ho! będące niby echem takich samych nawoływań jego kolegów. Łódź wypłynąwszy spoza ogromnego masywu klasztoru i kościoła St. Giorgio ślizgała się lekko jak mewa, dążąc wprost przed siebie ku Piazzecie. Kasia Zebrzydowska utkwiała oczy w koronkowej fasadzie pałacu Dożów. Tam na balkonie stawała z Warem. W księżycowe wieczory patrzyli na przestrzeń lagun i morza, drgającą w blaskach błękitno srebrystych... Ale miłszym było dla nich wtedy wpatrywanie się w swoje oczy i wsłuchiwanie się w tętno własnych serc...

Dawno, jak to już zdaje się dawno, a jednak dwa lata zaledwo...

Słoneczne południe przypomniało Kasi żniwa w Kromiłowiu. Zapachniały lipy miodnym, dusznym tchnieniem, gdzieś jakby brzęczały bursztynowe pszczoły, ciężarne słodyczą. I woń skoszonego zboża i łąn złoty zaszumiał.

Buchnęła tęsknota do serca gorącą falą i przez migawkowe skojarzenie wrażeń i wspomnień nasunęła się pamięci jasna główka pacholęcia, pochylona nad bryłką gliny. Tomek! Został w Kromiłowiu pod opieką kucharza, który lubił chłopca. Miał zapas gliny, narzędzia różne, modele, do ulubionej pracy.

W oczach Kasi wpatrzonych w Palazzo Ducale — zamigotało. Gdyby Tomek widział cuda Wenecji! te gmachy przepiękne, freski, obrazy, posągi. Może wtedy talent jego wylaniający się nieśmiało zabłysnąłby twórczo.

Niepokój dręczący wpłynął do duszy młodej kobiety.

— Nie zaniedbuj Tomka — usłyszała w sobie jakby czyjś nakaz... Sama wydobyłaś go z szarzyzny jego bytu, nie pozwól by wrócił do niej... złamie się, zmarnuje... Rozpoczętej idei swej nie unicestwiał swoją niedolą, nie zniwecz dobrego postanowienia z powodu własnej ruiny duchowej...

Myśli te tak gwałtownie opanowały umysł Kasi, że zgłuszyły w niej na chwilę niepokoję i cierpienia.

Dopływała do Piazzetty z postanowieniem, że napisze do Tomka i pošle mu albumy pełne reprodukcji rzeźb i obrazów. Z radością wyobrażała sobie uszczęśliwienie chłopczyń z takiego daru.

Gdy gondola zatrzymała się na przystani, Kasia prędko wbiegła na plac Piazzetty z nową, nieco żywszą podniętą w nerwach. Wtem od gmachu prokuratorii oderwała się wysoka postać męska i dążyła prędko w jej stronę. Kasia nie zwróciła uwagi na zbliżającego się mężczyznę aż umiejscowił ją głos jego, bardzo niski.

— Moje uszanowanie pani.

Drgnęła, spojrzała zdumiona. Tak! Przed nią stał Andrzej Dębosz. Zebrzydowska odruchowo wyciągnęła do niego ręce serdecznie.

— Wy tu? Skąd?

Pochylił ciemną głowę, ucałował jej rękę krótko, w mocnym uścisku. Jego oczy głębokie, przejrzyste spojrzały na nią wymownie.

— Jestem tu przejazdem, zwiedzam Wenecję... A pani?...

— Dlaczego nie mówicie po dawnemu?... Uśmiechnął się blade.

— To już zdaje się tak dawno...

Miała na ustach: mówcie jak dawniej — koleżanko — ale się wstrzymała. Co by War na to powiedział?... Więc odrzekła inaczej.

— A tak, wydaje się to bardzo dawno. Zawisła nad nimi chwila kłopotliwej ciszy.

— Już od półtrzecia roku prawie, was... pani — poprawił się — nie widziałem.

— Tak.

Patrzył na nią badawczo, ciepłym, serdecznym wzrokiem. Widocznym było, że chciał ją o coś spytać, lecz nie śmiał.

Mówili o Wenecji zdaniemiami urywanymi. Szli obok siebie, zatraciwszy dawną szczerłość, jakby omackiem szukając tematów najłatwiejszych do zamaskowania istotnych myśli. Ale rwały się one na usta mimo woli i uparcie. Męczyli się tym i pomimo radości spotkania ciążyli sobie oboje.

Wreszcie Kasia spytała wahająco:

— Powiedział pan, że jest tu przejazdem. Skąd?

— Jadę ze Szwajcarii, gdzie zwiedzałem gospodarstwa małorolnych, a głównie mleczarstwo. Chciałbym zastosowywać do naszych warunków niektóre wzory.

— Więc zajmuje pana gospodarstwo? Architektura wszakże była pańskim celem?

— I nie wyrzekam się tego fachu, jakkolwiek skieruję go ku budownictwu wiejskiemu. Bardzo jest zaniedbane, pole do działania nadzwyczaj szerokie i wdzięczne. Pragnę na nim rozwijać swoją pracę i dążenie by wsie nasze udoskonalać pod tym względem. Ale jako gospodarz na roli chcę i muszę dbać również o kulturę własnej zagrody i moich współbraci. Jest dużo do roboty, że zaś mamy sporo łąk w naszych okolicach, przeto i mleczarstwo i hodowla przedstawia dział do rozwoju bardzo podatny. A jakże postępują prace architektoniczne pani?

Kasia machnęła ręką z niechęcią.

— Ta budowla pani we Lwowie wyborna. Powinna być dla pani zachętą do dalszej pracy i to nie byle jakiej. Słyszałem, że pani stara się o koncesję...

— Ach... nie mówmy o tym! Tak, miałam dużo projektów, plany mam wykończone — ale...

Umilkła i znowu nastąpiła kłopotliwa chwila milczenia.

Wieczór zapadał.

Na placu Św. Marka otoczyły ich rzesze gołębi. Rozwiewne szumne skrzydła białe, popielate i srebrzysto lśniące sypały się zewsząd, opadały masowo na przechodniów. Gruchały rzewliwie i radośnie, spacerując swobodnie po tym swoim placu. Różowe refleksy zachodu barwiły nieskalane pióra tonami purpury, tęczę mieniły się smukłe szyje ptaków, dzioby miały barwę koralu.

Dziwna pogoda była w tym poufałym i przyjaznym obcowaniu ptaków z ludźmi.

Andrzej i Kasia owiani skrzydłami tych pieścuchów białopiórych, spojrzeli na siebie śmieiej i oboje się uśmiechnęli, bo nadleciało ku nim wspomnienie.

— Pamięta pani gołębie na podwórzu, w domu, gdzie pani mieszkała we Lwowie?

— U poczciwych Łyszoniów! Pamiętam! Pan im porobił klatki obok mego okna i budziły mnie raniutko gruchaniem. Nazywaliśmy je — nasze gołębie. Och, dobre to były czasy studenckie, wesoło, swobodnie!

— A wszelkie kłopoty pokrywał dobry humor i wiara w przyszłość — dodał Dębosz.

— Często i pańska energia przyczyniała się do polepszenia humoru. Byłeś kolego jedynym przyjacielem wyzbytym zupełnie egoizmu. Chyba nikt z naszej paczki nie zapomniał waszego serca, ani ja tym bardziej — dodała prędko.

Spojrzał na nią bystro i spuścił oczy. Wydała mu się wzruszona, odczuł, że jest nieszczęśliwą. Odgadywał powód, lecz milczał. Ale raz draśnięta struna jej uczuć nie mogła już dłużej być niema.

Chodzili po placu Piazzetty, błądzili po wąskich uliczkach Wenecji, zatopieni w rozmowie już szczerzej, już ufnej jak dwoje rodzeństwa, jak prawdziwi przyjaciele. Kasia pod wpływem jego serdeczności, sama nie wiedziała, jak i kiedy zwierzyła mu swoją mękę i swój zamiar wyjazdu do Neapolu.

Wyznanie jej sprawiło na Andrzeju ogromne wrażenie, lecz nie było dla niego rzeczą nieprzewidzianą. Gdy dał jej to delikatnie do zrozumienia, zdziwiła się, uczuła się nawet dotkniętą.

— Skąd pan mógł przeczuwać moje przeżycia, wszak pan męża mego nie znał.

— Jednakże dla mnie większą niespodzianką było zamążpójście pani, tak nagle, niż obecna... sytuacja. Państwo oboje pochodzicie z tej samej sfery, ludzi możliwych i świetnie urodzonych, ale pani charakter, pani usposobienie, pani ideały tak się bardzo wyodrębniają od indywidualnych cech pana Zebrzydowskiego, że nie można było wątpić, iż przyjść musi chwila obecna.

Kasia milczała.

Siedzieli na ławce pod kolumnami pałacu Dożów. Oczy młodej kobiety zanurzone w roztoczy lagun przyćmiły się chmurą niechęci

z powodu jego słów. Uczuła leciutkie drgnienie nagłego niezadowolenia, że wszczęła tę rozmowę.

Dębosz odgadł jej myśli. Brwi zsunęły mu się na czole. Rzekł trochę głuchym głosem.

— Daleki jestem od analizowania psychiki pana Zebrzydowskiego i... nie mam do tego prawa. Ale psychika drogiej koleżanki, którą znam i wysoko cenię, to co innego i do zrozumienia jej mam prawo, prawo bardzo oddanego przyjaciela.

Umilkł na moment, po czym mówił znowu, patrząc jasno w oczy Kasi.

— Pan Zebrzydowski swoim urokiem, bo zdaje się, że to się tak nazywa, nagiął pani duszę i serce do siebie, po prostu zasuggestionował panią. Pod wpływem tej narkozy pani dała się nagiąć jego woli. Ale pani nie złamała się i pani się nie złamie, bo to nie leży w jej charakterze. Pani się już ocknęła, tylko oszołomienie dotąd nie minęło, gdyż zbyt silny był dur. I...

dlatego właśnie by ten niebezpieczny dur naprawdę nie złamał pani, jechać tam nie radzę, pani tam jechać nie może!

— Dlaczego? Wszak jeśli ja... trzeźwieję, moim obowiązkiem jest ocalić mego męża od takiego duru, od zatury.

— Pani go nie ocali...

— Dlaczego?

— Bo to nie jest dur, to natura.

Kasia zamyśliła się. Jak on przeczuwał Wara! Czyż on go znał? Dębosz mówił dalej nie patrząc już na nią.

— Natura i szal sprzeciwu nie znoszą dopóki nie nastąpi wyładowanie i zmęczenie. Wtedy dopiero można reagować.

— Więc ja... teraz?

— Pani teraz powinna wrócić do Kromiowa, by ukoić stargane nerwy i uspokoić burzę wewnętrzną. Pani musi być mocna i silna. Przed panią dużo walk, zmagania się z sobą i z losem. Ale pani przewycięży się i pani zwycięży. Czy to będzie zwycięstwo nad złym losem, czy zwycięstwo nad sobą, w każdym razie będzie to triumf jej siły duchowej, jej natury nad słabością... innych.

Kasia spuściła głowę. W słowie „innych” odgadła Wara i uczuła gorzki żal, że nie zdołała zatrzymać go przy sobie, że on potrafił nagiąć ją do siebie, a ona była tak słaba...

Dębosz, jakby czytając w jej myślach, mówił łagodnym, miękkim głosem:

— Nikt się z nas nie spodziewał, że pani, właśnie pani, poświęci najpiękniejszą swoją przyszłość, wybitne zdolności, marzenia, których byłem świadkiem we wspólnej pracy, że wszystko to pani złoży w ofierze tak łatwo i bezkrytycznie...

Umilkł, ale Kasia wiedziała, co chciał powiedzieć.

— Jako przyjaciel pani pragnąłbym dla niej szczęścia, pani mi wybaczy, nie wierzyłem w trwałość jego. Znam pani zapatrywania socjalne, więc ani na chwilę nie wątpiłem, że ideał rodzinnego ogniska pociągnie panią, i że pani rodzinę założy. Ale nie tak nagle i nie taką. Zapewne wdzieram się zbyt śmiało w tajniki pani życia, jednakże, zawsze tylko na zasadzie przyjaźni czynię swoje uwagi. I twierdzę, że prawdziwy ideał rodziny, w której ognisko nigdy nie wygasa, musi się składać z dwojga ludzi stworzonych dla siebie... i stworzonych w ogóle dla rodzinnego gniazda. Bo nie wszyscy odpowiadają takiemu powołaniu. Dwoje ludzi o różnych zapatrywaniach na świat i życie, ludzi, których natury indywidualnie zdają się pochodzić z dwóch odmiennych planet, mogą się z sobą wybornie

bawić, ale nigdy nie wiązać się na wspólne długie życie. Taki konglomerat staje się wkrótce nieszczęściem dla jednej strony o ile nie dla obojga. Pod strzechą takiego domu płomień rodzinny nie rozpali się świetnym stosem, lecz będzie się tlił, pełzał w popiele zważenia, aż zgaśnie bezpowrotnie. W takim związku skoro się nawet stworzy rodzinę, nigdy ładu nie będzie. Pozostanie zawsze tylko sztuczny zlepek dwojga męczenników skutych obowiązkiem i wspólnością życiowych spraw, lecz duchowo obcych sobie i rozgoryczonych neurasteników.

— Zdawałoby się jednakże, że... miłość to najlepszy probierz do szczęśliwego doboru i związku — rzekła Kasia w głębokiej zadumie.

Dębosz wniknął oczyma w ciemny brąz jej źrenic. Twarz jego męska, energiczna, miała wyraz niemal surowy.

— Miłość, tak, ale wtedy tylko gdy poczęta jest ze źródeł duszy, z tych najtajniejszych źródeł, które biorą początek w rdzeniu ducha ludzkiego. Skoro dwa takie duchowe uczucia jednej miary i wartości spotkają się z sobą, choćby pociągnięte początkowo porywem zmysłów, wtedy ognisko domowe zapłonie jasno i równo. Gdy jednakże podłożem takiej pseudomiłości jest... szal, zachwyty polegający na zewnętrznych walorach, że już nie wspomnę o przyczynach innego rodzaju, wiążących tak często ludzi węzłem małżeńskim, wtedy dom przestaje być domem a jest sceną, przygotowaną do dramatu cichego lub głośnego albo areną dla skandalu i sensacji.

Andrzej umilkł.

Mrok otulił ich szarą płachtą, po której ślizgały się jaskrawe hafty blasków z latarń na Piazzecie. Długa złota igła światła przekłuwała lagunę od przystani aż ku klasztorowi St. Giorgio, tańcząc na spokojnym lustrze wód.

Po chwilowej ciszy, maconej tylko lekkim szmerem ludzkiego gwaru z oddali, nagle Kasia powstała. W oczach jej palił się jakiś żar szczególnie. Dębosz patrzył na nią ciekawie. Ona wyciągnęła do niego rękę.

— Do widzenia! Już późno. Idę do siebie.

— Czy mogę odprowadzić panią?

— Proszę. Mieszkam nad Canale Grandę.

Poszli bez słowa. Wsiadli do gondoli. Kasia wymieniła pensjonat i popłynęli, znowu nic do siebie nie mówiąc czas dłuższy. Wreszcie Kasia rzekła niechętnie.

— Jak ponure są te łodzie wieczorem. Wracam zwykle wcześniej do mieszkania, aby nie płynąć po tej ciemnej wodzie tymi czarnymi gondolami.

Wstrząsnęła się.

— Ja radzę pani wyjechać stąd jak najprędzej.

— Dokądże pojedzie?... — powiedziała to smutno i z przejmującym bólem.

Wysiadając z gondoli w milczeniu podała mu rękę.

Rozstali się.

Andrzej nie spytał, czy może ją nazajutrz odwiedzić. Jej twarz blada i gorejące oczy miały w wyrazie coś takiego, że uczuł się względem niej onieśmielony.

Na drugi dzień w południe podano jej bilet wizytowy Dębosza. Przyjęła go w salonie pensjonatowym. Zauważył od razu, że była jeszcze bledszą niż wczoraj. Miała podkrążone oczy i lekko nabrzmiałe powieki... Zdławił go żal. Musiał zapanować nad sobą, by nie ucałować jej ręki zbyt gorąco.

— Przyszedłem panią pożegnać.

— Jak to, pan wyjeżdża?!

— Tak pani. Muszę. Pozwoliłem sobie na parę dni takiego zbytku, wracając ze studiów w Szwajcarii jak to już opowiedziałem wczoraj. Zboczyłem dużo na południe, by zobaczyć Wenecję. Miałem szczęście, spotkałem panią. Trzeba wracać do pracy, do domu.

Otworzyła oczy szeroko, zdumiona.

— Pan ma dom rodzinny?

— Tak, dom swój w Zagórze, matkę i brata, który jest w szkole.

— Ach, więc po dawnemu!... Myślałam, że pan już żonaty.

— Nie pani.

Jej zrobiło się jakoś lżej. Doznała wrażenia, że ktoś bliski został przy niej, że nie jest samą. Patrzyła na niego. Był lekko zmieszany i miał spuszczone oczy.

— Więc pan dziś... odjeżdża? — Chciała powiedzieć — opuszcza mnie — lecz się wstrzymała.

— Za parę godzin. A pani?

— Ja?... — zawahała się. Odczuł, że zadrżała. Ale wnet odrzekła, udając swobodny ton głosu.

— Mówiłam panu, dokąd jadę.

— I pani nie zmieni projektu i pani sądzi, że jej sił starczy.

— Nie miałabym ich tylko na powrót do pustego domu, do domu nad którego dachem rozwiał się dym...

Porwał jej rękę w uścisk serdeczny.

— Droga pani, koleżanko, niech pani nie przyczynia się sama do zupełnego wygaśnięcia domowego ogniska. Niech pani wróci, niech pani to ciepło domu swego zachowa, niech je pani pielęgnuje pieczołowicie z

wiarą, że mąż zateśkni sam do ciepła waszego domu i wróci, pomimo wszystko wróci i będzie pani wdzięczny za zachowanie tego ognia. A może potem, razem, oboje już nie pozwolicie by wygasnął i zapłonie na nowo.

— Nie płonął nigdy — wybuchnęła. — Błysnął świetną rakieta i zgasł. Czy pan sądzi, że z popiołów takich może się rozpaść znicz? Niech pan będzie szczerzy! Nie chcę komunałów. Sama widzę i przeczuwam prawdę.

— Przecucia bywają niekiedy mylne, gorsze jest ujrzenie prawdy — i dlatego raz jeszcze błagam, panią, nie jedź tam!

— Właśnie chcę zobaczyć, chcę zgłębić całą przepaść mojej ruiny.

— Pani Kasiu!!

— Może mnie ta świadomość dopiero otrzeźwi.

— A jeśli przeciwnie?

— O nie! Pan miał słusność, ja za silna jestem by ginąć dla mrzonki i za ambitna.

— I pani pojedzie taka sama?... Czyż brat pani pozwolił jej wyruszyć samej na tego rodzaju wycieczkę?

— Nie opowiadałam się nikomu. Nikt z rodziny nie wie, gdzie jestem. Gdyby Kromiów wywędrował z kraju, zapewne powstałby alarm i protesty, ale ja!...

— Gorycz przez usta pani przemawia. Gdybym ja mógł, gdybym był w możliwości i... w prawie! — zawołał.

Okropny ból i niepokój wrył się na jego twarzy. Oczy pociemniały z wrażeń.

— Panie Andrzeju, pan jeden wie, gdzie jestem i dokąd jadę. Oni tam zapewne dowiedzieli się już, że brałam paszport zagraniczny, ale więcej nie wiedzą nic. Proszę i ufam że pan spotkanie się ze mną zachowa w zupełnej tajemnicy. Wszak mogę na to liczyć?...

— Tak, pani najdroższa, ale z warunkiem, że ja będę zawsze wiedział, gdzie pani jest i co się z nią dzieje!

Podawała mu rękę.

— Dobrze. Przyjaźń pańska będzie może często jedynym ciepłem i ucieczką moją w chwilach ciężkich... A tymczasem niech pan chwilę zaczeka.

Wyszła z salonu, w minutę wróciła niosąc dwa duże albumy i ciężkie pudełko, owinięte w papier.

— Chciałam pana prosić, drogi kolego o wręczenie tych rzeczy pewnemu chłopczynie, w Kromiowie, nazwiskiem Tomek Kostrzewa. To go zaciekawi. Proszę mu powiedzieć... mój Boże, czy napisać do niego, gdyby pan nie chciał osobiście, że wrócę i żeby się nie martwił, a tymczasem

korzystał z tego co zostawiłam. I żeby się stale uczył w szkole miejscowej do czasu, aż... aż wrócę.

Łzy zaszkliły w jej oczach.

Dębosz nic nie rozumiał, ale zgiął się do rąk Kasi i długo oderwać ust od nich nie zdołał.

A ona jakby nagle uspokojona zawołała prawie wesoło.

— Mam świetną myśl! Pojedziemy razem przez laguny, jedną stację do Mestro, a stamtąd już różne powiodą nas drogi.

RS

ROZDZIAŁ V

Stało się to tak nagle, że Kasia nie była pewna — sen to czy jawa.

Odsunięta w głąb, zagubiona w tłumie zgromadzonym w porcie w Neapolu, patrzyła rozszerzonymi oczyma na męża swego, który w towarzystwie kobiety niezwykle pięknej i strojnej wsiadał oto tam, do łodzi motorowej mającej odwieźć ich na wielki statek włoski „Regina Margerita” odpływający do Egiptu.

Widziała ich wszakże wyraźnie, ukazali się jej oczom nagle, wytryśli z tłumu niby zjawisko nierealne, ujrane w halucynacji a jednak tak bardzo rzeczywiste. Przed minutą wysiedli z auta, w tym momencie właśnie ujrzała ich. Lokaj hotelowy niósł ich walizy i pledy.

A oto wsiadają do łodzi... Kasia patrzy na to, ale jest niezupełnie przytomna. Czuje szum w głowie i wszystko się dokoła kręci, jakby świat i ludzie dostali obłądu.

— Ejże, czy to mnie przede wszystkim nie grozi? — szepce Kasia do siebie i dotyka palcami czoła. Odejmuje palce i widzi, że rękawiczka jest mokra. A oni tam właśnie odpływają. Motor warczy, pieni się woda. Kasia widzi ich doskonale, wyglądają jakby wypukły haft na przezroczej gładzi wodnej. War siedzi zwrócony twarzą do brzegu i kłania się kapeluszem. Komu on się kłania na Boga?... Aha, kłania się publice, która żegna wesoło pasażerów. Nie tylko War macha kapeluszem w stronę tłumu, robią to samo inni mężczyźni, panie powiewają chusteczkami. Wykwintny w rysunku profil towarzyszkii Wara rzeźbi się wyraźnie spod podróżnego toczka. Jest piękna, bardzo piękna! War wygląda młodo i jest jak zawsze bez zarzutu. Uśmiechnięty, rozbawiony. Coś do niej mówi żywo. Są wpatrzeni w siebie. Kasia to widzi, ale jej się zdaje, że to taki dziwnie plastyczny sen. Nie, gdzież tam, to nie sen, to prawda! Zresztą cóż to ją tak dziwi. Jest wszakże w Neapolu, dokąd War polecił wysłać pieniądze Kmie to wieżowi. Kmietowicz był w Kromiłowiu, zawiadomił ją, że takiej sumy dostarczyć nie może, gdyż

posyłał bardzo dużo do Bretanii. Wtedy Kasia użyczyła żądanych pieniędzy z kasy kromiłowskiej i natychmiast wyjechała za granicę. Była w Wenecji i przyjechała tu dziś w południe. Przy obiedzie przeczytała w dzienniku miejscowym, że statek „Regina Margerita” odpływa do Aleksandrii o piątej wieczorem. Coś ją poniosło do portu — bo nawet jechała tam trochę bezmyślnie, i oto ujrzała ich. Przeszli koło niej o jakieś trzydzieści kroków. Rozmawiali z sobą po angielsku, usłyszała głos Wara, mówił coś o statku.

Ale czy to on?

Kasia chciała się uśmiechnąć na tę własną wątpliwość, lecz jakiś skurcz wykrzywił jej usta. Nagle bez namysłu zatrzymała lokaja hotelowego, który wracał od przystani.

— Kto to jest? — spytała po francusku, wskazując na oddalającą się motorówkę.

— Hrabia Zebiidowsky i margrabina Rimaldi.

Lokaj uchylił kapelusza i rzucił na Kasię bystre spojrzenie. Uderzyła go bladeść tej nieznajomej i nic go nie obchodzącej osoby.

Ona odeszła na sam brzeg przystani, w pewnym oddaleniu od gromady ludzkiej. Rozszalał się w niej jakiś śmiech, czuła w sobie ten śmiech, przepełniał ją całą. Pytała się lokaja o własnego męża?... Cóż za idiotyzm!

A motorówka oto już jest przy statku... oni tam wchodzi po schodach spuszczonej na pokład. Przepadło wszystko! War jej nie zobaczył, a była tak blisko. Jeszcze teraz przez lunetę mógłby dojrzeć ją. Ona ich widzi jak na dłoni zanadto wyraźnie. Zaslaniają ich czasem ludzie, lecz oczy Kasi jak najlepsza perspektywa odnajduje ich znowu. Są zawsze razem. No tak, nikogo poza sobą nie widzą. War pochylony ku niej. Tak samo było kiedyś w Wenecji, na parowcu spacerowym Spezzia. Taką samą sylwetkę jego widzi teraz, jakże inaczej, inaczej! Kasia podnosi oczy ponad zatokę, hen w górę i opiera wzrok zmacony na wielkim pióropuszu nad kraterem Wezuwiusza. Kolos oddycha gigantyczną piersią wydmuchując kłęby dymu, które na tle turkusowego nieba nabierają odcieni zielonawo-brunatnych.

Kasia spostrzega, że te zwały dymów oddalają się to zbliżają ku niej dziwnie drżą jakby je kto na sznurku pociągał. Chwilami stają się nabrzmiałe to znowu maleją, prawie nikną. Kasia patrzy na to obojętnie, jest odrętwiała nie czuje siebie.

Zbudził ją ostry ryk syreny. Statek odpływa. Kasia patrzy na dymiące kominy statku. Dwa małe wulkany u stóp Wezuwiusza, zieją czarną sadzą a kadłub odsuwa się powoli w lazur zatoki.

Ludzie na przystani zaczynają się rozchodzić. Ale Kasia stoi i stoi, tylko ciągle jej się zdaje, że to ona odpływa na morze, a że War pozostał na brzegu. Dlaczego on nie jedzie z nią razem?...

Już nie widzi osób na pokładzie. „Regina Margerita” wysmukła teraz, jakby wyprostowała swe członki. Sunie chyżo, pruje turkusową zatokę a poza sobą zostawia skołtuniony warkocz perlistych pian. Coraz jest mniejsza, drobnieje, wsiąka w ogólny ton błękitu... zlewa się z nim na kształt odlatującego albatrosa.

Przyszła chwila, że nad portem utkanym przy brzegu parowcami i łodziami, nad pustą zatoką panował już tylko olbrzymi kopiec Wezuwiusza. Oddechem swym niewinnym dawał znać, że... czuwa, ale nie grozi.

— Wszystko skończone! — rzekła Kasia do siebie głośno. — War pojechał!! War pojechał! — powtórzyła wsłuchując się sama ze zdziwieniem w dźwięk swego głosu.

Rozejrzała się dokoła. Co robić i dokąd iść? W duszy nie było nic, ani żalu, ani bólu, nic, pustka! Tylko takie uczucie, jak po przeminiętym oszłomieniu. To coś złego, co było przed chwilą, już przeszło — tak samo, jak ten statek tam, na zatoce. Zsunięty z duszy jakiś ciężar, jak z fali turkusowej gniojący ją tłok statku. Jakaś pustka wieje swobodnie. A jednak trudno oderwać się od tej zatoki wolnej od ciężaru statku, na którym odplynał War.

Hrabia Zebiudowski i margrabina Rimaldi — zaśmiało się szyderstwo w duszy Kasi.

W Egipcie będą zapewne występowali jako hrabiostwo Zebiudowski. W pewnej minucie młoda kobieta odwróciła się gwałtownie od widoku zatoki i wulkanu. Szła przed siebie zupełnie obojętnie. Prześwitywała myśl mętna co robić? i zaraz odpowiedź niby pochodząca od kogoś innego — wracać do Kromiłowa.

Był to jakby słyszany z odległości głos Andrzeja. Młoda kobieta szła prędko, choć nie wiedziała dokąd. Zabłąkana w obcym mieście, czuła jednak nad sobą jakąś opiekę niedostrzegalną a wyczuwaną wyraźnie. Zdawało jej się, że nie jest tu samą.

Była zmęczona. Zaczął ją ogarniać zupełny bezwład duchowy i fizyczny. Nogi pod nią ciążyły, ledwo je wlokła. Ujrzała jakąś cukiernię, taras, stoliki pod jaskrawymi parasolami. Przypomnił się Kromiłów — Tomek...

Weszła na taras, zajęła stolik pod błękitnym parasolem. Zjawił się kelner. Spojrzała na niego zdziwiona. Kazała podać napój chłodzący i siedziała nad nietkniętą szklanką zapatrzona w zaróżowiony od zachodu słońca pióropusz dymu nad wulkanem. Myśli młodej kobiety tłoczyły się do mózgu i rozwiewały bez śladu, tak samo, jak dymy Wezuwiusza na tle szarzejącego nieba. Było tych myśli mnóstwo, ale żadnej konkretnej lub takiej, która przyniosłaby jakąś ulgę i dała impuls do czegoś. Ot jedna drugą spychała, jedna krótsza od drugiej a wszystkie razem tworzyły płataninę i chaos wielobarwny nie do odcyfrowania. Wtem zahuczał jazz-band w głównej sali cukierni. Groteskowa muzyka pełna brawury ocknęła Kasię. Spostrzegła teraz dopiero, że lampy są już pozapalane i że na tarasie przybywa coraz więcej osób. Kasia powstała prędko z miejsca i znowu siadła. Ogarnął ją

lęk. Jakże przejdzie teraz pomiędzy przepelnionymi stolikami. Czego oni na nią patrzą? Tu może wczoraj siedział War z tamtą.

Jazz-band huczał na sali. Robiło się na dworze ciemniej. Kasia siedząc przy samej balustradzie, patrzyła wciąż na różowy słup strzelający z krateru. Niebo miało już kolor zielonkawo-szary, przepasane było na skraju horyzontu cienką krwawą smugą obrzeżoną morelowym brzaskiem. Ostatni rumieniec nieba. A tam gdzieś na roztoczy morskiej pruje ciemną falę oświetlony gmach pełen gwaru, wrzawy. Jazz-band grzmi wesoło, na pokładzie pasażerowie grupami, parami i War z nią... taki sam, jak był ongi na Spezzi między Wenecją a Lido.

Oni może także patrzą na różowy pióropusz nad Wezuwiuszem...

Nie, już im pewno zginął z oczu. A może jeszcze ta ognista zjawa, naturalna latarnia morska przyświeca im z daleka?

Kasia widzi „Reginę Margeritę” oczami wyobraźni, słyszy najwyraźniej monotonny plusk rozgarnianych dziobem statku fal i głuchy tykot śruby. Widzi oświetlone salony, przesuwające się pary a wszyscy mają jedną fizjonomię — Wara i tamtej... Ten jej kameowy wykwintny profil harmonizuje wybornie z męskim, klasycznym zarysem profilu Wara. Ich postacie obok siebie... O, i tam oni... i tam znowu oni!... Ależ i przy burcie statku oni oboje stoją i coś szepczą do siebie. Jazz huczy aż cały statek drży. Zaczyna się widać chwiejba, morze kołysze silniej. Kasia patrzy na Wara i margrabinę, ale czuje, że zaraz wpadnie do wody. Odruchowo chwytą się burty statku. Trzeźwieje, orientuje się, że nie jest na statku... więc gdzie? Aha, w cukierni!... Jazz-band milknie, oklaski! War i tamta zniknęli... tylko wulkan ziele różowym oddechem i raptem taka cisza... Skąd ta cisza nagle?

Z pobliskich stolików patrzą na nią ciekawie mężczyźni i kobiety. Już coś odgadują, wężą jakiś żer dla siebie. Młoda kobieta oprzytomniała zupełnie. Zebrała cały zapas sił. Mężnie powstała od stolika, pomimo że nogi jej ciążyły ołowiem. Rzuciła na stolik jakąś monetę i wyszła z tarasu krokiem zbyt sztywnym, bo za dużo osób na nią patrzyło. Przeszła jakiś oświetlony placyk obok tarasu, gdzie pachniały kwiaty. Ujrzała ławeczkę i już chciała sięść by odpocząć, gdy jakiś mężczyzna wziął ją pod ramię. Wesoły głos półszepcem zabrzmiał tuż przy jej uchu.

— Pani zmęczona, odprowadzę panią do domu. Zaraz siądziemy do auta.

Spojrzała na niego. Duże czarne oczy paliły się jakby wilcze w mroku zakątka.

Kasia szarpnęła ramię.

— Proszę mnie puścić... ja mieszkam.

— Ależ wiem, wiem i właśnie tam pojedziemy. Szarpnęła się mocniej z okrzykiem zgrozy.

Wtem ramię mężczyzny odgięte jakąś obcą siłą uwolniło ją z brutalnego uścisku. Napastnik odepchnięty potoczył się na bok. Jakiś okrzyk-przekleństwo. Kasię prowadził ktoś inny, mocno trzymając pod ramię.

Przeżrana szarpnęła się znowu.

Ale krzyk zamarł na jej ustach. Ujrzała przy sobie twarz Dębosza skurczoną z gniewu.

— Koleżanko to ja! proszę się uspokoić. Jedziemy na dworzec, pociąg za dwie godziny odchodzi.

Milczała.

Czyż to dalszy ciąg snu?

Wsiedli do auta, jechali...

— Jakiś koszmar mnie dręczy — przemówiła Kasia.

— Nie, droga pani, zły koszmar już się rozwiązał... Niech pani nabierze sił i będzie trzeźwą. Dojeżdżamy do hotelu. Pani zabierze swoje rzeczy, zapłaci i jedziemy na dworzec... Proszę się postarać być zupełnie spokojną. Tak trzeba.

— A pan?...

— Ja mieszkam tuż obok. Jedną chwilą, będę przy pani.

Auto stanęło przed dużym gmachem rzeźbiście oświetlonym. Wkrótce jechali znowu razem.

Kasia spytała nieśmiało.

— Skąd pan tu?... przecież rozstaliśmy się w Mestro.

— Jechałem razem z panią, w innym wagonie. Nie chciałem się pani narzucać. Ale przecież nie mogłem puścić pani samej tu, w tych warunkach. Czuwałem!

— Czy pan był... czy pan... widział?

— Tak, byłem w porcie podczas odpływania „Margerity”... Potem widząc pani nastrój, czuwałem ostrożnie z postanowieniem zabrania pani dziś, koniecznie, tym właśnie nocnym pociągiem by wracać do kraju. Lękałem się panią niepokoić wcześniej i... spóźniłem się trochę.

— Był pan na tarasie?

— Nie, na placyku na ławce. Ale widziałem panią cały czas.

— I... dym nad Wezuwiuszem pan widział?

Spojrzał na nią... Miała twarz bladą, oczy przymknięte.

— Widziałem.

— Oni go także widzieli długo... długo... ten różowy dym...

— Zapewne...

— I teraz jeszcze widzą... Ogromny snop ognisty... Andrzej milczał.

W pociągu Dębosz ulokował Kasię w przedziale sypialnym dla pań, gdzie jechała jakaś francuska dama z dzieckiem.

Kasia rozciągnęła się z rozkoszą na improwizowanym łóżku i wyczerpana doszczętnie a jakoś dziwnie spokojna jakby utulona czyjąś pieśczęcią, zasnęła kamiennym snem młodości i zmęczenia. W śnie widziała ciągle ognisty słup wulkanu wytryskujący z ciemnych zbufowanych fal, które, kołysząc się to przyćmiewały zjawisko to je znowu odsłaniały w całej parady.

Kasia w śnie czuła kołysanie się statku, ale była na nim sama bez żadnych wizji.

RS

ROZDZIAŁ VI

Gdy późnym wieczorem samochód wtaczał się w bramę dworską w Kromiłowie, Kasia ujrzała oświetlone okna pokojów gościnnych. Zaskoczyło ją to. Kto mógł być o tej porze w domu? Na ganku stał lokaj, pokojowiec Jurasek i Tomek przyparty do filaru. Ujrawszy panią mały artysta rzucił się do jej rąk.

— Jak się masz moje dziecko! — ucałowała chłopca w głowę. Stary lokaj Dionizy witał ją z radością.

— Czy są goście? — spytała, gdy całował ją w rękę.

— Jest pan hrabia i pani hrabina, a także starsza pani, matka jaśnie pana.

Kasia doznała przykrego uczucia. By pokryć wrażenie, rzekła bezdźwięcznie.

— Szofer nic nie mówił o tym.

— Przyjechali przed godziną zaledwo, autem z Krakowa.

— A pan Krystyn?

— Jest także, był tu już kilka razy, dopytując o wieści od pani dziedziczki, ale że nie było żadnych...

Do przedpokoju wyszedł hrabia August i Krystyn Zahojski. Obaj uścisnęli Kasię serdecznie, trochę ją to rozbroiło.

— Gdziez byłaś marnotrawna córko? Chyba nie siedziałaś we Wiedniu, skąd była depesza, jak widzieliśmy. Oboje z Warem gdzieś przepadacie, że aż pfe! Doprawdy pfe!

Kasia zerknęła na hrabiego nieufnie.

— Wujczek w dobrym humorze!

— No, niezupełnie. Ale jest tu ktoś... tego... owego... w gorszym.

— Wyobrażam sobie!

Jakoż zaraz po kolacji w salonie, zły humor pani Zebrzydowskiej objawił się w całej pełni.

Kasia wysłuchiwała mnóstwo gorzkich wymówek i uwag, aż nadto cierpkich. Zarzuty padały na nią niesprawiedliwe, siekły jak grad bez litości. Pani Beata na widok synowej dostała jednego ze swych napadów hysterii. Hrabia Mohyński próbował protestować na niektóre, zbyt jaskrawe pretensje, lecz nie mógł dojść do słowa. Hrabina, która już leżała w łóżku, była nieobecna. Ujął się wreszcie za siostrą Krystyn Zahojski, ale Kasia, siedząc spokojnie, skinęła na niego, by milczał.

Gdy potok słów pani Zebrzydowskiej wyczerpał się, bo już wszystko wypowiedziała, co ciążyło jej na sercu, wtedy z patosem niezwykłym nawet u niej załamała ręce.

— I cóż ja teraz pocznę, skoro Kmiotowicz wstrzymuje wypłaty z Pochlebów. Wara wypędziłaś z domu swoją ekscentrycznością i mnie chcesz zrujnować, niegodna o niegodna! Jesteś bezwstydną i złą! On się tam gdzieś błąka biedaczek po świecie, bezdomny, a ja chyba pójdę do przytułku.

Kasia zwróciła się do brata:

— Wszak opłaciłeś Krysiu mieszkanie matki w Krakowie?

— Tak, jeszcze we wrześniu, za sześć miesięcy zapłacono i renta pani również.

— A więc?...

— Ależ żarty sobie jakieś ze mnie stroisz — krzyknęła stara dama. — Ja nie potrzebuję twoich pieniędzy, słyszysz! Ja mam swoją sumę na Pochlebach i ta winna mi być święcie wypłacona. Tego żądam i od tego nie odstąpię. Nie potrzebuję łaski panny Zahojskiej, aby żyć. Chcę sumę oddać na procenty i wyjechać za granicę, gdzie ty sobie latasz! Nie chcę tu widzieć nieszczęścia mego syna!

Nowy potop słów spadł lawiną na głowę Kasi. Hrabina Mohyńska w swoim pokoju usłyszała ciche pukanie do drzwi.

— Proszę! Czy to ty Kasiu?... Nareszcie!

— To ja proszę jaśnie pani!

Drobna figurka chłopca rzuciła się przed łóżkiem hrabiny na kolana.

— Proszę jaśnie pani tam na dole, ta pani taka strasznie zła krzyczy na naszą dziedziczkę. O la Boga! — nasza dziedziczka cheba zemrze, o la Boga, trza ratowć naszą panią! Trza...

— Cóż to, to? Ktoś ty? Co to jest?

— Ja Tomek Kostrzewiak. Jaśnie pani niech biegną na ratunek naszej pani. Tam na nią swarzą, la Boga!...

Hrabina patrzyła na dziecinną twarzyczkę wyrostka zalaną łzami, bezmiernie zdumiona.

— No idź, zaraz tam pójdę...

Tomek szlochając wybiegł z pokoju i znowu dopadł do pieca w hallu, w którym Jurasek kazał mu pilnować ognia. Pachole przykucnęło przy kaflach i zalane łzami słuchało dochodzących spoza drzwi spazmatycznych wykrzyków „złej pani”.

— Tyś mu przyniosła nieszczęście! Tyś zakała naszej rodziny! Dlatego, że Pochleby nie przedstawiają już wartości, wypędziłaś męża z domu!

— Beti! Beti!

Ale głos hrabiego zginął w tym zgiełku słów i wykrzyków. Krystyn rzucił się oburzony, lecz Kasia znowu zatrzymała go ręką i powstawszy bardzo blada zwróciła się do świekry.

— Więc ja „latam” za granicę i „wypędziłam” z domu męża. Teraz powiem po co jeździłam do Neapolu, dokąd wysłane były ostatnio pieniądze dla Wara. Oto chciałam zatrzymać go, łudziłam się, że może go ocalę. Ale War... syn... pani wyjechał do Egiptu ze swoją kochanką.

— To kłamstwo! Kto ci to powiedział?... Kasia wyprostowała się dumnie.

— Sama byłam świadkiem, gdy odpływali, War i... tamta, margrabina Rimaldi. Ona zapewne nie będzie zakałał waszej rodziny. Proszę się postarać o rozwód, ja trudności robić nie będę! Ustąpię.

— Masz tobie! — zawołał hrabia, ujrawszy jednocześnie żonę swoją w drzwiach.

Hrabina Mohyńska w szlafroku, w przekrzywionym czepeczku na głowie rzuciła na panią Beatę piorunujące spojrzenie.

— Nie masz wstydu i ambicji, Beato, rzucać kamieniem na Kasię w jej domu, za swego syna, nicponia! Kasiu, chodź ze mną!

Wzięła za rękę młodą kobietę trzęsącą się z obrazy i łez, które teraz dopiero falą zalały jej oczy.

Krystyn wybiegł także, zgrzytając zębami i przeklinając głośno, że pani Beata niestety jest kobietą... W salonie został hrabia i dysząca złością rozwścieczona pani Zebrzydowska.

Mohyński z rękoma założonymi za plecy spacerował mrużąc coś pod nosem. Wreszcie stanął przed siostrą i patrzył na nią ironicznie ruszając szczękami.

— No, co, ulżyło ci? He!... Dawno się tak już nie wykrzyczała rzetelnie. I to na kogo? na Kasię, w jej własnym domu, jak słusznie

zauważyła Oktawcia, Ma foi! Gdyby chociaż na Wara byłoby nieco sprawiedliwiej i odrobinę bardziej zasłużenie. Ale on — jak słyszałaś wieje sobie z kochanką pod piramidy! He, he! kochany chłopyś!! Ale ci się udał jedynaczek no, no!

— Ona kłamie! kłamie! kłamie!... Mohyński nasrożył się.

— Kasia kłamie? Jak śmiesz nawet rzucać jej podobną obelgę? W ogóle twoje zarzuty i wymówki były w najwyższym stopniu ordynarne.

Skoczyła jak żmija.

Hrabia wiedział, czym ją najbardziej dotknie.

— Tak, rumieniłem się za ciebie przed Zahojkim, bo Kasia już zdążyła poznać twój repertuar językowy. O, pfe, pfe! Dowiedziałaś się nareszcie jak

to ona „wypędziła męża z domu”. To było bardzo wulgarnie jak również i ta „zakąła” rodziny. W piętkę gonisz Beti, stanowczo w piętkę gonisz! Waruś już się teraz dokończy. Kmiotowicz wyleczył Pochleby z ciężkich suchot po to, by wpadły w galopujące. Teraz będzie kaput! Kasia nie ma obowiązku rzucać Kromiłowa za nim w otchłań jego awantur arabskich. Teraz będą egipskie! Zuch gagatek!

— Jeśli jest dobrą żoną, musi go ratować! — sarknęła pani Beata.

— Musi — wedle twego przekonania, ale skoro ją nazwałaś zakąłą rodziny — to tam... tego... owego... nie wiem, czy ona musi? Może jej zresztą własna rodzina nie pozwolić na zgubę Kromiłowa.

— Bo on się za biednie ożenił — wybuchnęła z nową pasją.

— Masz tobie! Otóż znakomita konkluzja!

— Taki War mógł zupełnie inną zrobić partię. Cóż ona przedstawia ta Kasia? studentka!

— Dla ścisłości powiedz inżynier, architekt dyplomowany.

— To mi nie imponuje! Madrygały!

— Wiem, imponowałyby ci więcej dolary, w kabzie jakiej wieprzarsówny. Kromiłów to nie byle co, jak go zabraknie, gagatek pójdzie na szmela. Kto wie, czy nawet już nie jest na tej drodze.

— Któż to jest ta margrabina, jakże ona? Rimaldi?... Bardzo dobra rodzina, chyba włoska. Czy ona, ta Kasia, istotnie udzieliłaby mu rozwodu?... Byłoby najlepiej. A ta margrabina, wdowa, czy mężatka, czy może rozwódka?...

Hrabia znowu przystanął i patrzył na siostrę długo z wyraźnym obrzydzeniem.

— Auguste! zwariowałaś! Cóż tak na mnie patrzysz? Nie możesz się chyba dziwić, że chcę najlepiej dla Wara... Chyba on mnie więcej obchodzi niż... Zahojska.

— Obchodzi ciebie tylko i wyłącznie twoja własna osoba. Bo co do Wara, to on sam na siebie już wyrok wydaje. Cała niedola położenia spada na nieszczęśliwą Kasię. O tym, że on złamał jej życie nawet nie pomyślisz. Jesteś wstrętną egoistką!

— Oszalałaś! Ach to niecne jest, to okropne. Idź sobie ode mnie! Szarpiesz moje nerwy. Ja...

Hrabia wpadł w furję.

— Ja! ja! ja! moje, dla mnie, o mnie... a w dowód wielkiej łaski War i to tylko dlatego że daje ci rentę. Teraz już nie War, Kasia daje ci rentę! Jesteś... jesteś — krztusił się w pasji najwyższej — jesteś, byłaś i zostaniesz kukłą!... Starą kukłą!...

— Allez vous en! — krzyknęła pani Beata piskliwie.

— Tak, kukłą! Młoda kukła śmiesz, stara wzbudza obrzydzenie!... Tego... owego... tak!... obrzydzenie!

Wyszedł prędko i trzasnął drzwiami aż jęknęły ściany.

— Jaka mamunia, taki synalek! godna para ani słowa! Za biletami pokazywać. Uf! Uf! do stu diabłów, już nie mogę!

Hrabia sapiąc i klnąc poszedł na górę i zapukał do pokoju żony.

Nie było odpowiedzi, więc wszedł. Pokój zastał pusty. Hrabia rozejrzał się, wypił szklanekę wody i usiadł ciężko przed kominkiem, na którym tlił się jeszcze ogień. Mohyński wciąż mrużąc do siebie dołożył parę polan i zapatrzonej w płomień drzemał i kłął na przemian.

Prawie już nad ranem weszła hrabina. Była spłakana i poruszona niebywale.

— Guciu, a ty czemu markujesz, czemuż nie śpisz?

— Zirytowałem się na Beatę i tak ot, siedzę. Toż skandal moja droga, co ona Kasi nagadała w jej domu. Wstyd... hańba! Wstydzilem się za nią.

Hrabina wzruszyła ramionami.

— Cóż, to nie znasz siostruni?... Całe szczęście, że nie pozwoliliśmy jej przyjechać tu samej. Gadzina! Pęcherze z jadem i złością musiały jej znowu nabrzmieć, więc tak gryzie. Ale biedna, biedna Kasia.

— Byłaś u niej?

— Chyba, że nie u Beaty!

— Czy ona naprawdę chce rozwodu?

— Kto?! — wrzasnęła hrabina.

— No, przecie Kasia, o nią pytam.

— Ani jej to w głowie powstało! To złote serce. Opowiedziała mnie wszystko. Była w Neapolu i trafiła na moment ich odjazdu do Afryki. Wyobraź sobie!

— Wiem! Ale czemuż nie zawiadomiła nas albo Krystyna, że jedzie. Nie puścilibyśmy jej samej.

— Nie chciała go dyskredytować. Zażądała słowa od Kmietowicza, żeby także milczał. Liczyła na to, że Wara zatrzyma...

— Akurat! Łatwiej zatrzymać pędzącą ławę z wulkanu niż Wara, gdy mu zapachnie nowa spódniczka! Szkoda było fatygi i serca tej biednej kobiety. Najlepiej machnąć ręką i basta!

— Dobrze, ale Kasia chce go ratować.

— To na nic! to już straceniec!

— Poczekaj Guciu, ty nie wiesz, że Pochleby...

— Jak to, nie wiem, że dogorywają?... Mają one i tak diabelnie silny organizm, ale już kłapa! War poradzi i z Kromiłowem bardzo prędko, łyknie jak ostrygę i basta.

Hrabia mlasnął językiem charakterystycznie i otarł usta jak smakosz po smakołyku.

— Ani się obejrzy — dodał strzepnąwszy palcami.

— Wszystko możliwe bo i Kromiłów już tęgo oskubany.

— Po co mu Kasia na to pozwala? — Wszakże majątek jej własny.

— Ona mówi, że gdyby były dzieci, miałyby rację bronić swej schedy, ale tak jak jest uważałyby sobie za egoizm i za brak etyki zamykać przed nim kasę kromiłowską.

— Ha, jeśli tak, tedy War sam ją zamknie, ale już na amen! Szczególnie jak się dobrały dwie Zebrzydowskie, jedna złożona z samego egoizmu, że już pomnę inne, godne składniki, druga pozbawiona go zupełnie!

— Ale słuchaj, Guciu, tu trzeba radzić.

— Ciekawym jak? Ściągnąć Wara bosakami z Afryki, trochę za daleko! Pamiętasz Paryż i księżniczkę Olgę? Siedział tam prawie trzy lata, do czasu, aż ona wyszła za Arczyłła Czarawdzadze i wyjechała z nim do Rumunii, do jakiejś jego posiadłości nad Morzem Czarnym. Gdyby mieszkali w Paryżu, War zostałby na pewno, kandydując do trójkąta, pomimo niebezpiecznego Gruzina, z którym już miał zajście. Niewiele brakowało do pojedynku, jak wiesz, i gdyby nie Olga...

— A dajże mi pokój. Co mnie obchodzą losy tej księżniczki. Mówmy o Warze.

— O nim właśnie mówię. Trzeba by się chyba postarać, aby ta margrabina Rimaldi, czy jak tam, puściła Wara w trąbę jak Olga. Potem wsadzić go w worek, aby w przejeździe nie ujrzał jakiej drugiej samiczki i tak przetransportować go do Kromiłowa. Innej rady nie widzę!...

— Zmiłuj się Auguście, czy temat nie jest dość poważny, by o nim poważnie rozmawiać?

Hrabia rozłożył ramiona szeroko.

— Innej rady nie widzę — powtórzył z głęboką powagą. Mohyńska jątrzyła się ale mąż jej splótł ręce na żołądku, zadarł głowę do góry i cicho gwizdał.

W pewnej chwili rzekł sennym głosem.

— Wówczas z Paryża ściągnęło się Wara, stawiając Kasię na przynętę. Wabik był duży, no i przy tym Pochleby po raz drugi robiły bokami, Kmietowicz groził. Teraz Kasia już jest żoną, więc dla Wara smak nowości przestał istnieć. Pochleby po raz trzeci zdychają i już teraz zdechną, ale jest

w zapasie Kromiłów! Dalibóg nie prędko ujrzymy Wara! Tymczasem jednak użyj Oktawciu swego wpływu, aby Beata jak najprędzej wyjechała stąd. Nie można narażać Kasi na towarzystwo tej jędzy i pustej tytky razem. Ja chciałbym wniknąć trochę w interesy. Przyjedzie tu Kmietowicz ale z tą wściekłą babą jednego dnia nie przebędę.

— Wyprawię ją jutro, raczej już dziś. Masz rację, że Kasi narażać nie można, ona jest niepomierne wytracona z równowagi duchowej. To dzielna kobieta, ale przeżywa zbyt wiele.

— Czy ona kocha go jeszcze?...

— Jest znudzona takim życiem, znękana i żywo dotknięta postępowaniem męża, lecz ona go chyba kocha jeszcze pomimo wszystko, ale już bez zaślępienia i zapału.

— Niech no on tylko przyjedzie a zechce ją przejednać, to tym swoim czartowskim urokiem dokona tego bardzo prędko.

— Dałby Bóg! Lękam się jednej ewentualności.

— To jest?...

— Wpływów tego, kogo ona spotkała w Wenecji, kto podążył za nią incognito do Neapolu, widział także odjazd Wara, czuwał nad nią, ocalił ją od awantury, skłonił do powrotu i przywiózł do kraju.

— Na zdrowie! A toż kto taki?

— Jej kolega z politechniki i przyjaciel, architekt i rolnik. Nazywa się Andrzej Dębosz.

— Dębosz?... Oj, to coś pachnie jakby salą sejmową...

— Nieźle trafiasz, pochodzi z chłopów.

— Z chłopów? Czyli po prostu jest chłopem...

— Wykształcony, inteligent!

— Hm!...

— Z tego co Kasia mówiła wnioskuje, że to człowiek silny duchem, energiczny.

— Hm... jakiś Wyrwidąb, czy Waligóra...

— Nie żartuj! Z tego co słyszę to człowiek przyszłości i mam wrażenie...

— Że kocha się w Kasi, czy tak?

— Oczywiście. Ale ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Łączy ich szczerą przyjaźń.

Hrabia zrobił dowcipną minę.

— Przyjaźń to zaczarowany kwiat, który mężczyzna podaje kobiecie, lecz ten kwiat w jej ręku przeistacza się w słodki owoc miłości. Rzadki wypadek, by nie spożywali go razem.

— Ależ Auguście! Hrabia mówił rozbawiony.

— Przyjaźń z miłością jednym dążą szlakiem, miłość pędzi naprzód, przyjaźń pełznie rakiem.

— Dajże spokój z tymi żartami! Stary jesteś a wiecznie błaznujesz — ofuknęła hrabina.

— Pozwól, Oktawciu, otóż właśnie żem stary, znam życie! Ten Dębosz, samo nazwisko stawia od razu człowieka vis a vis jakiegoś młota, kilofa, pługa, czy... lewicy poselskiej, ale ten Dębosz w zestawieniu z Warem w Afryce, przy boku pani Rimaldi bardzo niepokoi.

— Otóż to!

— Zwłaszcza, że Kasia zawsze zdradzała i zdradza zamiłowania raczej czerwone a przynajmniej bardzo demokratyczne.

— Bo jest mądra i postępową. Nie obnosi swego nosa z paradą w nowoczesnym społeczeństwie. Chociaż jako z Zahojskich Zebrzydowska miałyby do tego zupełne prawo. Ale Kasia posiada dar krytycznej obserwacji i widzi za dużo nosów zadartych, opryszczonych własną chwałą lub maniactwem swoich rodowodów przy twarzach ludzi najczęściej nijakich. Ona ceni człowieka, nie zaś jego rodowód i dlatego Dębosz przy Warze... Tak, masz słuszność, Guciu!

— Hm... przyznałaś, to dobrze! Urok Wara był wielki jak widzieliśmy, ale krócej trwa urok, niż wartość... Teraz zaś urok jego z Afryki

nie przepłynie tak łatwo do Kromiłowa, utopi się bestia w Śródziemnym. Więc dosięgać będzie Kasi tylko jego wartość a to już diablo niebezpieczne! Gdzież mieszka ten Dębosz?

— Nie wiem. Ale zlituj się, nie wypapłaj o nim nikomu...

— Jeszcze nie utraciłem zmysłów, jak dotąd — oburzył się hrabia August. — Ale czas na spoczynek po tej batalii. War afrykański, dalibóg, niegodny tego, by mu poświęcać całą noc. Nie jestem zresztą margrabiną Rimaldi. Co prawda — afrykański — to za silne dla Wara, za szumne! Afrykański — przyrosło tylko do Scypiona. War jest najwyżej, a będzie wkrótce na pewno — War bez chaty, syn Beaty. No, basta! Tego... owego... Dobranoc!

Blady świt listopadowy wniknął do okna pokoju Kasi. Przy stoliku zarzuconym rachunkami siedziała bez ruchu, pogrążona w głębokiej zadumie. Na bibule przeleżał całą noc arkusz papieru, na którym czerniał nagłówek rozpoczętego listu.

„Drogi kolego!” Więcej nic, ani litery. Lecz przysłała taka chwila, że Kasia wzięła arkusz do ręki i podarła go na strzępy.

ROZDZIAŁ VII

Wielki brytan zwany Burkiem przebudził się, otworzył jedno oko senne i leniwe. Szarawy świt zaledwo na niebie, ale koguty po zagrodach pieją zawzięcie. Zimno psu na przyzbie domu. Na starej płachcie przy progu skulony cały drży. Czuwał w nocy, obiegał zagrodę z brzegu w brzeg i chciałoby się wypocząć. Brytan jednym okiem już czuwa, drugie jeszcze śpi. Pies uważnie przypatruje się drzewom. Omaszczą je coraz bielszy brzask: Kogut niecnota, drze się jakby go kto ze skóry obdzierał, a posłuszne kokoszki już także pogdakują na grzędach. Nie ma co, rad nie rad musi wstawać. Brytan przeciągnął się jak należy, aż trzasnęły kości w stawach, westchnął ciężko, machnął ogonem i wystawił kudłaty pysk, wężąc rzeźwość powietrza.

Zima, mrozek nieduży, ale już skuł ziemię. Pachnie śniegiem. Będzie ponowa, wyczuł Burek instynktem psim i nabrał otuchy. Poczul głód. Skrobął we drzwi od sieni raz i drugi. Cisza. Aha, jeszcze śpią, no, niech im tam! Dobrzy są, niech się ta wyśpią. Pies obiegł dom dokoła i nagle przystanął. Na progu od kuchni stała już gruba Franka ze skopkami w ręku. Przeciągała się z lubością.

W oborze chłopak wyrzucał spod krów dymiący oparem nawóz. Słychać było jego głos burkliwy.

— Stój te! Widzita ją! Będzie me tu ogonem we ślipa trzepać. Zatracona!

Parobek, tęgi, starszy chłop zadawał paszę ranną. Pachniało słodkie siano. Krowy muczały do jadła.

Burek skonfundowany, chciał się chyłkiem przesunąć do kuchni, ale Franka ujrzała go.

— A ty śpiochu kudłaty! To tak ty budzisz kiej już my na nogach? A teraz do żarcia ci spieszno? Poczekaj trocha!

Zbiegła na podwórze do chłopaka.

— Nie mogłeś to Felek raniej wstać a gnój wybrać spod krów, tyło tera, kiedy trza doić? Już na niebie dzień a on się jeszcze gmyra. Bierz skopek.

— Nie pyskuj, Franka, bom zły. Za to patrzaj, obora kiej świetlica.

— Juści żeś się ta spóźnił, a Franka zawdy pierwsza do wszystkiego — odrzekł parobek. No, zdążyta, co ta dla was sześć krów znaczy, mucha!

— Po prawdzie to Franka sama powinna wydoić, bo to babska robota. Kiej wszystkie dziesięć dojne, to jensza sprawa. Ale niech tam sobie jeszcze postojom, mniej roboty. Z samymi cielokami potem bebraj się a bebraj.

— Jaki ci wygodny! — gderał parobek dalej. — Równno dój, bo mleko strzyka na boki. Niezguła!

— Wy Kadeju wielce przemądrzały. Rządca was trza zwać ile, że pan wam dufa. Straśnięta urosli od czasu, kiej nowe porządki tu nastały. U pana gospodarza tyło wy i wy.

— Widać, zem nie próżniak i że łeb a ręce mam nie od przystroju ino — odrzekł Kadej flegmatycznie. A Franka zaśmiała się piskliwie.

— Godaj, Felek, godaj, a tymczasem ja już drugi skopek zlewam do bańki, a ty furt przy tym samym siedzisz.

— I bede siedział dokąd ino zechcę, a tobie nic do tego.

— Pewnie, że nic, swoje trzy krowy wydoję i pónđę do świń. Z tobą Kadej poredzi.

— Abo ja z nim.

— Słuchaj no Felek, nie mędrkuj, bo ja jak dobry to dobry, ale kiej się ozeżlę, to ta zęby łacno porachować potrafię.

— A spróbuj ta ino.

— La Boga pani gospodyni już wstali — pisnęła Franka.

Do obory weszła Dęboszowa. Kobieta starsza, średniego wzrostu, raczej drobna, żywa i czerstwa. Głowę miała owiniętą w wełnianą chustkę, na sobie tułubek watowany. Twarz jej bladawa miała wyraz pogodny, oczy jasne, wesołe i dobre.

— Zwijata się dzieci? Bóg dopomagaj!

— Bóg zapłać! Zwijajom się tera, bo ździebko zaspali, jako, że na zmianę jakowąd idzie — tłumaczył Kadej uchylivszy grzecznie czapki.

— Ano już dzień duży a roboty huk! Felek odwiezie mleko do mleczarni a Kadej niech obrzędzi konie i po śniadaniu trza jechać na kolej po syna.

— Prawda, że to dziś już przyjadom! To i chwała Bogu! Cni się bez niego, bo człek zawdy pewniejszy kiej znające oko patrzy.

— Pewno, pewno, ale was, Kadeju nie bardzo trza pilnować. Pomyślenie niezłe macie w głowie.

— A mnie to pani gospodyni nic nie rzeknie? — przymiliła się Franka.

— Wiadomo, żeś śwarna dziewczka! Ale idź no już do świń, maciory trza wypuścić a w koryta narychtować. Felek niech zaraz parnik rozpali...

— A mliko? — spytał chłopak.

— Powiesz, ja parnika dojrzę. Przędzi jeszcze zjeta śniadanie, już się warzy.

— To ja letę — zakrzyknął Felek, ale zatrzymała go Franka.

— Pomóż mi bańki powytaczać, strasecnie ciężkie. Otwórz chlew i wypuść karmniki, ja biegnę po żarcie.

— Juści wszystko Felek a Felek!... a kiej kogo chwałą, to już aby nie jego. Nie pónđę. Otwieraj sama.

- Pani gospodyni, Felek sie sprzeciwiwo — wrzasnęła dziewczyna.
- Cichojta, cichojta bez krzyku. Każde niech swoje robi a nie swarzy się
- wołała gospodyni otwierając kurnik.
- Ej, Franka, ty się jeszcze w moje ręce popadniesz — warknął chłopak.
- Owa, nie bojam się ciebie, kulfonie!

Gospodyni zamknęła się w kurniku, gdzie powstała wrzawa i zawzięte gdakanie. Coraz to otwierały się drzwiczki i jedna kura wypadła z nich strzepując skrzydłami, nieco zawstydzona ale i zadowolona z dzisiejszej swobody i biegła co tchu w stronę chlewów, gdzie już poważnie chrząkały maciory i kręciły się różowe ciała pasionych na sprzedaż bekonów. Gdy wszystkie kury zostały przez gospodynię solidnie zrewidowane, całe stado z kogutami na czele rozprysło się po podwórzu różnobarwnymi plamami, od rudo-czerwonych i czarnych do pstrych, siwych i białych. Ale wnet wołanie... cip, cip, cip, cipuchny! zgromadziło znowu całą tę rzeszę wokół gospodyni, rzucającej ziarno z fartucha na ubity tok podwórka. Z dachu spływały gołębie siwe, z oczkami jak czerwone paciorki i nuż dziobać wespół z drobiem. Wypadały z chlewka jak kluski duże, tłuste kaczkki i kwacząc biegły koślawo na poranny żer najsmaczniejszy. Zagulgotały indory i trzęsąc czerwonymi nosami śpieszyły opasłe a chciwe, rozganiając kury i gołębie. Zaczęły się bójki, bo nasrożone koguty stanęły w obronie pokrzywdzonych kokoszek. Podniósł się wrzask, gdakanie, i gniewne, oburkliwe przedrzeźnianie się indyków. Wtem hałas nowy. Wypuszczono gęsi. Głośne jazgoty wzbily się ponad cały zgiek ptasi. Zawodzący gęg, syczenie gąsiorów i szum skrzydeł. Zabielało się od tej nowej falangi skrzydlatej. Białopióry lud zdobywał swe prawa zaborczo, z tyranią i uporem. Gołębie zbyt delikatne na te podniebne wrzaski białej zgrai frunęły na dach domu i jęły cicho gruchać. A na podwórzu wrzało, kipiały namiętności, wyładowały się energie, trzepotały skrzydła zdobywców najlepszych pozycji. Po pewnym czasie przycichło wszystko, tylko w sadzie piały koguty i cicho biadolily gołębie. W kuchni Franka i parobek z chłopakiem spożywali śniadanie. Obsiedli wszyscy stół, na którym dymiła się wielka misa zacierek na mleku. Z dużego bochna chleba gospodyni krajała potężne kromki, podając wszystkim i nie żałując. Zacierki dolewała każdemu do mniejszych misek, które mieli przed sobą. Słysząc było siorbanie Kadeja. Jadł rzetelnie a wciąż patrzył, czy w dużej misie nie widać dna. Ale gospodyni była czujna, zaś osmolony sagan na płycie wzbudzał zupełne zaufanie.

— Czegoj tak chlustacie to jadło w siebie, że aż się dom trzęsie od onego siorbania. Wieta, że gospodyni przykazuje zawdy cicho jeść —

zaszeptala Franka do Kadeja w chwili, gdy kobieta oddalila sie po nowa porcje zacierek.

— A kiej smakowite jadlo, to mam sie go wstydzic?

— Pan tyz nie lubi takiego jedzenia.

— Pan je gospodarz na dwuch wlokach, a ja jego parobek i tyła!

— Glupista!

— Samaś glupia — bedzie ta ludziom od jadła wydziwiać, wielga pani!
— ofuknał Felek.

Druga misa rozlana po miskach znikła tak samo prędko jak pierwsza, po czym odložyli łyżki i podziękowali grzecznie gospodyni, ocierając usta syci i zadowoleni.

— No, idźta z Bogiem każde do swojego. Kadej szykuj się do drogi. Burkę i baranice przyniesie Franka.

— Juści, co nową bryczką pojedę, prawda?

— Ano bryczką, bryczką a weź najlepsze konie a uprząż.

— Toć gniadymi klaczami pojedę, droga dobra, ino co one ścierwa trocha sie bojom kiej maszyna idzie, niby te jauta!

— Samochody — poprawiła gospodyni.

— Dyć tak!

— To weźcie może siwki. Bezpieczniej.

— I gdzie ta. Nasz pan lubi te gniadoszki. Siwe wałachy nie do naszej bryczki.

Kadej wyszedł a wkrótce rozległ się turkot i poza ogrodzenie sadu przemknęła porządna żółta bryczka na resorach, zaprzężona w parę rośłych i ładnych klaczy w chomątach.

Oczy gospodyni rozjaśniły się na ten widok.

— Franka, zbiegaj po wodę do pompy. Wstawię obiad a ty zmyj statki i trza porządnie wyszykować świetlicę, alkierz i pokój dla syna.

— Jalkierz? to i młodszy przyjedzie?

— Gdzież teraz w zimie? Dopiero na święta zjedzie ze szkół. Ale nie wiesz to, że jak mój syn starszy w domu to co i raz ktoś tu wpadnie a często i nocuje.

— No, toć tak, wiadomo! Ale dawno pan nie był doma.

— Ano, całe prawie dwa miesiące.

— Obiad to trza będzie fajny uwarzyć. A może skoczę do sklepu i herbaty przyniesie.

— Herbatę mamy a mój syn na jedzenie nie łąsy. Nie bardzo patrzy co je. Ale zawsze zrobię lepszy. Ruszaj Franka, ruszaj, bo czas ino się mignie. Trza spieszyć.

Dziewczyna wybiegła z kuchni z wiadrami. Na podwórku rozległ się jej śpiew piskliwy a z sadu odpowiadały jej gulgoty indycze.

Z innych zagród słyhać było głosy ludzkie, nawoływania lub donośne pianie kogutów. Dzwon kościelny rozległ się uroczyście w cichym, mroźnym powietrzu. Ten i ów zatrzymał się w swojej pracy, przeżegnał i dalej prowadził codzienny tok zajęć domowych. Tu i ówdzie ozwały się turkoty młocki na kieracie konnym. Wieś żyła swoim cichym życiem zimowym.

W zagrodzie Dęboszów ruch panował większy niż gdzie indziej. W stajni Felek rznął sieczkę, gwizdząc na całe podwórze skoczne obertasy a w domu gospodarzy Dęboszowa z Franką porządkowały zawzięcie.

Dom nowy, murowany, kryty blachą zawierał sień sporą i jasną ze schodami na górne facjatki i strych. Wprost wejścia była duża świetlica, podłużna o dwóch oknach, wychodzących na ogród. Drzwi umieszczone pomiędzy oknami prowadziły na ganek, zwany — letnim — teraz były szczelnie zamknięte. W rogu świetlicy stał duży kominek, na środku stół pokryty wzorzystym kilimem w śliczne desenie i barwy. Krzesła były solidne, ale nie pretensjonalne. Stały tam ławy kryte kilimami, dwie skrzynie malowane, szafa oszklona, podwójna zawierająca naczynia stołowe. Bliżej ściany obok dużej ławy stał drugi stół mniejszy, zwany — pod obrazami — pokryty także kilimem ozdobniejszym. Leżało na nim kilka wydawnictw książkowych i gazety ludowe. W jednym rogu izby na małym stoliku błyszczał pękaty samowar miedziany. Na ścianach wisiały dwa obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Pana Jezusa w porządnym złoconych ramach. Na czystej malowanej podłodze barwiły się chodniki samodiałowe. Okna przysłaniały firanki. Na szerokich parapetach stało kilka doniczek kwiatów, wśród których królowały dwa kaktusy o obfitych gronach kwiatowych.

Ze świetlicy wiodły drzwi do alkierza, który był pokojem gościnnym. Z drugiej strony świetlicy były drzwi do kuchni dużej, jasnej, zawierającej płytę kaflową i piec piekarniany. Osobne wejście z sionki prowadziło na podwórze gospodarcze, którego czworobok dopełniały budynki, mieszczące stajnię, oborę, kurniki i stodołę. Z kuchni wchodziło się do izby zwanej gospodarską, gdyż tam mieszkała Dęboszowa, mając od szczytu dużą komorę.

Z izby gospodarskiej było wejście do sieni a stąd naprzeciw do pokoju, będącego zawsze w najwyższym staraniu u Dęboszowej i służby, gdyż był to pokój własny Andrzeja Dębosza, umeblowany także skromnie, ale oprócz łóżka, mający duże biurko, szafę z książkami, stół na rysunki, różne plany i

nowe gazety. Był tu także kominek dający zarazem ciepło małej alkwie, gdzie mieściła się wanna, umywalnia i szafa na ubranie. Z jednego okna tego pokoju widać było nieduży trawnik, oddzielony sztachetką od drogi wiodącej na podwórko i bramę, do której szło się ścieżką żwirową wprost z ganku wspartego na kamiennych schodach. Po bokach trawnika rosły krzewy bzów i jaśminów, przy bramce puszyste świerki. Ten sam trawnik ozdobiony krzewami zawracał przy prawym węgle domu i otaczał domostwo, rozszerzając się potem w ogród około morga ziemi, dającej pożywienie kilku gatunkom drzew owocowych, starannie pielęgnowanych. W głębi ogrodu widniały ogromne lipy i czerwieniły się ule sporej pasieki. Drugie okno pokoju Dębosza pozwalało patrzeć swobodnie na drogę wiejską odgrodzoną od domu sztachetkami i trawnikiem, na którym uwydatniały się miejsca przeznaczone na kwiaty letnie. Przy samych sztachetach rosły świerki. Z drugiej strony ganku, pod oknem Dęboszowej, duża stara lipa, osłaniała dach opieką swych rozłożystych gałęzi. Dworek ten był już obmyślony i zbudowany przez Andrzeja Dębosza, z uwzględnieniem potrzeb kulturalnych. Miał kanalizację, wentylatory i był dziwem nie tylko wsi Zagórzany, lecz i okolicznych wiosek.

Dęboszowa matka kochała ten dworek, jako że pobudował go jej syn i przystrajała wnętrze domu ze szczególną troską o każdy drobiazg. Przyniosła teraz ze świetlicy do pokoju Andrzeja dwa kaktusy czerwone jak płomień i ustawiła je na biurku. Oczy jej padły na dużą fotografię, stojącą pośrodku biurka tuż pod oknem. Była to grupa koleżeńska studentów z architektury. Dęboszowa odszukała podobiznę syna. Stał w pierwszym rzędzie zaraz za krzesłem, na którym siedziała młodziutka urodziwa panna. Andrzej pochylony ku niej coś do niej mówił, ona go słuchała i tak uchwycił ich fotograf.

Dęboszowa uśmiechnęła się mile. Wiedziała, że to jest panna Kasia Zahojska, bogata dziedziczka i że Andrzej się z nią przyjaźnił. Opowiadał o niej dużo matce a ona, choć prosta kobieta, lecz kochająca syna nad życie, odczuwała go i dopowiadała sobie resztę przemilczaną przez syna.

— Piękna panna, ale cóż ta z tego! Ino wielki pan spojrzął i zabrał kiej swoją! Wiadomo, swój dla swego!... tak i pasuje, tak i powinno być. Przekazanie to boskie, prawe — myślała kobieta, patrząc na fotografię.

Wierzyła święcie w swoją teorię, ale pomimo to gorzko jej było kiedy w grę wchodził jej syn. Pragnęła jego szczęścia a nie mogła objąć wyobraźnią jakie to szczęście być może. O założeniu rodziny jakoś nie myślał, był od tego bardzo daleki. Matka, widząc go ciągle czynnym w sferze spraw nie jego osobistych nie odważała się zapytać właśnie o sprawy najosobistsze,

tyczące się jego własnej przyszłości. Stosunek syna z matką był serdeczny, < party na wzajemnym zaufaniu, lecz tu matka gubiła się nieco. On nie zwierzał jej żadnych projektów o ułożeniu własnego życia, ona lękała się wślaczać przemocą do tej zamkniętej dziedziny jego duszy, której nie otwierał przed nią. Skoro nie ma nigdy o tym mowy, widocznie myśl jego i serce są wolne. A jednak było coś, co nie pozwalało matce snuć przy nim swoich marzeń o jego szczęściu rodzinnym. Zapytywała nieraz siebie, co by to było takiego, i nie znajdując wyjaśnienia tłumaczyła sobie, że właściwie nie było na razie osoby, odpowiedniej dla niego na żonę ani w Zagórze ani w bliższych wsiach. Było dużo dziewcząt pięknych, gospodarnych, zamożnych, ale Dęboszowa czuła, że te kwalifikacje były cokolwiek niewystarczające wobec wymagań Andrzeja. Więc nadzieje swoje oparła na młodej nauczycielce szkoły powszechnej w Zagórze, która kochała się w Andrzeju i on ją widocznie lubił. Ta byłaby dla niego w sam raz, ale dwa lata już się znają i na nic się nie zanosi.

Dęboszowa westchnęła, odstawiła fotografię na miejsce i jakby odruchowo przysunęła do niej jeden wazon oblepiony czerwonymi płomykami kwiatów.

— A niechta!

Wtem trzasnęły drzwi i głos Franki rozległ się w pokoju.

— Pani gospodyni, cheba trza już pieczeń wstawić do piecyka! Kobieta zerwała się.

— Prawda, prawda! ano juści co czas.

Wychodząc prędko rzuciła raz jeszcze okiem na pokój. Franka gapiała się w progu roześmiana.

— Jak tu pięknie! Jak w jakim dworze. Cheba pan uraduje się z takiego ładu. Aże tu pachnie! może śwircyny naciąć, a umać to ja wraz skoczę.

— Nie trzeba, syn nie lubi tego!

— Żałuje łamać drzewa, jak wim. Kiedyś me skrzyczał za umajenie kuchni. Pedał, że odrywać gałęzie to boli drzewo i że ono płacze. Kiedy me zaprowadził do świerka i pokazał świeże oddarcie, kapało ci żywicą, kiej nie zacznę buczyć! Jej... to mi się zdało, że me samą boli. Aże się pan śmiał, takem chlipała ze żalu. Pani gospodyni niech patrzy już i kasza uprażona i racuszki już kopiaste w misie ino smażyć.

— Widzę, widzę, dobrze się zwijasza Franka.

— A barszcz na wędzonce to ci pachnie, aże wierci w nosie. Felek już tu zaglądał, bo peda, że w całym obejściu kiejby na Wielkanoc.

— Ano toć podjecie sobie, podjecie i barszczu i wędzonki. Starczy dla wszystkich.

— La pana i pani gospodyni ja już nakryła we świetlicy temi ładnymi talerzami. Ino trza ważę wyjąć z szafki i pani gospodyni niech wyjmą te ładne noże, łyżki i widelce. Ino patrzeć, jak pan przyjadom.

Dęboszowa przyprawioną już pieczeń wołową wstawiła do piecyka pod blachą i prędko poszła do świetlicy, poprzedzana przez żwawą dziewczynę.

Na stole przykrytym obrusem uzupełniono naczynia a Franka postawiła na środku kwitnący kwiat wazonie.

— Pan nasz lubi kwiaty, będzie rad!

Nagle w sieniach rozległ się przeraźliwy głos Felka:

— Pan gospodarz jadom! Już som kiele kuźni.

Dęboszowa wybiegła do sieni jak nieprzytomna, za nią Franka.

— Dyc niech pani gospodyni chustkę jedwabną włożą a pięknie w tył zwiążą. Jeszcze czas. Zawszeć to będzie ważniej witać.

Dziewczyna wciągnęła kobietę do jej izby. Dęboszowa po chwili strojna w ciemno-zieloną jedwabną chustkę ładnie na karku związaną wybiegła na ganek poprawiając białą fryzkę dokoła szyi. Bryczka zaturkotała na zakręcie z drogi ogólnej na drogę zagrodową i zatrzymała się przy bramce w sztachetach.

— Dzień dobry! dzień dobry! — zawołał Andrzej, ujrawszy matkę na ganku. Zerwał czapkę z głowy, zeskoczył żywo z bryczki i w paru skokach przebył uliczkę zwirowaną. Na schodach przypadł do rąk matki i całował je gorąco. Chwycił ją w objęcia. Ona otoczyła rękoma jego głowę całowała czoło, oczy i twarz syna ze łzami radości.

— Jakże matuś kochana? zdrowa słyszę i widzę ładnie mi wygląda i wesoło. Chwała Bogu, to i dobrze.

— Syneczku ty mój, tyli czas ciebie nie było... syneczku! — gładziła go szorstką dłonią po twarzy, i patrzyła w oczy tego dużego syna jakby był małym dzieckiem...

— Tyle czasu, tyle czasu, cóż to tak jeździłeś zapamiętałe, gdzieś to bywał? Opowiesz?...

— Opowiem, matuś opowiem. Teraz znowu będę dłużej siedział i tu pracował. Dużo mam robót w planie.

— To i dziękować Bogu!

Sama niemal ściągała z niego palto a on śmiał się i raz wraz całował ją po rękach. Ale pomimo jego czułości i pozornego spokoju Dęboszowa odczuwała w nim coś tajemniczego, co ją zaniepokoiło.

W swoim pokoju Andrzej od razu zwrócił uwagę na kaktus kwitnący, który stał tuż przy podobiznie Kasi.

Błysnęło mu w oczach. Bez żadnego wyraźnego powodu ucałował znowu rękę matki. Przy obiedzie opowiadał szeroko o swoich studiach w Szwajcarii, o kraju, o ludziach, zwyczajach. Dęboszowa słuchała go z zapartym oddechem, szczęśliwa z jego ożywienia. Mówił potem o Wenecji, o Padwie aż Dęboszowa nagle rozplakała się ze wzruszenia.

— Dla Boga, to ty byłeś na grobie św. Antoniego. Jaki ty szczęśliwy, Jędrzek!

I już nie wytrzymała w swym entuzjazmie, musiała się z kimś podzielić radością i podziwem swoim.

— Franka, Franka! Dziewczyna wpadła przerażona.

— A to wiesz, syn mój był na grobie św. Antoniego Padewskiego we...

— W Padwie — dokończył Andrzej. — Nazwa Padewski pochodzi właśnie z powodu, że grób świętego znajduje się w tym mieście.

— Słyszysz, Franka! Słyszysz?

— Dyc słyszę! La Boga! La Boga! Oto pan gospodarz szczęśliwy, że takie ci cuda oglądał.

— Przywiozłem obrazki i medaliki z Padwy, dla mamy.

— Przywiozłeś? a cóże gadasz? Ludzie kochane! a toż już poczciwy jest z ciebie syn, że i nie wypowiedzieć.

Andrzej rozdał padewskie upominki matce i France. Prócz tego Dęboszowa otrzymała porządny materiał na suknię i piękny koronkowy szal na głowę. Franka chustkę jedwabną, cudną jak tęcza, paciorki nad którymi wykrzykiwała z radości wielkiej. Znalazła się i fajka piękna dla Kadeja z paczką dobrego tytoniu i papierośnica dla Felka i po parę jeszcze drobnych przedmiotów, pamiątek z Szwajcarii. Uciesze nie było końca.

Na podwieczorek przyszedł proboszcz miejscowy na powitanie. Andrzej wybiegł aż na drogę i prowadził księdza do domu, a Dęboszowa gościnnie witała na schodach. Zaczęła się nowa seria pytań i opowiadań. Potem przyszło paru gospodarzy ze wsi ciekawych wieści ze świata. Gawęda przeciągnęła się długo. Po kolacji rozeszli się wszyscy, księdza Andrzej odprowadził na plebanię.

Późno już było.

Wielki księżyc w lisiej czapie płynął powoli po niebie, oświecał drogę wiejską obsadzoną wiśniami po obu stronach.

Dębosz wracał do domu zamyślony, wpatrzony w księżyc. W pewnej chwili zerwało się w jego piersi westchnienie.

— Mój kwiatuszku najmilszy. Jak ty tam żyjesz taka sama. Wezbrało mu serce niezmierną głębią uczucia. Ujrzał Kasię w swej wyobraźni bledziutką,

spłoszoną jak wtedy, w ogródku wielkiej cukierni w Neapolu, gdy wyratował ją od niemilej przygody.

— Dzieciątko moje, żebym ja ciebie mógł bronić, ratować i życie za ciebie oddać. Żebym ja mógł...

Chwycił go taki spazm za gardło, że aż jęknął z żalu i bólu, który nim targnął. Ale wnet opamiętał się. Fala krwi napłynęła mu do mózgu. Zdjął czapkę, ochłodził czoło i nacisnął znowu na głowę. Spojrzał w księżyc wzrokiem przyćmionym od wzruszenia i przyśpieszył kroku.

— Mężatka przecie! Trzeba odrzucić podobne marzenia! Zaniechać wspomnień zbyt trudno, ale utrzymywać serce w przyjaźni siostrzanej, koleżeńskiej.

Wzdrygnął się.

— Nie, nie mogę... Koleżanką mi jest najukochańszą, najmilszą na świecie, ale nie siostrą... — próżno siebie oszukiwać.

Więc nakazywał sobie walczyć z tą słabością duszy, by zmóc tę siłę, która w Wenecji zbudziła się w nim na nowo z taką potęgą, że bał się jej w sobie.

W swoim pokoju długo patrzył na podobiznę Kasi i myśl tęskna, żalonna, myśl, jakby będąca echem dawnych studenckich lat nadpłynęła teraz ku niemu z wyrzutem i bólem.

— Po co ona poznała tamtego?... Po co ona jechała do Krakowa? czemu ja wtedy... czemu... czemu...

Przemocą oderwał się od fotografii i odpędził uporczywe a pełne wyrzutów myśli-refleksje.

Mechanicznie, jak tryby maszyny skierował umysł swój na temat własnych fachowych projektów, poczynañ. Dusił w sobie marzenia, lecz one jak złota nitka przewijały się, plątały wskroś praktycznych rozmyślań, aż osnuły je sobą, ozłociły doszczętnie.

Z obrazem Kasi pod powiekami Dębosz zasypiał w swojej wiejskiej zagrodzie, w Zagórzanach, na roli ojców swoich, urodzeniem i sercem ich własny, umysłem odrzucony ku nowym prądom, marzeniem i kierunkiem swych męskich uczuć bardzo stąd daleki.

ROZDZIAŁ VIII

Dębosz był w mleczarni udziałowej założonej z jego inicjatywy. Właśnie odebrał rachunki i sprawozdanie od kierownika i zamienił kilka słów z gospodarzami, dostawcami mleka, gdy zahuczał motor samochodu.

— Pan plenipotent z Poturzyc — zawołał mleczarz ujrzawszy przez okno przybyłego.

Do izby wszedł Jerzy Strzelecki. Na smagłej jego twarzy zajaśniał uśmiech.

— A, pan inżynier już wrócił! Jakże się cieszę! Czekałem na pana. Parokrotnie dowiadywałem się od matki pańskiej, ale nie wiedziała o dniu powrotu.

Podali sobie ręce serdecznie.

— Przedłużyłem sobie urlop niespodziewanie o kilka dni.

— To pan ze świata szerokiego! Bardzom ciekawy wrażeń i wyników doświadczeń stosowanych na naszym gruncie.

— Pan plenipotent zapewne po pieniądze. Obrachunek gotowy — odezwał się kierownik mleczarni.

— No, to nigdy nie zawadzi, zwłaszcza w czasach dzisiejszych. Naprawdę to chciałem się dowiedzieć o pana, panie Andrzeju. Mam dość pilną sprawę.

— Mogę służyć zaraz, ale chyba w domu.

— Z największą chęcią. Auto czeka. Więc gdzież ta gotówka? Duży tam procent tłuszczu w tym miesiącu?

Strzelecki odszedł z kierownikiem do kantoru, Andrzej zaś zwrócił się do paru wiejskich gospodarzy.

— W sobotę wieczorem przyjdźcie panowie do naszego domu, powiem wszystkie projektowane przeze mnie ulepszenia, co do chowu bydła i w sprawie budownictwa. A co do mleka, to proszę się nie zrażać małym dochodem. Jest mało, będzie więcej.

— Ale jak i co, kiej grosz trudny.

— No, no, pogadamy. Będziemy wspólnie radzili. Gospodarze otoczyli Andrzeja kołem. Ale podczas gdy jedni słuchali chętnie jego słów, inni okazywali nieufność. Wtem wszedł Strzelecki.

— Jestem gotów, możemy jechać.

Za chwilę samochód ruszył w stronę zagrody Dęboszów. Trzech gospodarzy patrzyło za autem ciekawie.

— Ot, kiedy komu szczęście, to szczęście. Takiemu wszystko idzie! Z panami za pan brat, po zagranicach jeździ. Dom se wystawił kiej dwór jaki. Aże i dziwno patrzeć, żeć to ten sam Jędrak, co na naszych oczach rósł.

— A pan Nowos, co se myśli, że inszy? Wiadomo ten! syn Wojciecha, ale takie już miał widno przeznaczenie od Boga dane.

— Ii tam... przeznaczenie! Pan Cisak nie rozumie tego, że człek się o własnych siłach może podnieść kie ino chce? A cóże to my nie widzieli? Do szkółki to to chodziło, ale zachciało się jemu gwałtem szkoły w mieście, ralnej czy jak tam. Poszedł, uczył się a potem już wyżej i wyżej i ot je tera pan!

— Pewnie, pewnie — potakiwał Nowos i Cisak a Sucheń prawił dalej.

— A co ta jeszcze z niego będzie tyż nie wieda! Jenżynier je znający, a o roli tyż się uczył niemało. Kto ta tera pozna, że on nasz chłop.

— On się tego i nie zapira, a matkę swoją to tak honoruje, że choćby była i hrabiania, to lepiej by kiele niej nie tańcował.

— Nie ma co, dobry je syn.

— A pewnie! on ci matki na żebry nie wyśle, kiej Jasieniuk swojom.

— Bójta sie Boga, aby u Jasieniuków w gębę nie było co włożyć.

— Bo wałkoń je, choć i sam Pięter Jasieniuk. Kiej nie siedzi w kryminale, to sie wyleguje i tyło.

— Jak brzuchoz krzyczy jeść to i ukraść musi — odrzekł Nowos flegmatycznie.

— Ot, taki Dębosz on ci nigdy brzuchem do góry nie leżał choć na dwóch włókach. Zawsze się uwijał, zawdy cości medytował.

— No i widzima co wart — potwierdził Cisak.

— Co ta gadać pan i pan! — zawyrokował Sucheń.

— A jakbyšta wiedzieli co niektoj ino pan.

— A ja wam pędom co chłop, ino mądry je i sposobny. I kuźdy z nas taki by bel, kieby chcioł.

— Ja by tyż chcioł a nie jestem.

— Ba, tera kiejście starzy. Trza było przódzi mędrkować!

— Ot i pojechali, ani śladu.

— Wiadomo, maszyna.

Strzelecki oglądał gospodarstwo Dębosza. W stodole Kadej z Felkiem i dwoma najemnikami młócili żyto na maszynie konnej. Felek poganiał konie.

— Oto jeszcze jedno moje marzenie: kupno wspólnej lokomobili — rzekł Andrzej. — Ale trudno zebrać tyle, grosza od moich współbraci.

Oplaciliby się sownie i jakaż kultura! Ale to rzecz późniejsza, trzeba tymczasem pracować nad uzyskaniem większej wydajności zboża.

— Sztuczne nawozy to ważna rzecz ale i ta droga melioracja. Zagórzany zaliczają się do bogatych wsi lecz i tu będzie trudno — dodał Strzelecki.

— Zaczniemy od wzmożonej hodowli bydła — rzekł Andrzej. — Łąk mamy dużo i ten dział zachęca.

— Tu już, dzięki panu, mleczarnia przekonała ich, że gotowy grosz jest i pewny. Pali wam się w głowie panie Andrzeju, i mam przekonanie, że dokonacie tu dużo. Wpływ wasz odczuwa się wyraźnie już nie tylko w Zagórzanach.

Dębosz uśmiechnął się.

— Pragnąłbym tego. Komu mają ufać, jeśli nie swojemu... Znali ojca mego i mnie od dziecka.

— A jakże z planami budownictwa?

— Na wiosnę rozpoczynamy stawiać Dom Ludowy. Pieniądze już są ze składek, materiał się zwozi.

— Widziałem! Miejsce wyborne, blisko kościoła.

— Ksiądz dopomaga nam dzielnie, bardzo pożyteczny. Pokażę panu plan domu, mam już gotowy.

— Pszczół pan ma widzieć dużo — zauważył Strzelecki, gdy się zbliżali do pasieki.

— Dwadzieścia uli, matka ciągle powiększa. Jest z tego stały dochód, czasem niezły. Mamy centryfugę i zbyt łatwy.

— Żona moja zaprowadza pasiekę w Sławohorze. Tam także wyborne warunki dla pszczół.

— Dębosz spojrział pytająco na Strzeleckiego.

— Czy to majątek pana plenipotenty, ten w Beskidach?

— Ten i jedyny no, i nie cały. To były ogromne dobra. Dziedziczny majątek pani Romanowej Pobożyny z Krążą po Hradec-Hradeckich z Małopolski. Przez tragedie tej rodziny, która wygasła przeszedł na rząd najpierw austriacki potem polski. Ale Pobogowie upomniawszy się o swoje prawa stwierdzone dokumentami odzyskali Sławohorę. Były tam jednakże pewne zastrzeżenia w testamencie ostatniego Hradeckiego. Że zaś przy tym Sławohora przedstawia smutną tradycję dla tej rodziny i ich potomków, więc Pobóg, zresztą bogaty człowiek idąc w myśl ostatniej woli dziada dużą część dóbr oddał na jakiś klasztor, trochę rozparcelował, zostawił dla siebie ładną połąć lasu, a samo osiedle bardzo piękne i resztę klucza, stanowiący spory majątek, oddał nam na dogodnych i długoletnich warunkach spłat.

Jest to niezły kawał ziemi i szmat wspaniałego lasu, grunta są zapuszczone tak samo jak i całość majątku, lecz cudowna okolica.

— Pan doprowadzi majątek do wzorowego stanu. Wierzę w to. W szafirowych oczach Strzeleckiego błysnął uśmiech wesoły.

— Chciałbym, tylko Poturzyce absorbują mnie aż nazbyt. Obecnie w Sławohorze mieszka moja żona, no, i trzeba przyznać dzielnie dopomaga do skutecznienia moich planów. Mamy nadzieję, z czasem doprowadzić Sławohorę do kultury. Ale i do pana mam prośbę, panie Andrzeju.

— Słucham pana.

— Chodzi tu najpierw o Poturzyce, potem dopiero moje własne sprawy. Otóż chcę pana prosić o wykonanie planu i nadanie kierunku w budowaniu dwanaścioraków dla służby folwarcznej w Poturzycach. Stare mieszkania wałają się i są straszne. Chodzi mi o zupełnie nowoczesne modele wedle wymagań higieny i potrzeb koniecznych. Prócz tego aby to były budynki estetyczne. Sądzę, że pan nie odmówi mojej prośbie. Ułatwia bliskość Poturzyce od Zagórzan, zresztą autem zawsze służę.

— Przyjmuję propozycję pańską z przyjemnością i postaram się podołać zadaniu wedle mojej możliwości i wiedzy.

— W to nie wątpię. Dziękuję panu. Potem mam te same zamiary w odniesieniu do Sławohory. Tam w przyszłości i dom mieszkalny przydałby się, gdyż tymczasem odrestaurowaliśmy małą część jednego skrzydła starożytnych ruin pałacu i jest jako tako na początek. Pragnąłbym aby pan nas kiedy odwiedził w Sławohorze, żona moja chce pana poznać. Może na święta, panie Andrzeju? Serdecznie Warn będziemy radzi.

Andrzej zmieszał się trochę.

— Szczerze wdzięczny jestem za serdeczność, ale już święta takie doroczne chcę spędzić z matką. Byłoby jej przykro gdybym odjechał. Zawsze to rodzina, tradycja...

Strzelecki uściskał mu rękę gorąco.

— Tak, rozumiem i cenię to bardzo. W każdym razie spodziewać się pana będziemy. Jeżdżę do Sławohory zwykle autem, chociaż to ogromna przestrzeń. Pojedziemy kiedy razem.

— Z największą chęcią. Więc najpierw zrobię plan takich budynków mieszkalnych i kosztorys. Ale musiałbym obejrzeć teren. Po niedzieli przyjadę do Poturzyce. Po drodze wstąpię tu i ówdzie. Mam tu już różne swoje placówki...

— Posterunki pracy — uśmiechnął się Strzelecki. — Słyszałem, że i w Bąkach stawia pan mleczarnię udziałową a w Żołnach szkołę.

— Już rozpoczęte roboty wstępne, od wiosny zaczynamy murować. Hej, roboty będzie huk!

Andrzej zrobił szeroki ruch ręką. Z jego młodej opalanej twarzy biła energia, zapał palił się w wyrazistych szarych oczach.

Okружиł dom od strony ogrodu i przez ganek frontowy weszli do wnętrza. Andrzej otworzył drzwi do swego pokoju. Obaj usiedli przy środkowym stole.

— Daj nam Boże więcej takich jak pan ludzi idei, czynu i myśli — rzekł Strzelecki zapalając papierosa.

— Będą panie, będą! Zjawiają się powoli na razie, ale zaczną wkrótce tworzyć zwarte szeregi i pociągać za sobą coraz nowych. Na to się zanosi. Trzeba tylko nauki i wiary.

— Wiary w przyszłość i własne siły. Ale trzeba te siły w sobie odczuć najpierw, poznać, ocenić ich kierunek i dopiero wtedy dążyć naprzód — rzekł Strzelecki.

Andrzej utkwiał swój głęboki wzrok w oczach Strzeleckiego i rzekł poważnie a szczerze.

— Trzeba wiary w waszą jedność z nami, wiary w możnych, w szlachtę. Jednym słowem wiary w ziemian-obywateli, dziś nazywanych przez chłopów panami. Dopóki to określenie panowie często pony będzie stanowiło przedział społeczny, dopóty drogi nasze nie zejdą się nigdy a nieufność wzajemna mylić nam będzie cele. Wy, panowie nie powinniście iść osobno, w dzisiejszych i przyszłych warunkach bytu, lecz razem z nami. Zjednoczeni winniśmy być duchem polskim i zaufaniem wspólnym. Wśród was, panów są także obszarnicy wielcy i średni i mała własność, jednakże uważacie się za równych sobie i słusznie, ale jednoczy was herb, szlachectwo. My jesteśmy małorolni, często bezrolni i chłopi — to wytwarza ów rozłam niegodziwy, który odgrywał taką rolę w dziejach państwowych naszego narodu.

— Może to jest pozostałość dawnych wieków i pańszczyzny, która zaszczepiła jad trujący w sercu chłopów, przekazywany z pokolenia w pokolenie — rzekł Strzelecki. — Ale sądzę, że jest to już tylko pleśń, którą łatwo można przetrzeć.

— Pleśń się zetrze naturalnie, gorsza jest owa rdza, która przejadła dzwona tej spójni, łączącej dwie warstwy narodu rodowo szlachecką i chłopską. Dlatego to nastąpił taki rozłam nieszczęsny, oparty na nieporozumieniu. Zacietrzewiona demagogia, głucha na prawdę dziejową paczy historię i wbija w umysły nasze, wbrew sprawiedliwości niechęć do szlachty i ziemiaństwa, które wszakże ideę demokratyczną piastowało od

dawna. To jest rdza najtrudniejsza do usunięcia. Unicestwić ów rozłam, dzielący dwie warstwy narodowe, spoić łańcuchem ogniw dopełniających się nawzajem, wytworzyć zrozumienie się wzajemne, to jest wdzieczne zadanie do spełnienia. Dokonują tego ludzie nowych pokoleń, którzy wzrosną w nauce i nie na podręcznikach demagogów.

— Dobrze — odrzekł Strzelecki podniecony tematem — ale jeśli pan opiera swe twierdzenia i na zwróceniu się sfer szlachecko-ziemiańskich do was, także z zaufaniem i wiarą i uzależnia je pan poniekąd od oświaty, to trzeba jeszcze jeden czynnik wziąć pod uwagę — bardzo ważny. Mianowicie jaki jest przeważnie kierunek oświaty obecnej, powiedzmy powszechnego szkolnictwa?...

Dębosz poruszył się żywo.

— Bardzo nieodpowiedni dla naszych ideałów, przyznaję. Działają tam przeważnie prądy skrajnie lewicowe o zabarwieniu nawet komunistycznym a prawie zawsze przeciwreligijnym. Zamiast łagodzić stosunki wsi z dworem, burzą, młodzież usposabiają niechętnie, nawet wrogo przeciw panom.

— A zatem czy młode pokolenie wzrosłe znowu w takiej atmosferze pójdzie w myśl zamierzeń jakim pan hołduje, a które są szczytem marzeń narodowych? — spytał Strzelecki.

— To jest właśnie i ciągle ta sama rdza, o której mówiłem. Przeżarła ona doszczętnie łańcuch naszej spójni i on rozpadł się na mnóstwo cząsteczek. Partie, grupy, bruźdzą w tworzeniu istotnie pięknej przyszłości. Trzeba zaczynać tę nową Polskę ludowo-narodową od samego z początku, że tak powiem od a do z. Wszystkie warstwy powinny obrać sobie jeden kierunek ideowy i wpłynąć na szkolnictwo, bo to fundament pod nowe gmachy. Niech ono nie jątrzy, lecz niech idzie w myśl tych, co chcą goić, niech nie łamie lecz niech buduje razem z tymi, co chcą fałszy i podle kłamstwa odrzucić, by nie paczyły dziejowych prawd i nie zacieśniały widnokregu nowym pokoleniom.

— Na to trzeba kultury duchowej u obu warstw, kultury dojrzałej.

— Rozumiem pana — zawołał Dębosz — potrzeba kultury, która by warstwie szlachecko-ziemiańskiej nie pozwoliła grzęznąć w przestarzałych przesądach i zrażać się nowymi niepowodzeniami bo one na razie są nieuniknione. A także konieczną jest kultura warstw niższych, aby odczuwały należycie dążenia wasze. Abyśmy wasze obyczaje przyjęli za swoje, wasze potrzeby duchowe aby się stały naszymi. Obyśmy się poczuli naprawdę serdecznie i nie sztucznie waszymi braćmi, ludźmi tych samych

potrzeb i na tych samych prawach będących, co wy obecnie. Zamożniejsi i biedniejsi, lecz duchem jednacy i prawami.

— Zapomina pan o zwykłej ludzkiej zawiści, która zawsze wytworzy ferment i bunt.

— Ja mówię o kulturze duchowej a ta wszak obejmuje i ten dział słabości ludzkiej, raczej go niweczy.

— Myślę z panem niemal jednakowo, ale przyznaję, że pan rysuje raj na ziemi, może nawet nieziszczalny.

— Owszem, tylko jeszcze daleki od doby obecnej. Z tego co słyszę, wnioskuję, że pan ujmuje kwestię z tej samej strony co i ja, tylko zdaje się pomija pan zupełnie jeden szczegół najdrażliwszy.

— Mianowicie?

— Możliwość takiego porozumienia duchowego i, na tym szczeblu zupełnie zjednoczenie się kulturalne was szlachty rodowej — z chłopami — rzekł Dębosz.

Lekki cień rumieńca przemknął przez smagłą twarz Strzeleckiego.

— Może być! Jestem szczery. Ale jeśli mam co do tego punktu wątpliwości, to wpływa na to wasza odporność. O, nie mówię tu o pojedynczych osobnikach lecz o masie.

— Przepraszam, a czy ogół szlachty, pomijam także ludzi pańskiej miary, naturalnie — czy oni nie patrzą tymczasem na nas chłopów jak na masy potrzebne im tylko dla ich rozrostu jak na siłę roboczą, ach, jak na bydło pociągowe?

— Oto jest właśnie jądro sprawy, dotarliśmy do jej ośrodka — rzekł żywo Strzelecki. — Tu tkwi główne nieporozumienie! By je wyjaśnić, trzeba gigantycznej pracy twórczej kilku pokoleń.

— A tak, bo odporność warstw wyższych powoduje odporność niższych, z tego wytwarza się nieufność i rozdziela jeszcze bardziej. Więc powtarzam — zapalił się Dębosz — trzeba pracować nad wynalezieniem takiego łącznika, który by zdołał owe dwie odporne sobie skały ściągnąć do siebie i utworzyć jedną bryłę, przez zazębienia jednakowo humanitarne, kulturalne, ideowe i praktyczne. Taki magnes wynaleźć to cel i to przyszłość świetlana ludzkości.

— Panie Andrzeju — zawołał Strzelecki poruszony do głębi, chwytając rękę młodego człowieka. — Pan jest już częstką owego magnesu! To jest właśnie jego składnik. Więcej nam takich jak pan chłopów, a my szlachta będziemy ku wam ciągnąć wprost organiczną siłą inercji, bośmy już słabi, bo nam potrzeba mocy i bodźca. Wy go nam dać możecie, wy to przyszłość narodu, my, anemicy stargani przeszłością.

— Nie! Wy jedna skała, my druga; dziś odgradzone przepaścią wyrąbaną przez barbarzyński topór socjalnych praw przeszłości, poryte w bruzdy przez zakisłą wilgoć przesądów, ale da Bóg, że się zbliżymy. Zasypie się zatechłą przepaść, lawiną nowych ludzi, czynów i twórczych dzieł i złączymy się... Tylko nie gaśmy nad sobą, na Boga nie gaśmy słońca nadziei...

Strzelecki chwycił w ramiona Andrzeja. Uściskali się serdecznie.

— Jędrak, takiś mi bliski, jak brat najmilszy, którego nie mam. Bądź mi bratem!

— Z całego serca! Na mnie się nie zawiedziesz! Ale nie we mnie tylko ufaj, ufaj w nas! W naszą szarą, biedną, sponiewieraną przez wieki masę, która zaczyna zakwitać na szarym prochu ziemi.

— Wierzę, i będę ci Jędrak pomocą! Ufajcie i wy w nas, i nasze dobre chęci.

— Bądź Jerzy łącznikiem, owym magnesem serdecznym, pociągającym wasze skały, ja będę naszą przyciągał ku wam. Aby dać początek, aby przez tę przepaść niegodziwą podać sobie bratnie dłonie.

Uściskali się znowu. A wtem weszła Dęboszowa. Ujrawszy ich we wspólnym uścisku, złożyła ręce.

— Dla Boga! Cóż to takiego?...

Jej okrzyk ocknął ich z zapłu. Spojrzeli na drzwi. Kobieta zmieszała się.

— Jędrus, dyć trzymasz i trzymasz takiego gościa tyli czas! Stukałam kilka razy i nic i nic, to i weszłam. Obiad czeka! pewnikiem na nic, wszystko przestoją.

Strzelecki podszedł do kobiety. Podała mu rękę na powitanie trochę nieśmiało. Jerzy ucałował tę rękę spracowaną i rzekł gorąco:

— Syna pani uważam od dziś za mego brata. Dzielny człowiek! Może być pani dumna z niego.

— Ano... ano... Bóg tak sprawił — jąkała się wzruszona.

— Chodźmy na obiad — zawołał Dębosz — prawda, że późno. Wypijemy za nasze zbratanie się. Matuś dajcie tę nalewkę wiśniową.

— A jest, jest i śliwowica, co robiłam łośkiego roku. Zaraz przy-niesę. Proszę, pięknie proszę sięść do stołu — mówiła kobieta rozpromieniona.

Obiad przeszedł wesoło. Andrzej opowiadał o swojej podróży, szeroko i fachowo. W pewnej chwili Dęboszowa wtrąciła.

— A i w onej Wenecji był i na grobie św. Antoniego i w Neapolu.

— Byłeś i w Wenecji i w Neapolu?... Toś ty ogromną podróż zrobił, Jędrak.

Andrzej był nieco zmieszany.

— A tak, nadłożyłem drogi, ale chciałem skorzystać, by zobaczyć Wenecję.

Strzelecki zauważył, że Dębosz nie chciał się rozwódzić zbytnio nad tą podróżą i skierował rozmowę inaczej. Po obiedzie Strzelecki przed wyjazdem rozmawiał jeszcze z Dęboszem, stojąc przy jego biurku.

W pewnej chwili spostrzegł fotografię grupy studenckiej i wziął ją do ręki.

— Koledzy z architektury?

— A tak!

— Kto to jest ta panna obok ciebie, bardzo miła dziewczyna. Trochę w typie mojej żony. Może dlatego zdaje mi się, że ją gdzieś widziałem. Jak się nazywa?

— To panna Katarzyna Zahajska.

— Zahajska?... Czy z Kromiłowa?

— Tak jest.

— No, to znaczy obecnie Zebrzydowska. Przypominam sobie teraz. Widziałem ich fotografię w pismach, gdy był ich ślub. Tak, tak, i nawet mówiono, że ona inżynier-architekt. Ciekawe! Czy i jego znasz?

— Zebrzydowskiego? nie, ale widziałem go.

— Jakże oni żyją z sobą, czy mieszkają w Pochlebach? Strzelecki spojrział na Dębosza i ujrzał lunę krwi na jego twarzy.

Andrzej patrzył na fotografię.

— Nie, ona mieszka w Kromiłowie a on... na całym świecie!

— Taak? To znaczy War po staremu Warem. Dzieci są?

— Nie, i Pochleby zdaje się już upadają.

— Chyba już leżą, bo upadały od bardzo dawna.

— Czy znasz Zebrzydowskiego osobiście — spytał Dębosz.

— Ach tak, przecie obaj pochodzimy ze wschodnich kresów. Jego Hławatyn i Derbyszcze były w innym rejonie niż moje Nowosiółki, ale niedaleko. Znam go, znam, aż nadto! — dokończył Strzelecki odstawiając fotografię. — Oto jest widzisz typowy człowiek przeszłości nawet naszej, szlacheckiej. Bardzo piękny światowiec, ale birbant, pustak, letkiewicz niepoprawny. To nie jest człowiek zły, tylko destruktor w całym znaczeniu tego słowa.

Na twarzy Andrzeja odmalował się ponury gniew. Wybuchnął.

— Nie, to nie jest dobry człowiek, skoro mógł tak lekko porzucić taką żonę jak ona!... aby z kochanicą?...

Jerzy spojrział na Andrzeja uważnie.

— Widzę, że wiesz o nim dużo, prawda, że ona twoja koleżanka. Opowiedz, Jędrak, co on tam nowego nabroił. Jestem ciekawy.

Andrzej pod wpływem oburzenia na Zebrzydowskiego opowiedział o Kasi bardzo szeroko, ubolewając nad jej losem. W jednym momencie opowiadania Strzelecki przerwał.

— Poczekaj, czy nie dlatego właśnie byłeś w Wenecji i w Neapolu?

— W Wenecji nie, tam dopiero spotkałem panią Kasię, ale do Neapolu pojechałem istotnie za nią, by nie została zupełnie sama. Czyż mogłem wiedzieć, co się zdarzy?

Gdy opowiadał o odjeździe Wara do Egiptu, Strzelecki zaciął usta.

— Zawsze ten sam!

Gdy Andrzej skończył mówić, Strzelecki machnął ręką.

— No, to teraz Pochleby zgubione i Kromiłów stoi nad przepaścią. Tak to nieszczęśliwa kobieta! A gdy on wróci, żona mu zapomni szalawilstwa i daruje zdradę. On zaś zacznie się za nową oglądać.

Andrzej zbladł.

— Czyżby ona jednak, po takiej próbie?

— Zobaczysz! Taki jest właśnie cały Zebrzydowski. No, ale czas na mnie, wieczór za pasem!

Po odjeździe Strzeleckiego Andrzej chodził po swoim pokoju rozdrażniony niebywale.

— Więc on taki? Więc on ją może zgubić? Czyż pozwolić na to, czyż do tego dopuścić, żeby ona...

Płonęła mu głowa. Dusza rwała się w nim z niepokoju i bólu. Pragnął ratować Kasię. Burzyło się w nim wszystko. Buntowały się gorące uczucia dla niej przeciw tej niemocy, na jaką był skazany. Czuł swoją bezsilność i ta świadomość stała się największą jego męką.

ROZDZIAŁ IX

Luty dobiegał końca. Wicher na dworze był przeciągle i ciskał ostre fale deszczu w okna dworu w Kromiławie.

W pokoju było jasno od dwóch dużych okien, pod którymi Kasia Zebrzydowska rysowała jakieś plany, na ogromnym stole zarzuconym kartonami, ołówkami i kredkami.

W głębi pokoju na kominku buchał rześisty ogień. Trwała tu cisza prawdziwej pracowni, tylko syczały płomienie i spoza okna dobiegał przytłumiony huk starych drzew parkowych, rozkołysanych wicherem. Parę razy wszedł stary Dionizy, poprawił ogień, popatrzył na swoją panią, pogrążoną w pracy, spojrział na zegar i odchodził bez słowa. Raz tylko Zebrzydowska spytała.

— Czy Jurasek nie wrócił jeszcze z poczty?

— Jeszcze nie, ale zaraz nadjedzie.

Dionizy wyszedł a Kasia pochyliła znowu głowę nad dużym kartonem, pilnie rysując nowy plan budowli. Ale nie minęło pół godziny, gdy do pokoju wszedł Dionizy, niosąc tekę pocztową. Kasia otworzyła ją szybko, przerzucała pisma szukając listu, którego oczekiwała. Dwie duże koperty. Zaproszenia na bale. Młoda kobieta obojętnie czytała spis gospodyń i gospodarzy. Na jednym zaproszeniu z Warszawy w rzędzie gospodyń było jej nazwisko.

— Zwariowali! — mruknęła zdziwiona. — Aha, robota cioci. Także pomysł!...

Był i list od hrabiego Mohyńskiego, pełen wymówek, że siedzi całą zimę w Kromiławie zamiast się bawić i używać młodości. „Przyjeżdżaj natychmiast — pisał — mamy dla ciebie obmyśloną pyszną toaletę, będziesz wyglądała po królewsku i rozerwiesz się nareszcie. Są tu tacy, którzy oczekują twojego zjawienia się w świecie. Nie bądźże dziką. Na tym balu zapustnym musisz być koniecznie, zrobisz niesłychany efekt. Zlituj się, nie zrób zawodu, bo przecież umieściłem twoje nazwisko na liście gospodyń. Jeśli każesz, przyjadę po ciebie bo Kryś zaaferowany balami, które co dzień „odwala” gracko. Depeszuj natychmiast, czy przyjedziesz sama, czy ja mam jechać po ciebie. Szosy czyste, możesz jechać autem. Nie zrób zawodu, nazwisko wydrukowane — powtarzam — byłyby zaraz niepotrzebne komentarze. Myśmy tu rozgłosili, że War jest w Kairze na kuracji, coś tam z nerkami, z sercem... Bo trzeba jakoś wytłumaczyć, tym bardziej, że Beata wypaplała temu i owemu o jego afrykańskim pied a terre obecnym. Twoja bytność na tym balu niezbędna. Nawet Oktawia jest tego

zdania, a to już w takich sprawach wyrocznia. Ludziom trzeba trochę zamydlić oczy, bo już je nieco wytrzeszczają. Teraz, moje dziecko, tylko reklama i reklama, wszystko na reklamie oparte. Reklamą otwiera się oczy, które nie chcą widzieć, i reklamą zatłamsza się oczy, które inaczej widzą. Reklama zapycha gardła jednym a otwiera drugim. Wszyscy wszystko reklamują na gwałt, trzeba więc i małżeństwo reklamować, skoro ono samoistnie gorzej się przedstawia, jak to jest u was, wierzę, że chwilowo. Jednakże War przeciąga strunę, no, ale nie będziesz chyba odbywała pokuty za niego. Czekamy depeszy lub najlepiej twego przyjazdu".

Kasia wzruszyła ramionami i odłożyła list. Uśmiech błysnął na jej twarzy. Wyjęła z szuflady blankiet telegraficzny i napisała zamasyście:

„Reklamie nie hołduję, nazwisko zastąpi osoba nosząca takie samo — radzę tam skierować projekty.

Zaśmiała się.

— Och, jestem złośliwa! Zastanowiła się i posmutniała.

— War przeciąga strunę — powtórzyła w myśli słowa hrabiego Augusta.

Czyż przeciąga, czyż ta struna już nie prysła?... Wkrótce będzie rok jak wyjechał z domu, od czterech miesięcy jest w Egipcie. Chyba dosyć było czasu, by się przestać ludzić.

Kasia nie łudziła się. Myśl o Warze stała się dla niej jakąś zmorą nad wszelki wyraz ciężką. Odsuwała ją od siebie w obawie, by się w niej nie zagłębiać. Poświęciła się całkowicie swojej pracy, szukając w niej jedynej ostoi życia. Lecz myśl o Warze była zawsze aktualną, ponieważ on sam przypominał się ciągle, żądając nowych pieniędzy w poważnych ilościach. Żądania te płynęły do Kmietowicza, ale odbijały się na Kromiłowiu. Edward był głuchy na wszelkie odezwy Kmietowicza, który alarmował już rozpaczliwie tak samo Wara jak i Kasię. Edward do żony nie pisywał, i za to jedno była mu wdzięczna. Zadawała sobie samej pytanie, dokąd to będzie trwało i czasem dziwiła się własnej cierpliwości. Ratowała ją praca, była z niej zadowolona i z tego źródła płynął względny spokój.

Obecnie oczekiwała wyniku konkursu na budowę gmachu rządowego we Lwowie. Posłała tam własny projekt i kosztorys wykonany z wielką starannością. Ale i dziś nie było oczekiwanego listu. Trochę ją to zaniepokoiło. List hrabiego poruszył bolesną myśl o Warze i nowe nasunął rozważania. Nie chcąc się im poddawać, zabrała się znowu do swego rysunku. Ale słowa z listu kołowały dokoła niej uprzykrzone i drażniące „trzeba i małżeństwo wasze reklamować, skoro ono samoistnie gorzej się przedstawia".

— Wuj jest znakomity z tą reklamą. Najlepiej reklamuje oraz ilustruje nasze małżeństwo sam War — bez możliwości konkurencji w innym kierunku — myślała zapatrzona w linie nowego projektu pięknej willi, na kartonie leżącym przed nią.

Wtem podniosła głowę nasłuchując.

— Co to, auto?...

Motor warczał już u podjazdu.

— Wuj August — zawołała Kasia.

Niechęć odbiła się na jej twarzy. Znowu zmacony spokój, znowu wymówki za jej bierność co do Wara, znowu debaty, rady... Och, jakże miała już tego dosyć!... A jeśli głównym celem bał?... Oto moja odpowiedź.

Wzięła napisaną depezę do ręki z uśmiechem nieco gorzkim i skierowała się do drzwi, gdy stanął w nich Dionizy.

— Jakiś pan, nieznajomy. Oto bilet.

Kasia wydała lekki okrzyk radości, twarz ożywiła się łuną rumieńca.

— Gdzie jest?

— Prosiłem do salonu.

— Dobrze! Pobiegła naprzód.

Andrzej Dębosz skłonił się przed nią głęboko. Podała mu obie ręce serdecznym odruchem.

— Jakże się cieszę! Zrobił mi pan prawdziwą niespodziankę.

Za długo przytrzymał usta na jej rękach. Wycofała je delikatnie. Jego czoło pokryło się purpurą. Zauważyła to, odczuła i zrobiło jej się niewymownie przykro, że mogła go urazić.

— Nie śmiem przypuszczać, że Kromiłów był wyłącznym celem pana? Ale skąd pan jedzie?

— Z Zagórzeń tylko i wyłącznie do pani, by jej zwiastować bardzo miłą wiadomość. W tym celu jechałem przez Poturzyce, gdzie pan plenipotent Strzelecki udzielił mi auta. Spieszyłem by nie być uprzedzonym.

Podczas gdy mówił, sto myśli przebiegło przez głowę Kasi. Twarz jej mieniła się różnorodnymi wrażeniami, ciekawość rosła. Nawet sylwetka Wara przemknęła migawką...

— Ach nie, to nie to!

Dębosz patrzył na nią z uśmiechem, uszczęśliwiony. Lecz nagle i on odczuł jakąś drażliwszą nutę w tym jej niespokojnym oczekiwaniu i nie przedłużał wyjaśnienia. Powstał żywo i skłonił się ponownie.

— Winszuję zwycięstwa!! Konkurs wygrany, pierwsza nagroda! Kasia zerwała się cała w ogniach.

— Co pan mówi? Czyż możliwe!!

— Tak. Projekt pani utrzymał się pierwszy, został wyróżniony i oczywiście zatwierdzony. Przy tym postanowiono powierzyć pani kierownictwo budowy gmachu, która rozpocznie się wczesną wiosną.

Rzucił się do jej rąk i jął je całować z uniesieniem i gorącą radością.

— Jakież jestem szczęśliwy, że zdążyłem pierwszy przywieźć tę wiadomość. Sądzę, że dziś jeszcze będzie potwierdzenie ze Lwowa.

Kasi błyszczały oczy podniętą, były pełne złotych iskier wesela.

— Oczekiwałam właśnie zawiadomienia o wyniku, lecz nie żywiłam aż takiej nadziei. Serdecznie jestem wdzięczna panu za tę wiadomość. Ale skądże pan wiedział o tym wcześniej ode mnie w Zagórzanach?

Andrzej zaśmiał się swobodnie.

— Miałem telegram od kolegi Janica, ponieważ wiedziałem od niego o udziale pani w konkursie i interesowałem się naturalnie.

— Mówił mi Janica, gdy byłam we Lwowie, że pan nie podał swojego projektu. Dlaczego?

— Nie mam czasu. Teraz mnóstwo pracy na mnie spadło. Zresztą moje pomysły nie miałyby na pewno powodzenia.

— No, no, czy nie panu głównie zawdzięczam swoją wygraną! Mówię szczerze, zna mnie pan przecież. Przypomnijmy sobie nasze prace studenckie i dyplomowe. Kto kogo zawsze pobijał?...

— No, wtedy słońce miałem w duszy... Umilkł. Kasia spojrzała na niego uważnie.

— A dziś? — spytała ciszej?

— Dziś proza, szara rzeczywistość.

— Nie wierzę w to, kolego. Pański zapał jest zawsze żywotny i nigdy nie zblednie. Pamiętam, jak pan budził mnie z odrętwienia duchowego podczas podróży z Neapolu do kraju. Pan to popchnął mnie do pracy i wskazał mi jej błogosławiony szlak. Pańska zasługa, że nie gnuśnieję w beczynie i nudzie mego istnienia. Ileż razy myślą dziękczynną biegłam tam, do nieznanych Zagórzan terenu pańskich działań...

— Doprawdy? — spytał, patrząc jej w oczy poważnie. — Dlaczego jednak myśl pani nie zamknęła się bodaj w kilku słowach listu? Czym on byłby dla mnie chyba mówić zbytecznie.

— Parokrotnie chciałam pisać, lecz zawsze... Zawahała się. On spuścił oczy.

— Wszystkie dawniejsze listy pani, sprzed dwóch lat, chowam jak moje najdroższe pamiątki. Dotąd opromieniają mi życie i... także wspierają.

— Więc nawiążemy korespondencję naszą, kolego! Tematu nam chyba nie zbraknie.

Pochylił się nisko do jej ręki, by nie ujrzała promienia szczęścia w jego oczach. Ale dostrzegła ten błysk i uszanowała. Jakoś jasno im było i ciepło z sobą. Ponieważ Kasia interesowała się Zagórzezanami, więc Dębosz opowiadał dużo o swojej rodzinnej wsi, o matce, o którą Kasia pytała serdecznie. Potem mówił o Strzeleckim i Sławohorze.

Zebrzydowska omroczyła.

— Czy to ten Strzelecki, który pochodzi z Kresów, z Nowosiółek?

— Tak jest. Stracił je naturalnie, ale to dzielny człowiek. Niespożyta energia. Jest obecnie plenipotentem całego klucza Poturzyce i właścicielem Sławohory nad Czarnym Dunajcem.

— To była własność Pobogów z Krążą. Znam tę sprawę — rzekła Kasia. — Strzelecki ożeniony jest z Magdaleną Dobrucką.

— Tak. Pani Dada pochodzi także z kresów, z Dawidówki. Miała tragiczne przeżycia.

— Wiem. Niewiele brakowało a byłaby obecnie... w moim położeniu.

— Jak to? — zdziwił się Andrzej.

— Była narzeczoną mego męża, już będąc wdową. Ciekawam! — mówiła Kasia w zamyśleniu — może ich życie ułożyłoby się inaczej niż nasze.

Dębosz zdziwiony, od razu uprzytomnił sobie parę drobnych szczegółów z bytności u Strzeleckich, na które nie zwrócił uwagi.

— Dlaczegoż do małżeństwa nie doszło? — spytał.

— A czy Strzeleccy nic panu nie mówili?

— Nic. Wiem tylko, że znają pana Zebrzydowskiego.

— Więc, może nie powinnam zdradzać...

— Ja się już domyślam. Pan Zebrzydowski najpierw zabrał narzeczoną panu Strzeleckiemu a potem zapewne porzucił ją dla innej — rzekł Andrzej szorstko.

Kasia milczała.

Dębosz wstał i przeszedł przez pokój i z powrotem. Zatrzymał się chwilę, jakby się wahał, znowu przeszedł wzdłuż salonu krokiem nerwowym, wreszcie usiadł prędko i pochylił się do Kasi. Dziwnie miękko zabrzmiał jego głos, gdy spytał prawie nieśmiało.

— Czy są wiadomości, kiedy... wróci?

— Nie — odrzekła bezdźwięcznie.

— Więc jakże... jakże tak będzie? Dokąd? Milczała.

— A kwestie pieniężne?

— Załatwia Kmietowicz.

— Ale już nie z Pochlebów, bo to wiem na pewno. Jakże tak może być... Czyż to możliwe? Czyż pani to cierpi i nic nie przeciwdziałała.

Podniosła na niego oczy za mgłą.

— Jakaż rada?

To proste pytanie uderzyło w serce Andrzeja jak obuchem. Nie znalazł już odpowiedzi. I oto nagle z tej pogody jasnej, jaka była między nimi stało im się ciężko z sobą... Gorycz była w duszy Andrzeja i wrzał w nim bunt. Ale już milczał. Nie miał tu nic do powiedzenia. Wyrzucał sobie, że sam zaćmił ten promień ciepły jej oczów. Odczuwał teraz to ciepło drogie mu ponad wszystko, ale jakby przysłonięte brutalnie wspomnieniem tego, którego nienawidził. Obiad spożyli w tym sztucznym nastroju, męczącym ich oboje. Andrzej był twardy dla siebie samego, więc gdy tylko zrozumiał, że męczy Kasię, potrafił się zwalczyć. Zdusił w sobie egoistyczne podszepty buntu i niechęci i myślał już jedynie o niej. O przywróceniu jej spokoju. Aż nadszedł moment rozbijający. Do salonu pędem wbiegł Tomek Kostrzewa z rozwianą czupryną. Ujrawszy Dębosza zmieszał się, ale wnet szurgnął nogami w pośpiesznym ukłonie i z impetem ukląkł przy Kasi. Ucałował jej rękę wołając:

— - Mam dziś czwórkę z historii i piątkę z rysunku. Pan nauczyciel tak chwalił, tak chwalił...

Kasia ucałowała głowę chłopca.

— No dobrze, dobrze, cieszę się razem z tobą. Oto jest ów Tomek, o którym panu opowiadałam — zwróciła się do Dębosza.

Powitał chłopca serdecznie.

Dobry nastrój powrócił. Rozmowa z Tomkiem, potem oglądanie jego rysunków, robót z gliny i drewna zaciekały Andrzeja. Niektóre z tych wytworów zdumiały go poważnie, a gdy Tomek wyszedł na obiad, Dębosz rozmawiał o nim z Kasią i słuchał jej projektów, dotyczących kształcenia chłopca.

— Czy pani pokazywała już komuś kompetentnemu te drobiazgi? — spytał.

— Właśnie, że jeszcze nie. Wuj Mohyński obiecał odwiedzić mnie ze znajomym rzeźbiarzem, by mu pokazać te pierwociny dyletanckie, lecz zasługujące bardzo na uwagę. Ale jak dotąd... Gdy pojedę do Lwowa, załatwię to sama. Od jesieni pragnęłabym oddać Tomka na jakieś początkowe studia, oczywiście przede wszystkim do szkoły we Lwowie, gdyż obecnie uczęszcza do naszej powszechnej, wiejskiej. Warto i trzeba go kształcić, bo to wyjątkowo zdolny dzieciak. Prócz rzeźb widział pan jego rysunki?

— Tak, bardzo ciekawe.

Andrzej zapalił się do zamiarów Kasi i znać było na nim wielkie podniecenie. A ona, w pewnej chwili rzekła do niego, patrząc mu w oczy z niewymownym wyrazem.

— Czy pan pamięta słowa swoje wypowiedziane do mnie kiedyś, gdyśmy jeszcze wspólnie układali wielkie plany społeczne: „Są wśród nas siły i talenty ukryte jak cenne minerały w ziemi”. Gdy odkryłam zdolności Tomka słowa te przyszły mi na myśl od razu i zachęciły do zajęcia się nim.

— Pani zapamiętała te moje słowa?... — rzekł cicho ze wzruszeniem...

Ale od razu jakby się skarcił sam za głośne wyjawienie swej myśli, odrzucił głowę i dodał prędko.

— Dla Tomka pani jest szczęśliwym kilofem losu i on pani zawdzięczać będzie swoją przyszłość, którą w nim przeczuwam...

Kasia rozpromieniła się, gdyż Tomek był jednym z jej umiłowanych celów.

W parę godzin potem Dębosz opuszczał Kromiów. On, jadąc w mroku wieczornym ścisnął rękoma skronie by odzyskać równowagę myśli i uczuć, by rozproszyć tuman płomienny, który przyćmiewał mu oczy.

Kasia w pracowni swojej tworzyła nowe projekty pracy, podniecona zwycięstwem, lecz myśl jej biegła za Andrzejem bezwiednie a głucha cisza w domu potęgowała złudzenie głosu Andrzeja i słów jego, z których czerpała moc. Oboje chociaż znowu oddzieleni przestrzenią byli duchem przy sobie.

ROZDZIAŁ X

Zapadał wieczór majowy. W Zagórze było gwarno. Trzody wracały z pastwisk dążąc do swych zagród.

W opłotkach rozlegały się nawoływania kobiet. Na drodze słyhać było głosy ludzi, wracających z pól od sadzenia kartofli. Śpiewy, śmiechy mieszały się z rykiem krów, ze skrzypieniem wozów i wrzaskiem bawiących się dzieci. Robotnicy wracali od budowy Domu Ludowego, rozprawiając głośno i paląc machorkę.

W zagrodzie Dęboszów panował ruch przedwieczorny. Piskliwie darła się Franka, i grzmiał bas Kadeja im zaś obojgu odgryzał się Felek. W kuchni krzątała się Dęboszowa, gotując wieczerę. Wszędzie jej było pełno. Jednocześnie dozorowała roboty Franki i parobków. Nakryła w świetlicy do wieczerzy dla syna i co chwila wybiegała na ganek, wypatrując, czy Andrzej nie wraca od budowli. Ale robotnicy dawno przeszli a jego nie było. Wreszcie zgasły ostatnie zorze. Z łąk buchnął zgodny chór żab, roznosząc jakąś słodycz przedziwną, wnikającą do dusz ludzkich radosnym wiosennym dreszczem. Dęboszowa stała na ganku zasłuchana i zapatrzona. Przed nią kwitła czereśnia. Drzewa osypane były bielą kwiecica, o które tłukły się hucząc chrabąszcze. Na topoli obok stodoły rozklekotał się bocian. Cały sad rozkwitły, wonny, jasno-zielony burzył się wiosną, małą kwiatami i brzęczał niewymownym szczęściem rozigranych owadów. Przy ulach był cichy pomruk. Pszczoły układały się na noc, śpiewając wieczorne nieszpory. Dęboszowa uśmiechnięta słuchała tych głosów wiosennych, które odmładzały ją zda się i syciły jej duszę dziwną tęsknotą, zupełnie taką samą jak za lat młodości i szczęścia własnego. Ale oto ogarnął ją żal szczególnie. Dlaczego jej syn staje się coraz smutniejszy, dlaczego ten dawny wesoły zawsze Jędrus zatracił gdzieś pogodę i wesele. Jest zapracowany to prawda, ale dawniej pomimo pracy był zawsze wesoły. Teraz zmienił się bardzo. Matka czuła, że go coś nurtuje. Nie mogła odgadnąć przyczyny smutku. Pytała parokrotnie lecz on zbył ją pozornym humorem, zapewniając, że jej się tylko zdaje.

Przestała pytać. Bolało ją to, że dawny szczerzy Jędrus stał się skryty. Dęboszowa nie miała już w postępowaniu z synem poprzedniej swobody. Była ona kobietą prostą lecz odczuwającą głęboko stan duchowy syna. Troszczyła się o niego a najbardziej męczyła ją niepewność i nieświadomość tego co mu jest.

— Dlaczego nie przychodzi — pytała teraz nasłuchując czy nie rozpozna jego kroków, gdyż zawsze wracał przez łąkę i stąd naglądając jednocześnie na budynki.

Wieczór stawał się coraz bardziej przepojony zapachami wiosny. Z łąk i olszyn nad rzeką słychać było kłaskanie słowików. Opary białe wznosiły się na kształt obłoków. Cisza wieczorna pełna melodii otuliła całą wieś.

— Co mu się stało, gdzie on jest? — niepokoila się Dęboszowa gotując w kuchni wieczerzę dla służby.

Wszedł pierwszy Kadej i zaraz zagaił.

— Pana jakoś nie widać. Czy kaj poszedł na piechotę czy co? Weszła Franka i Felek, zabrali się ostro do jedzenia, ale Kadej ciągle dogadywał:

— Naszemu panu gospodarzowi cośi brakuje. Jenszy je teraz, kiei był. Zasumowany chodzi a mało kiedy się oześmieje.

— Jakaś omroka na niego spadła — zapiszczała Franka.

— Pracuje za wiele — rzekła Dęboszowa i wyszła z kuchni na ganek. A może już idzie?

Felek, ujrzawszy, że gospodyni nie ma, zaśmiał się cicho.

— A ja wim, co panu brakuje — rzekł, błyskając oczami.

— Dzisz go! mądrała — mruknął Kadej niechętnie.

— A wim! jakbyśta wiedzieli! Trza mu się żenić, kobity mu brak. Ot, co jest!

— Głupiś, kiei ten wól!

— O wa, wyśta tyż wszyćkich rozumów nie pojedli a i woma tyż baba by sie przydała.

— Tyło tobie pokrako ni?

— Juści!... Ja ta nie taki jak on i nie zapiram sie, to co mi oczy wypiekata!

— Cicho, nie drzyj się chorobo, gospodyni usłyszcy. Przyszedł pan cheba, gospodyni z kimciś gada w sadzie.

Franka wybiegła na przyzbę i wróciła pędem.

— Wiadomo, przyszła panna Janiela! Czatuje na niego. Co dzień się tero przywleka, a to w południe, a to wieczorkiem.

— A może i co z tego będzie, panna je akuratna — zahuczał Kadej.

— Ii tam — skrzywił się Felek — wykręcona kiei wrzeciono. Jakby tak na mnie wolałbych Frankę.

Dziewczyna zaśmiała się dźwięcznym zdrowym śmiechem.

— Kaptuj me sobie, kaptuj, może ta co wycyganisz.

— A toż wim, że bez kaptowania nic z dzieuchą nie poredzisz. Czasem to sama dziewczyna kaptuje, jak i nie przymierzając panna Janiela.

— Nic nie wskóra, ino co sie żółci naje — warknęła Franka. — On nie dla niej!

— A niby la kogo? — spytał Felek. — Z dziedziczką sie jaką ożeni, czy co?...

— Taki jak nasz pan to se może wybrać — rzekł Kadej flegmatycznie. — Nic nie mówię na pannę Janiele, nauczycielka je, uczona, piękna panna, ale w oczy mu patrzy kiej owca, do cna mu zbrzydnie i tyło.

— To już prawdę rzekliście — uradowała się Franka. — Już mu pewno i zbrzydła, bo co przyjdzie, to go nima.

Na progu stanęła Dęboszowa.

— Franka, podaj do świetlicy wieczerzę. Przyszła panna Aniela i syn już idzie. Słyszę, że na drodze rozmawia.

Andrzej wracał z innego jak sam nazywał świata, ze swego własnego świata, którym była dla niego samotność. Od chwili skończenia robót przy budowlu, błądził sam po polach i olszynach. Obcował tylko z marzeniem swoim i tęsknotą. Po mozolnej pracy pozwalał sobie na takie chwile duchowego świata, lecz odczuwał, że nie są one dla niego bezpieczne. Był w nim zbudzony potężnie głód szczęścia i jednocześnie groźna świadomość, że nie osiągnie go nigdy. Skarb jego uczuć zamknięty był szczelnie w sercu, nie ożywiał duszy najsłabszym promykiem nadziei. Pozostawało marzenie w udręce tęsknoty. Ale nawet marzenie swoje Andrzej zazdrośnie chował dla siebie tylko, by nikt nie odgadł i nikt nie zbrukał tej jego świętości.

Andrzej widział niepokój matki, którą kochał głęboką synowską miłością i czcił niezmiernie. Jednakże nie zwierzał nawet jej swojej tajemnicy, lękał się, by nie odgadła, odczuwał, że nie zrozumie, pomimo swej zacnej, prostej natury kobiecej.

Więc i teraz, wracając do domu, starał się uspokoić wewnątrz, by nie zdradziło w nim, przed matką nastroju jego duszy. Ale gdy wszedł do sieni, zachmurzył się. W otwartych drzwiach od świetlicy ujrzał pannę Anielę. Najmniej usposobiony był dziś do tej wizyty, powtarzającej się zresztą już zbyt często. Panna Aniela pokazywała Dęboszowej jakąś robotę. Gdy kroki Andrzeja rozległy się w sieni, matka wybiegła na spotkanie, młoda nauczycielka podążyła za nią.

— Jędrus, synku czekam i czekam! Głodnyś pewno? Chodź, siadaj. Co byś chciał na wieczerzę. Jest zsiadłe mleko, dobre, ino co kartofle ostygły. Ale zaraz jajecznicę usmażę, to sobie z panną Anielą podjecie. Franka a chodź-ino tu, żywo...

Dziewczyna wniosła właśnie hladysę mleka i tłuczone kartofle ze słoniną.

— Jest i kasza gryczana z okrasą, może pan gospodarz będą woleli do mlika, kartofle ano krzynę przestygły — mówiła Franka przymilnie.

— Dziękuję, zjem mleko i co tam dacie! Nie jestem głodny.

— Zaraz będzie jajecznicza.

— Jeżeli dla mnie to zbytuczne, mam tylko pragnienie.

— Pan Andrzej teraz nie je, nie pije a chodzi i żyje — uśmiechnęła się wdzięcznie panna Aniela. — A najlepiej pan lubi olszyny i borek za rzeką. Czy nieprawda?

Andrzej podniósł na nią wzrok spokojny.

— Tak, lubię, te miejsca bardzo.

— Ale tylko do samotnych spacerów, bo jak prosiłyśmy pana z Marynką, żeby z nami poszedł, to się pan wymówił pracą, a potem w domu siedział. Widziałam.

— A moją ty panno Anielo kochana. Czy pani myśli, że jak on w domu, to ręce założy i odpoczywa? Gdzież tam! — zawołała Dęboszowa wesoło.

— Miałem widocznie wtedy jakąś pracę domową — tłumaczył się Andrzej.

— Ale dla towarzystwa nawet cię Cygan powiesił, a pan... Andrzej zaśmiał się.

— Nie! Wieszać się nie mam zamiaru.

— Ani pójść z nami na konwalie tak samo, prawda? Otóż przyszłam dziś specjalnie po to, żeby prosić pana na majówkę w najbliższą niedzielę. Konwalii moc! Będę ja z Marynką, nauczycielstwo z Bąków oboje, jeszcze kilka panien i chłopców z Zagórzan i Brzozowa. Ale na pana liczymy najwięcej.

— Ja jestem najmniej zabawny.

— Eee, pan inżynier chce komplementów. Przecie pan chyba wie, że pan tu bryluje nad wszystkimi, jak meteor, co w Zagórzach rzadko się pojawia.

— Oj, panna Anielcia to dowcipna, mówi, że Jędrak chce komplementów a sama je prawi — śmiała się Dęboszowa. — Proszę, może jeszcze mleczka, kiedy pani smakuje.

— Dziękuję. A pan Andrzej tylko się uśmiecha i nic nie mówi, na moje komplementy.

— Musiałbym albo być dumnym i dziękować, albo się za wolne żarty obrażać, ani jednego ani drugiego nie potrafię.

— Obrażać?... żarty?... Ależ ja nie żartuję, niech mnie Bóg broni. Przecie pan wie, jak bardzo pana cenię i jak mi bardzo na panu zależy.

Łzy błysnęły w niebieskich oczach młodej panny.

— Czy pan się na mnie gniewa, panie Andrzeju?

— Ja? Cóż znowu — myślał o czym innym — żartujemy sobie oboje, a zresztą jestem pani wdzięczny za jej dobroć i uprzejmość.

— Nie dla wszystkich jestem taka — obruszyła się. — Wiecie państwo co, chodźmy na ganek, albo do ogrodu. Będziemy słuchali słowików, rechotu żab...

Panna Aniela zaczęła deklamować z dużym patosem jakieś nastrojowe wiersze, gdyż lubiła się wierszami popisywać. Ale Dęboszowa spojrzawszy na syna, zaproponowała:

— A może lepiej posłuchać radia albo Jędrak nam co przeczyta, gazety są nowe. Ot leżą tu.

Andrzej skwapliwie skorzystał z dobrej sposobności wyzwolenia się, lecz panna Aniela wołała do niego z ganku, wychodzącego na sad.

— Jaka noc! Panie Andrzeju, aż się coś takiego robi, że i wypowiedzieć nie można. Pan to jest chyba głaz.

— Dlaczego?

— No bo taka noc majowa, pełna woni a pan nic?

— Cóż ja mam robić. Zachwygam się tak samo, jak pani.

— Pewno! czytając gazetę... No, trudno, nie ma pan w sobie poezji...

— Nie mam!

— Ee, nie wierzę, pan tylko udaje takiego srogiego.

— Oh, jestem tygrys...

— Pomimo to, ja bym chciała... nie wiem, jak to powiedzieć...? — Niech pani posłucha, to ciekawe!

I Andrzej zaczął czytać głośno jakiś artykuł, kontent, że mu się w porę nadarzył. Panna Aniela usiadła obok i przysunęła się do niego zbyt blisko. Czytając, miał wrażenie, że położy mu głowę na ramieniu. Czuł jej wzrok na sobie, który go drażnił. Odsunąć się brutalnie od niej nie wypadało, ale ta jej bliskość męczyła go, gdyż nasuwała mu znowu niepokojące myśli. Ten cichy pokój oświetlony jasną lampą, te odgłosy i wiosenne zapachy płynące z ogrodu i gorący oddech tej dziewczyny, tuż obok, wszystko to drażniło Andrzeja, dając mu zbyt słodkie złudzenie. Był podniecony pomimo pozornego chłodu i walczył z sobą, by tego nie okazać.

— Słyszysz pan, jak słowiki trylują — cicho szepnęła, wpadając w tok jego czytania.

Skinął głową.

— Matka pańska wyszła, a mnie ta gazeta nic nie obchodzi. Lepiej porozmawiajmy...

Przysunęła się jeszcze bliżej. Uderzył go silniejszy zapach jakichś perfum różanych, duszących i otrzeźwił od razu. Dreszcz podniety, który go chwilowo zatrzymał przy niej, minął. Poczul teraz nagłą niechęć, do niej i do siebie. Powstał prędko.

— Cóż to, już pan nie czyta?...

— Zapomniałem, że w maju panny nie lubią gazet, wołają słowiki.

— Pewnie, szczególnie gdy gazety stają się nagle tak interesujące...
Andrzej zaśmiał się ubawiony.

— Oo, już pan zębami błyska jak wilk! Z panem strasznie trudno. Albo zaraz wszystko w żart obróci, albo spojrzy tak, że ciarki przejdą człowieka. Nie umie pan z pannami rozmawiać.

— Oj, to prawda! Jestem widocznie bardzo niezgrabny.

— No, no, zaraz to widać co w trawie piszczy. Wszystkim pannom zawraca pan w głowie.

— Ani mi się śni!

— O jaka szelmowska mina! Dobrze, dobrze, cicha woda brzegi rwie!

— Tak, te przysłowia są pouczające — bąknął Dębosz, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

Podszedł do radia, gdy Dęboszowa weszła prędko do świetlicy.

— Jędrusiu, list do ciebie, odnieśli z gminy dopiero teraz. Andrzej chwycił list i nagle zmienił się na twarzy tak wyraźnie, że trudno było tego nie zauważyć.

— Przepraszam panią... list ważny...

Pożegnał już bez ceremonii stropioną nauczycielkę, ucałował rękę matki i poszedł do siebie, pobiegnął prawie!

Pannie Anieli zadrżały usta. Już chciała mu poddać myśl, aby ją odprowadził, lecz nie miała odwagi.

— Skąd ten list taki pilny? — spytała bezdźwięcznie Dęboszowej.

— Alboż on mało listów odbiera. Ojej! Od różnych interesantów, panów a kolegów.

— No, ale ten to już na pewno nie był od interesanta. Chyba pani widziała sama, jak go pan Andrzej chwycił, aż łuna mu na twarz padła.

Dęboszowa milczała. Nie wtrącała się nigdy do korespondencji syna, więc uwagi panny Anieli uraziły ją. Zaczęła mówić o czym innym.

Nauczycielka wkrótce odeszła. Będąc już na drodze patrzyła z daleka w oświetlone okno pokoju Dębosza.

— Że on ma list od panny, to bym przysięgła — mruknęła z gniewem. Andrzej czytał list od Kasi. Pogrążył się w nim, zapomniał o całym świecie.

Kasia pisała:

„Drogi Panie Andrzeju. Nie uwierzy pan jak jestem szczęśliwa i zapewne zdziwi się, że mogę nią być. Więc może tylko zadowolona. Oto roboty przygotowawcze do budowy gmachu według mego planu i powierzone memu kierownictwu są w pełni. Zaczynamy budować. Jestem w swoim żywiole, znalazłam ujście dla mojej energii i z całym zapałem wzięłam się do pracy. Mieszkam teraz we Lwowie, tylko w sobotę robię „wypadki” na wieś, gdyż nie mogę zaniedbywać Kromiowa, a tam teraz tak ładnie. Maj ustroił wszystko nową krasą, dając lepsze myśli i każąc zapomnieć o smutkach. Tomek za mną tęskni i na moje spotkanie wybiega zawsze bardzo daleko. Uczy się dobrze, widzę, że głównie dlatego, aby mnie zrobić przyjemność. Mniejsza o przyczyny, cieszę się faktem. Wujowi Mohyńskiemu oddałam roboty Tomka, wuj jedzie gdzieś tam na kurację i twierdzi, że zabierze to wszystko aby przedstawić rzeźbiarzowi, znajomemu, który należy jakoby do ludzi bardzo uczciwych i na te pierwociny Tomka wyda wyrok sumienny. Jestem niezmiernie ciekawa tej oceny. Żyję obecnie nerwowym życiem, trochę mnie ono wyczerpuje, ale ta ciągła podnieci i wyczerzona praca daje mi dużo spokoju, koi duszę, bo czuję, że kimś jestem, coś znaczę >> że (panu to tylko zwierzam) zyskałam tu uznanie. Mówią mi, że prowadzę roboty wybornie i ze znajomością rzeczy. Jakaż to dla mnie radość, że wyzwoliłam się nareszcie z nieznośnej bierności, w jakiej grzęzłam. Być niczym w społeczeństwie to taka straszna rzecz. Miałaś

I Andrzej zaczął czytać głośno jakiś artykuł, kontent, że mu się w porę nadarzył. Panna Aniela usiadła obok i przysunęła się do niego zbyt blisko. Czytając, miał wrażenie, że położy mu głowę na ramieniu. Czuł jej wzrok na sobie, który go drażnił. Odsunąć się brutalnie od niej nie wypadało, ale ta jej bliskość męczyła go, gdyż nasuwała mu znowu niepokojące myśli. Ten cichy pokój oświetlony jasną lampą, te odgłosy i wiosenne zapachy płynące z ogrodu i gorący oddech tej dziewczyny, tuż obok, wszystko to drażniło Andrzeja, dając mu zbyt słodkie złudzenie. Był podniecony pomimo pozornego chłodu i walczył z sobą, by tego nie okazać.

— Słyszysz pan, jak słowiki trylują — cicho szepnęła, wpadając w tok jego czytania.

Skinął głową.

— Matka pańska wyszła, a mnie ta gazeta nic nie obchodzi. Lepiej porozmawiajmy...

Przysunęła się jeszcze bliżej. Uderzył go silniejszy zapach jakichś perfum różanych, duszących i otrzeźwił od razu. Dreszcz podnieci, który go

chwilowo zatrzymał przy niej, minął. Poczł teraz nagłą niechęć, do niej i do siebie. Powstał prędko.

— Cóż to, już pan nie czyta?...

— Zapomniałem, że w maju panny nie lubią gazet, wołają słowiki.

— Pewnie, szczególnie gdy gazety stają się nagle tak interesujące... Andrzej zaśmiał się ubawiony.

— Oo, już pan zębami błyska jak wilk! Z panem strasznie trudno. Albo zaraz wszystko w żart obróci, albo spojrzy tak, że ciarki przejdą człowieka. Nie umie pan z pannami rozmawiać.

— Oj, to prawda! Jestem widocznie bardzo niezgrabny.

— No, no, zaraz to widać co w trawie piszczy. Wszystkim pannom zawraca pan w głowie.

— Ani mi się śni!

— O jaka szelmowska mina! Dobrze, dobrze, cicha woda brzegi rwie!

— Tak, te przysłowia są pouczające — bąknął Dębosz, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

Podszedł do radia, gdy Dęboszowa weszła prędko do świetlicy.

— Jędrusiu, list do ciebie, odnieśli z gminy dopiero teraz. Andrzej chwycił list i nagle zmienił się na twarzy tak wyraźnie, że trudno było tego nie zauważyć.

— Przepraszam panią... list ważny...

Pożegnał już bez ceremonii stropioną nauczycielkę, ucałował rękę matki i poszedł do siebie, pobiegł prawie!

Pannie Anieli zadrżały usta. Już chciała mu poddać myśl, aby ją odprowadził, lecz nie miała odwagi.

— Skąd ten list taki pilny? — spytała bezdźwięcznie Dęboszowej.

— Alboż on mało listów odbiera. Ojej! Od różnych interesantów, panów a kolegów.

— No, ale ten to już na pewno nie był od interesanta. Chyba pani widziała sama, jak go pan Andrzej chwycił, aż łuna mu na twarz padła.

Dęboszowa milczała. Nie wtrącała się nigdy do korespondencji syna, więc uwagi panny Anieli uraziły ją. Zaczęła mówić o czym innym.

Nauczycielka wkrótce odeszła. Będąc już na drodze patrzyła z daleka w oświetlone okno pokoju Dębosza.

— Że on ma list od panny, to bym przysięgła — mruknęła z gniewem. Andrzej czytał list od Kasi. Pogrążył się w nim, zapomniał o całym świecie.

Kasia pisała:

„Drogi Panie Andrzeju. Nie uwierzy pan jak jestem szczęśliwa i zapewne zdziwi się, że mogę nią być. Więc może tylko zadowolona. Oto roboty przygotowawcze do budowy gmachu według mego planu i powierzone memu kierownictwu są w pełni. Zaczynamy budować. Jestem w swoim żywiole, znalazłam ujście dla mojej energii i z całym zapałem wzięłam się do pracy. Mieszkam teraz we Lwowie, tylko w sobotę robię „wypadki” na wieś, gdyż nie mogę zaniedbywać Kromiłowa, a tam teraz tak ładnie. Maj ustroił wszystko nową krasą, dając lepsze myśli i każąc zapomnieć o smutkach. Tomek za mną tęskni i na moje spotkanie wybiega zawsze bardzo daleko. Uczy się dobrze, widzę, że głównie dlatego, aby mnie zrobić przyjemność. Mniejsza o przyczyny, cieszę się faktem. Wujowi Mohyńskiemu oddałam roboty Tomka, wuj jedzie gdzieś tam na kurację i twierdzi, że zabierze to wszystko aby przedstawić rzeźbiarzowi, znajomemu, który należy jakoby do ludzi bardzo uczciwych i na te pierwociny Tomka wyda wyrok sumienny. Jestem niezmiernie ciekawa tej oceny. Żyję obecnie nerwowym życiem, trochę mnie ono wyczerpuje, ale ta ciągła podnieta i wyciężona praca daje mi dużo spokoju, koi duszę, bo czuję, że kimś jestem, coś znaczę i> że (panu to tylko zwierzam) zyskałam tu uznanie. Mówią mi, że prowadzę roboty wybornie i ze znajomością rzeczy. Jakaż to dla mnie radość, że wyzwoliłam się nareszcie z niezdolnej bierności, w jakiej grzęzłam. Być niczym w społeczeństwie to taka straszna rzecz. Miałaś rację, drogi kolego! Trzeba się urodzić na lalkę aby nią być i w takiej choćby przypadkowej roli wegetować. Nie czułam do tego nigdy zamiłowania, zaczęłam życie inaczej i tamto raziło mnie, dręczyło, aż musiałam wrócić do mojego powołania. Czuję się lekko jak ptak na swobodzie z rozwiniętymi skrzydłami. Oto moja odpowiedź na wasze pytanie, kolego. Szczerze jestem panu wdzięczna za Jego serdeczną troskliwość o mnie. Dodaje mi to otuchy, że jest przecie przyjazna dusza, z którą tak dobrze się rozumiemy, że ktoś silny duchem dba o mnie i że mogę na nim polegać z całym zaufaniem. Ach, nie byłabym kobietą, gdyby mi tego nie brakowało. Każdy list pański to jedna więcej otucha dla mnie, to jeden więcej węzeł zacieśniający naszą przyjaźń. Proszę o takie listy, panie Andrzeju, chociaż to może egoizm, by pan przy swojej mozolnej pracy znajdował czas na pisanie do mnie. Ale teraz czuję się bardziej godną przyjaźni pana, praca nas jednoczy...

A co do moich rodzinnych spraw... (mój Boże, czyż można nazwać je rodzinnymi?).

Edward nie wraca. Są znowu w Europie, przenoszą się z miejsca na miejsca, o czym wiem od Kmietowicza, który już likwiduje Pochleby.

Wszak pan wie, jakie to są czasy niepomierne ciężkie dla rolnictwa; dewaluacja, przeciążenie i ogólne wyżyłowanie kraju podatkami, więc Pochleby przy takim podatku, jakim jest War, muszą ginąć.

Co dalej?... Nie wiem. Lękam się patrzeć w przyszłość, jakby zamykały mi ją jakieś widma. Nie mówmy o niej. Obecnie nauczyłam się żyć terażniejszością. Na razie płynę na fali bystrej i — dobrze mi, czy może względnie dobrze. A maj taki w tym roku cudowny! Przy pracy nie mogę się nim dużo cieszyć, ale chwile oderwane na wsi są tym miłsze. Jakże ładnie jest zapewne w Zagórzeżanach? Z tego co mi pan opowiadał wnioskuje, że są przemiłe. Muszę zwierzyć się panu z jednego zamiaru, jaki sobie z Tomkiem układamy. Oto wycieczkę do Zagórzeżan autem... Tyle świąt teraz wypada. Wybierzemy się kiedy koniecznie. Tomek zakochany w panu, ciągle mnie o tę wycieczkę męczy. Nie uwierzy pan jak się rozwija umysł tego chłopczyny. Czasem mam wrażenie, że jego mózg to rzeka bujna, pełna dopływów, które wzbierają. Dużo teraz czyta książek według mego wyboru no i naturalnie ciągle modeluje. Teraz zaczął własne odtwarzać pomysły, niektóre są naiwne jeszcze, ale kilka zdumiało mnie. Parę z nich oddałam wujowi. Wierzę głęboko, że Tomek to „cenny minerał” i daj Boże, by wykazał z czasem swoją wartość istotną. Gdyby to się stało w stopniu o jakim marzę i... w jaki przeczuciowo wierzę — uważałabym się urodzoną tylko po to, aby być „szczęśliwym kilofem” przyszłości Tomka. To już byłoby bardzo wiele — nieprawdaż? — Oszlifuje go kto inny, nauka i praca, ale ten pierwszy błysk jego talentu, byłby jednak moją zasługą bo ja go odnalazłam w twardej skale jego bytu. Dlatego warto żyć! Gdyby, broń Boże, stało się inaczej, gdyby się spaczył, bo talent ma na pewno, byłby to dla mnie większy cios, niż dla niego oczywiście, gdyż on jeszcze tego nie rozumie i nawet iskry w sobie jeszcze nie odczuwa w pełni!”

Dębosz po raz drugi dokończył list, schował go do portfela i wyszedł z pokoju. Zamknął cicho drzwi od ganku. Gdy znalazł się na polu, odetchnął. Pragnął samotności w ciszy umajonych pól. Zdawało mu się, że tu, wśród natury, jakby w obliczu Boga swobodniej mógł obcować z Kasią. Wydobywał ją z głębi swego serca gdzie ukryta była w nim zawsze, ale nie wszędzie odczuwał ją taką bliską, jakby swoją własną.

I ona teraz, gdy jest we Lwowie zajęta samodzielną pracą stała mu się jeszcze bliższa. Teraz była mu już całym życiem, jego treścią. Andrzej uświadomił sobie możliwość jej przyjazdu do jego domu z najwyższą rozkoszą, lecz z równie silnym niepokojem. Wiedział, że będzie to dla niego pomimo szczęścia, ciężka próba do przetrwania. A jednak musiał się przygotować i zwalczyć w sobie niemal samego siebie, by nie ujawnić przed

nią ani cienia tego, co w nim było najistotniejsze. Ona okazuje mu tylko przyjaźń. Wszystkie jej listy tchną jedynie przyjaźnią. Więc go nie odczuwa, czy nie chce odczuwać? Dlaczego?

Andrzej zadawał sobie to pytanie z goryczą, bo równocześnie słyszał odpowiedź okrutną a niezmiernie prostą:

— Jest mężatką — może nawet kocha tego niegodziwego męża. W każdym razie tamten jest z jej świata, łączy ich jednakowe stanowisko w hierarchii społecznej. Co to jest owa sfera łącząca ludzi na wielkich i małych?... Tradycja rodowa! Kasia jest rodową wielką panią i pozostała nią pomimo swojej pracy i swego wyodrębnienia się ponad złoty czy pozłacany tłum własnej sfery. On pozostał chłopem także pomimo, że się od swego tłumu nieco oddalił. Jej sfera patrzy na nią ze zdziwieniem, wrzeszcząc ramionami na jej „kaprysy”. Inni uważają jej Postępowanie za wielkopańską fantazję, za dziwactwo lub za zwyrodnienie objawiające się w ten oryginalny sposób. Ale nikt nie odbierze jej przyrodzonych praw rodowych, ani towarzyskich. Może ich razić jej ekscentryczność lecz będzie zawsze należała do nich. On pozostanie zawsze chłopem. Ani jego ideały, ani praca i choćby najwyższa nauka nawet, nie zetrze jego pochodzenia i ono będzie raziło zawsze tamtą sferę. Czy i ją również? Czy i ona tak samo na niego patrzy i tak samo jak on teraz rozważa swoje i jego stanowisko społeczne? Wszak jemu tylko o nią chodzi.

I oto doznał przyływu nowej goryczy. Ona uważa go za kolegę i żywi dla niego istotnie głęboką przyjaźń i, to już zapewne wszystko co on może od niej otrzymać, tym bardziej jeśli ona kocha męża...

Andrzej wstrząsnął się na takie przypuszczenie. — Zatem nic innego ponad koleżeńską przyjaźń. Dalekie są od niej z pewnością jego rozważania. Zapewne nie żywi ona innych uczuć, ponad te jakie mu ofiarowuje z całą szczerością swej natury, ale bez cienia podniet i zapałów, które przepełniają jego serce.

Gdyby jej wyznał uczucia?...

Jakżeby odpowiedziała na nie?

Czy taka świadomość nie ostudziłaby tego serdecznego stosunku w jakim nie może być ani cienia interesowności z jego strony.

Andrzej zadrżał.

Niechże się wobec takiej możliwości nie dowiaduje i nawet nie domyśla jego uczuć, całkiem różnych od najgłębszej przyjaźni.

Pozostać raczej na całe życie ze swoją złudą, niż osiągnąć straszną pewność, że jego miłość odepchnęła ją i że ona nie byłaby nigdy zdolna do odwzajemnienia mu się tym samym.

Po długich rozmyślaniach w samotności i ciszy pól osnutych nocą majową, Dębosz umacniał się w postanowieniu traktowania Kasi jak kobietę, dla której ma się cześć najgłębszą i uczucie wielkiej przyjaźni. Lecz wbrew zakazom woli tęsknota do niej potężniała tak ogromnie, że Andrzej obawiał się, iż nagle zjawienie się Kasi w Zagórze może wywołać jakiś odruch mimowolny, który odsłoni całą tajemnicę. Aby oddalić możliwość takiego momentu, Andrzej postanowił sam podążyć naprzeciw niebezpieczeństwu, wziąć na próbę swoją moc i wyzwąć ją do walki. Powziął nagły zamiar bezzwłocznego wyjazdu do Lwowa. Postanowienie to wprowadziło go w stan podniecenia, którego już opanować nie umiał i które nie dało mu ani na chwilę spokoju.

RS

ROZDZIAŁ XI

Cicho tu było i dziwnie uroczyście. Pośród zwartych szeregów krzyży, stojących jakby w ordynku Bożym, przesuwaly się pasma słoneczne, chociaż wiosenne lecz pełne melancholii. Pachniały kwiaty na tych skromnych grobkach, najeżonych jednakowymi niemal godłami męki pańskiej, które pokryły gęsto bohaterskie szczątki polskich Orląt. Na krzyżach widniały czarne metalowe tabliczki z białymi napisami: imię, nazwisko, najczęściej bardzo skromne, dzień i miejsce zgonu i wiek; szesnaście lat, siedemnaście, osiemnaście, parę lat wzwyż a czasem jeszcze parę lat mniej. Często pod tabliczką na brązowym krzyżyku, fotografia orlątka; twarzyczka dziecinna, oczy głębokie, myślące, tęskne spojrzenie, lub pogodna, uśmiechnięta puca chłopyszka figlarza, któremu ani się śniły bohaterskie czyny i zgon za rodzinny Lwów. Ale to bohaterstwo pacholeć nosiło w duszy swojej, może nawet nieświadomie, lecz na pierwszy alarm, gdy serce zagrało pobudkę pacholeća poszły w bój. Walczyły jak młode lwy niepowstrzymane, zapalne, niesione ideą szlachetnego porywu. Gęstym wiankiem młodych główinek otoczyły rodzinny gród. Nie dopuściły wroga! I teraz w skromnych darniowych mogiłkach śpią cicho, z podruzgotanymi skrzydłami. Pod takim ukwieconym kopczykiem spoczywa może niejedna świetna przyszłość tego, który sam ją złamał. Śpią tam może przyszłe głębokie umysły, talenty... i skromni pracownicy przyszłych losów Polski. Ale już są oni bez przyszłości, zamienili ją na świetną, wiekopomną przeszłość. I jak dziś nie ma chyba takiego, który by chodząc wśród tych mogiłek nie poczuł łzy pod powieką i nie schylił głowy ze czcią tak i w przyszłości cmentarzyk poległych orląt na Łyczakowie, będzie zawsze wzruszał i pozostanie milczącym a tak wymownym świadectwem bohaterskiego ducha tych polskich rycerzyków.

Pośród krzyżowych alei, wyglądających jak szpalery męczeńskie chodzili we troje Kasia, Dębosz i Tomek Kostrzewa. Kasia z dużego naręcza róż, konwalii i bzów białych, które dźwigali wszyscy troje rozdzielala kwiaty, zdobiąc nimi mogiłki. Nie mówili do siebie prawie nic, czasem szeptem przemówiła Kasia, lub Tomek przeczytał napis na tabliczce. Chłopak był błydy ze wzruszenia. Oczy błękitne miał szeroko otwarte i za mgłą łez, spływających często po dziecinnych policzkach. Znał dokładnie historię obrony Lwowa opowiedzianą mu przez Kasię, więc przejęty był do głębi serca widokiem tych szeregów krzyży i grobów, pod którymi spoczywali jego rówieśnicy i takie same skromne pacholeća. Chodząc podawał Kasi kwiaty, sam je często układał u stóp krzyży, pytał o

różne szczegóły dotyczące poległych i poszczególnych walk. Był pochłonięty, może pierwsze w życiu tak silne przeżywał chwile. Przy grobach bohaterów bez nazwiska uczucia jego jakby wzmagaly się jeszcze.

— Toć tego biedaka to i nikt pewno i nie odwiedza, ino obcy ludzie — szeptał z bólem, kiwając żałośnie jasną główką.

Gdy zatrzymali się przy płycie na grobie nieznanego bohatera, zabranego do Warszawy, Tomek odczytał napis ze zdumieniem...

— A po co jego zabrali stąd i wywieźli tyli świat od jego braci? Kasia i Dębosz tłumaczyli mu symbol grobu nieznanego żołnierza i opowiedzieli, kiedy i jak odbył się jego pogrzeb w Warszawie. Tomek zaciekawił się wielce, słuchał głęboko zamyślony. Podniósł oczy na Dębosza i rzekł smutno:

— A nie lepiej byłoby jemu tu, kiele swoich braci? Oni tu sami ostali, jakby w swojej wsi, na tym tu wzgóreczku, a tamtego wywieźli szmat drogi, daleko od swoich, żeby tylko honory odbierał za nich wszystkich. Jego tam pięknie strojom w kwiaty, palom ognie, a tym tu nikt nie składa honorów.

Nagle zatoczył duży krąg ramionami, na twarzy wystąpiły mu ogniste rumieńce i zawołał z podnieceniem, łzawym głosem:

— Żeby ja mógł tylko, żeby ja potrafił tak jak chciałby, to wszystkie te grobki ustroiłby w pomniki, w rzeźby piękne i wylepił na nich dużo, oj dużo rzeczy, co by ino do głowy najlepszego przyszło. A już starałby się żeby te rzeźby wyszły najpiękniej, żeby i oni mieli takie same groby jak tamten jeden. Ale...

Umilkł i patrzył dokoła kiwając głową z powątpiewaniem.

— Czy ja by to potrafił zrobić?... a dużo, dużo by tego trzeba!... Ojoj okropna robota!... Ino czy ja by potrafił tak samo zrobić jakby chciał?

Kasia i Dębosz spojrzeli na siebie z uśmiechem.

— I cóż byś wyobraził na tych rzeźbach — spytał Andrzej.

— Czy ja wim co, ale tak mnie sie widzi, że dużo, dużo! Tera to nie wim jak powiedzieć, ale kiebym miał pod ręką glinę, to by zaraz wiedział, samo by to pomyślenie przyszło.

Ożywił się i z nowym zapalem mówił:

— Nad jednym z tych najmłodszych, to bym ulepił kobietę spłakaną, niby jego matulę. Ona trzymałaby go za rączkę a druga osoba wielga, w podartej sukni ale piękna i ważna jak królowa, miałaby na głowie koronę, a nad koroną płomień takuleńki jak ten co ja widział na jednym obrazku. Dopieroż ta ważna osoba niby Polska, przez wrogów szarpana, ciągnęłaby chłopca do siebie, a on patrzyłby na ony płomień nad jej głową kiej urzeczony i chyliłby się za nią puszczać rękę własnej matuli.

Tomek klasnął w dłonie z ogniem w oczach.

— Ot, to by było akurat! Tak mnie się widzi, że zrobiłby to może i dobrze. A na drugim dałby skrzydła. Moc... hej, moc skrzydeł jastrzębi i kruków... tłuczących sokole i orle, ino że orle skrzydła... byłyby połamane, ale... Aha, już wiem!... ale wylatywałyby w górę. Ej... pewno jeszcze nie tak to jakoś...

Zmieszał się nagle. Spuścił oczy robiąc niechętny ruch ręką.

— Głupi jestem! Jeszcze ja za głupi na to!... Tu trzeba wielkiej rzeczy, a ja co? dłubek, bzdura — lepifigura i tyło!

Rzetelne zmartwienie odbiło się na jego twarzy. Kasia poruszona ujęła głowę pacholęcia w dłonie i ucałowała jego czoło serdecznie jak matka.

— Mój ty kochany dłubku! Nie dorzekaj sobie, bo jak dorośniesz, to dopiero wtedy zobaczymy.

I Dębosz uściśnął chłopca, ale Tomek po swoim zapalnym wybuchu jakby zgasł. Był zamyślony i z tą zadumą na czole, nie licującą z jego prawie dziecinną twarzyczką rozkładał kwiaty na grobach, mniej starannie niż poprzednio. Gdy opuszczali cmentarzyk, Tomek stojąc na szerokich schodach wiodących w górę objął wzrokiem szpalery krzyży i rzekł jakby do siebie.

— Straśnie to piękne i strasznie jakieści wielgie... niby janielski ogród czy coś takiego. Tak myślę sobie...

Umilkł.

O czym myślisz, powiedz nam, Tomek — podchwyciła Kasia.

Ej, nic, ino tak mi sie uwidziało, że kiej księżyc świeci a noc cicha, a słowiki śpiewają, to oni tu wszyscy niebożątka wychodzą naręcza róż, konwalii i bzów białych, które dźwigali wszyscy troje rozdzielają kwiaty, zdobiąc nimi mogiłki. Nie mówili do siebie prawie nic, czasem szeptem przemówiła Kasia, lub Tomek przeczytał napis na tabliczce. Chłopak był błydy ze wzruszenia. Oczy błękitne miał szeroko otwarte i za mgłą łez, spływających często po dziecinnych policzkach. Znał dokładnie historię obrony Lwowa opowiedzianą mu przez Kasię, więc przejęty był do głębi serca widokiem tych szeregów krzyży i grobów, pod którymi spoczywali jego rówieśnicy i takie same skromne pacholęta. Chodząc podawał Kasi kwiaty, sam je często układał u stóp krzyży, pytał o różne szczegóły dotyczące poległych i poszczególnych walk. Był pochłonięty, może pierwsze w życiu tak silne przeżywał chwile. Przy grobach bohaterów bez nazwiska uczucia jego jakby wzmagaly się jeszcze.

— Toć tego biedaka to i nikt pewno i nie odwiedza, ino obcy ludzie — szeptał z bólem, kiwając żałośnie jasną główką.

Gdy zatrzymali się przy płycie na grobie nieznanego bohatera, zabranego do Warszawy, Tomek odczytał napis ze zdumieniem...

— A po co jego zabrali stąd i wywieźli tyli świat od jego braci? Kasia i Dębosz tłumaczyli mu symbol grobu nieznanego żołnierza i opowiedzieli, kiedy i jak odbył się jego pogrzeb w Warszawie. Tomek zaciekawiał się wielce, słuchał głęboko zamyślony. Podniósł oczy na Dębosza i rzekł smutno:

— A nie lepiej byłoby jemu tu, kiele swoich braci? Oni tu sami ostali, jakby w swojej wsi, na tym tu wzgóreczku, a tamtego wywieźli szmat drogi, daleko od swoich, żeby tylko honory odbierał za nich wszystkich. Jego tam pięknie strojono w kwiaty, palono ogień, a tym tu nikt nie składa honorów.

Nagle zatoczył duży krąg ramionami, na twarzy wystąpiły mu ogniste rumieńce i zawołał z podnieceniem, łzawym głosem:

— Żeby ja mógł tylko, żeby ja potrafił tak jak chciałby, to wszystkie te grobki ustroiłby w pomniki, w rzeźby piękne i wylepił na nich dużo, oj dużo rzeczy, co by ino do głowy najlepszemu przyszło. A już starałby się żeby te rzeźby wyszły najpiękniej, żeby i oni mieli takie same groby jak tamten jeden. Ale...

Umilkł i patrzył dokoła kiwając głową z powątpiewaniem.

— Czy ja by to potrafił zrobić?... a dużo, dużo by tego trzeba!... Ojoj okropna robota!... Ino czy ja by potrafił tak samo zrobić jakby chciał?

Kasia i Dębosz spojrzeli na siebie z uśmiechem.

I cóż byś wyobraził na tych rzeźbach — spytał Andrzej.

— Czy ja wiem co, ale tak mnie się widzi, że dużo, dużo! Tera to nie wiem jak powiedzieć, ale kiebym miał pod ręką glinę, to by zaraz wiedział, samo by to pomyślenie przyszło.

Ożywił się i z nowym zapalem mówił:

— Nad jednym z tych najmłodszych, to bym ulepił kobietę spłakaną, niby jego matulę. Ona trzymałaby go za rączkę a druga osoba wielga, w podartej sukni ale piękna i ważna jak królowa, miałaby na głowie koronę, a nad koroną płomień takuleńki jak ten co ja widział na jednym obrazku. Dopieroż ta ważna osoba niby Polska, przez wrogów szarpana, ciągnęłaby chłopca do siebie, a on patrzyłby na ony płomień nad jej głową kiej urzeczony i chyliłby się za nią puszczać rękę własnej matuli.

Tomek klasnął w dłonie z ogniem w oczach.

— Ot, to by było akurat! Tak mnie się widzi, że zrobiłby to może i dobrze. A na drugim dałby skrzydła. Moc... hej, moc skrzydeł jastrzębi i kruków... tłuczących sokole i orle, ino że orle skrzydła... byłyby połamane,

ale... Aha, już wiem!... ale wylatywałyby w górę. Ej... pewno jeszcze nie tak to jakoś...

Zmieształ się nagle. Spuścił oczy robiąc niechętny ruch ręką.

— Głupi jestem! Jeszcze ja za głupi na to!... Tu trzeba wielkiej rzeczy, a ja co? dłubek, bzdura — lepifigura i tyło!

Rzetelne zmartwienie odbiło się na jego twarzy. Kasia poruszona ujęła głowę pacholęcia w dłonie i ucałowała jego czoło serdecznie jak matka.

— Mój ty kochany dłubku! Nie dorzekaj sobie, bo jak dorośniesz, to dopiero wtedy zobaczymy.

I Dębosz uściśnął chłopca, ale Tomek po swoim zapalnym wybuchu jakby zgasł. Był zamyślony i z tą zadumą na czole, nie licującą z jego prawie dziecinną twarzyczką rozkładał kwiaty na grobach, mniej starannie niż poprzednio. Gdy opuszczali cmentarzyk, Tomek stojąc na szerokich schodach wiodących w górę objął wzrokiem szpalery krzyży i rzekł jakby do siebie.

— Straśnie to piękne i strasznie jakieśi wielgie... niby janielski ogród czy coś takiego. Tak myślę sobie...

Umilkł.

- O czym myślisz, powiedz nam, Tomek — podchwyciła Kasia.

Ej, nic, ino tak mi sie uwidziało, że kiej księżyc świeci a noc cicha, a słowiki śpiewają, to oni tu wszyscy niebożątka wychodzą pewno z grobków swoich i patrzą w księżyc i szeptają ze sobą, i wspominają kiej byli w domu, u ojców swoich i szkołę i potem bitwi i własną śmierć. Tyła ich tu je razem, to im i wesoło, ino tamtem biedakowi tęskno samemu choć i w paradach a honorach. Dla kogo o nieznany to nieznany, a dla tych tu pewnie dobrze znajomy, a mozi niektórego i brat rodzony. Chciałbym ja kiedy i tamtego samotnik grób zobaczyć.

— Jeszcze kiedy zobaczysz, w Warszawie.

— Oj, chciałby!

— Jest niesłychanie wrażliwy i przeczulony — mówił pote Andrzej do Kasi, spacerując po ulicach parku Kilińskiego.

— O tak, nawet bywa czasem egzaltowany — odrzekła. — Ale t jego egzaltacja jest szczerą i płynie prosto z serca. Jego zapal wydaje si nieodłączną częścią jego bujnej natury.

— Bardzo bujnej — przyznaje. Gdy wyjdzie kiedy spod opiek: pani, trzeba go powierzyć w pewne i umiejętne ręce aby się nie spaczył Można go bowiem od razu albo wzniesć wysoko, albo złamać, że runi(głową na dół. Wtedy zginie. To byłaby niepowetowana szkoda.

— Do tego nie dopuszczę, ale jednak... obiecacie mi kolego, że będziecie mi pomocą w przeprowadzeniu kariery Tomka. Nie wiem czy moje tylko wpływy będą dobre? Męska siła i pański hart duchowy byłyby dla niego bardzo pożądanym kierunkiem. Czy zechce pan panie Andrzeju być także jego moralnym kierownikiem i opiekunem wraz ze mną?

Dębosz uczył silny przyływ gorącej krwi do serca.

— Z całej duszy. Jestem zawsze na rozkazy pani. Tomka o tej chwili uważam już za naszego wspólnego pupila. Będę się starał osiągnąć nad nim wpływy i urabiać go...

— Na obraz i podobieństwo swoje — dokończyła Kasia — wtedy dopiero będę o niego spokojna.

Podawała mu rękę, ujął ją rozpaloną dłonią. Panował nad sobą by nie ukłęknąć przed nią.

— Czy pani mnie tak... ufa? — spytał głosem stłumionym.

— Ufam? to za mało. Wierzę w pana nieograniczenie, cenię pa bardzo wysoko. No, ale po cóż to mówić... wszak pan chyba widzi t i odczuwa mnie.

Szli oboje pustą aleją. Tomek pobiegł naprzód. Byli sami. Kasi pochyliła się i zajrzała w oczy Andrzeja trochę kokieteryjnie. Ta patrzyła czasem dawniej, gdy byli jeszcze na studiach.

Andrzej drgnął. Przypomnienie tych czasów nasunęło mu zbyt dużo najdroższych wspomnień o niej, może i najśłodszych nadziei, które wtedy piastował o ileż śmieiej niż dziś...

Spuścił oczy, zmieszany a ona patrząc na niego ciągle mówiła wdzięcznie.

— Dlaczego pan chowa wzrok przede mną?... Właśnie chcę by pan w oczach moich wyczytał jak bardzo jest mi pan bliski. Panie Andrzeju!... Przecież!... Spojrzał pan nareszcie! No i jakże nie zmieniłam się chyba? Jestem tą samą serdeczną koleżanką, przyjaciółką pana, panie Jędrku. Pamięta pan? tak go nazywałam. Pan zaś mówił panno Kasiu, albo koleżanka Kasia... Ach Boże, gdzie te nasze dobre, kochane czasy! Gdy jestem z panem to mi się niekiedy zdaje że one trwają dotąd, że się nic nie zmieniło. I tak mi wtedy przy panu dobrze, tak cicho... Dlaczego pan milczy?

— Bo, pani powiedziała: jakby się nic nie „zmieniło” a tymczasem zmieniło się wszystko, zasadniczo.

— Ach, to prawda! — zawołała z westchnieniem. A jego uniosła nieprzyjazna fala nagłego buntu.

— Teraz między nami stanął mur rozdzielczy, który przedtem nie istniał, raczej nie był widzialny, nie odczuwany!

— Mur rozdzielczy?... Tego znowu nie rozumiem.

— A to takie proste. Dawniej byliśmy kolegami i przyjaźń nasza była zupełnie naturalną, jakaś, jakby legalną — powiedzmy. Panna Kasia Zahajska ucząca się i pracująca w warunkach zwykłej studentki, to... to było co innego, niż dziś... Pani rozumie, że dziś — zaplątał się trochę, ale tylko na moment. Spojrzał na nią śmiało i mówił już bez zajknięcia. — Dziś pani Zebrzydowska i... Dębosz nie tworzą już dawnego zespołu, nie mogą tworzyć.

— Dlaczego?... Więc mi pan ujmuje swojej przyjaźni?...

— Ach pani, jakże to trudno zrozumieć się! Nic nie ujmuję, nic! ale teraz pani tak daleko ode mnie odbiegła, że my obecnie — dwa różne światy...

— Niby dlatego, że pan pochodzi z ludu, czy jak?...

— Z ludu, to jest gładkie omówienie rzeczywistej mojej przynależności rasowej. Jestem po prostu chłopem. Zupełnie się tego nie wstydzę. Wierzę w swoją rasę i jej siłę żywotną, wierzę w jej przyszłość.

— Tylko nie wierzy pan widocznie w samego siebie — rzekła Kasia Podrażniona. — Poznałam pana wiedząc wszakże, że pan jest chłopem, oeniłam pańską wartość duchową i ofiarowałam mu z całego serca płynącą najgłębszą przyjaźń moją. Gdzież jest ten mur wynaleziony przez pana między nami? Czyż on istnieje?

Patrzyła mu w oczy z serdecznym wyrzutem.

Andrzeja ogarnął wstyd. Więc tak spełnił swoje postanowienia, by się przed nią nie zdradzić?

Opamiętał się w jednej chwili.

Wyciągnął do niej ręce, a gdy podała mu swoje, żywym, szczerym ruchem, przycisnął je do ust, hamując wzburzenie.

— Jestem tylko wdzięczny za hojny dar pani przyjaźni, za tę... najmiłościwszą łaskę pani dla mnie. Czcić ją potrafię, proszę mi wierzyć! nadal i zawsze.

— Oto już wszystko! oto wszystko na co ją stać względem mnie — wołał mu w duszy głos okrutnej prawdy.

Kasia odczuła w nim jakiś zgrzyt. Ból i gorycz były w jego głosie. Onieśmieliło ją to do niego.

— Panie Andrzeju...

W słowach tych zadrgała po raz pierwszy fałszywa nuta jakaś. Prawie szczęśliwi byli oboje ujrzawszy Tomka.

Dębosz puścił ręce Kasi i odsunął się dalej.

Tomek opowiadał im swoje wrażenia zdobyte przy pomniku Kilińskiego, oni oboje milczeli.

Wracali tramwajem słuchając coraz nowych zachwyków Tomka. Odpowiadali na jego nieustanne pytania, ale tak samo Kasia jak i Dębosz myśleli tylko jedno o drugim. Myśli ich były nieco odmiennej barwy i treści, lecz niezbyt odległe od siebie. Dębosz objaśniał co Tomkowi zwrócony w stronę ulicy, Kasia przyglądała mu się uważnie. Silny jego profil i rysy wydatne, nieregularne, miały w sobie szczególną szlachetność. Pomiędzy mocną brwią fałda pionowa, zarysowała się skupioną głębią myśli. Wysokie czoło nosiło znamiona inteligencji i odwagi, może nawet byłyby dumne gdyby nie smutek przyczajony w oczach, który łagodził dumę i zmieniał ją raczej w jakąś niedostępność natury na wskroś męskiej. Usta świeże podkreślone cienką linią i podstrzyżonych wąsów miały w sobie pewną zaciętość, znamionującą charakter zwarty i zamknięty w sobie. Ale nie były pozbawione zmysłowości i wdzięku. Całą postać Andrzeja cechowała prawie brutalna siła. Wysoki i mężny w ramionach był jednak dziwnie zręczny jaw wygimnastykowany sportowiec. Cerę miał opaloną, prawie śniadą przy bardzo ciemnych włosach i oczach szarych jak szmelcowana stal. Kasiai przesuując wzrok swój po nim skonstatowała teraz dopiero, że się zmienił od owych czasów studenckich, kiedy promieniował pogodą. Dziś tę pogodę zatracił zupełnie. Był w nim nienaturalny smutek i to dodawało mu powagi, wzmacniając bardziej wrażenie jego siły i energii. Ten człowiek nakazywał dla siebie szacunek. Można było na nim polegać z zaufaniem nieograniczonym. Cicha radość bardzo zbliżona do uczucia szczęścia rozjaśniła duszę Kasi z powodu, że on jest jej przyjacielem... Czy... tylko przyjacielem?!

Pytanie to wytrysło nagle jak źródło gorące i oblało ją warem. Uczuła brak tchu w piersiach. Zerwała się z ławki gwałtownie, z wrażeniem, że płonie w niej jej własna krew.

Andrzej powstał także zdziwiony, ale Kasia opanowała się, usiadła i odwróciła od niego spłoszone oczy.

— Myślałam, że to nasz przystanek — rzekła bezradnie. Andrzej nie uwierzył, zrozumiał, że poderwało ją coś innego, jakieś uniesienie, lub jedna z tych myśli, które bywają niekiedy udarem obucha. Nie pytał, ale czuwał nad nią, bo widział w niej niezwykle podniecenie, nawet lekką trwogę.

Jeszcze chwila i Dębosz powstał pochylając się do Kasi.

— Teraz wysiadamy.

Wysłała razem z nim ogłuszona, jeszcze nie władająca sobą. Zdobyta podświadomość nie zdarła ostatniej zasłony, pozwoliła nawet na lekkie

oburzenie na siebie samą za insynuacje tego rodzaju, ale ten podszept już w jej duszy tkwił jak grot, już go w sobie czuła całą swą istotą. Zanim weszli do jej mieszkania, Kasia prawie jednym rzutem oka przejrzała całą ich ostatnią rozmowę w parku, słowa Andrzeja, zachowanie się jego, wyraz jego oczu, i skurcz na jego twarzy. A przedtem jego bytność w Kromiłowiu w zimie, listy... wreszcie dawne ich czasy lwowskie i znowu Wenecja, Neapol...

Z lękiem już mniej groźnym niż w pierwszej chwili skierowała się ku kryteriom własnej duszy. Ale oto weszli do pensjonatu i niewysłowny czar tej trwożnej analizy prysnął. W mrocznym przedpokoju jakaś postać zaćmiła jaśniejszą plamę światła w drzwiach do salonu. Głos jowialny zawołał:

— No, Kasiu, nawet w niedzielę nie można ciebie złapać! Aaa! Pardon!

Hrabia Mołyński patrzył ze zdumieniem na Dębosza. Kasia oprzytomniała. Przedstawiła Andrzeja. Mołyński podał mu rękę obrzuciwszy go ciekawym spojrzeniem.

— Miło mi poznać kolegę Kasi. A... i mały artysta tu jest! Jak siej masz kochanku.

Hrabia gładził głowę Tomka, ale nie spuszczał oczów z Dębosza.

— Ależ Kasiu — zawołał — nie pytasz, co mnie sprowadza doj Lwowa?... War przyjechał! Jest już w Kromiłowiu...

Kasia zbladła tak strasznie, że hrabia umilkł.

Stali w pełnym świetle otwartych okien salonu. Mołyński zaskoczony niepojętą ciszą i tą bladeścią Kasi spojrział na Dębosza i rzekł w formie objaśnienia, które wypadło w tej chwili bardzo niezgrabnie, — War, to mąż Kasi, Edward Zebrzydowski... Właśnie przyjechał...z podróży, tego... owego...

Mówiąc ten niepotrzebny komentarz, znowu zdumiał się. Kropli! krwi nie było w twarzy Dębosza, w oczach jego mignął ponury cień. i Skłonił się Kasi bardzo głęboko.

— Pożegnam państwa, czas na mnie.

— Pan inżynier wyjeżdża?

— Tak, jadę na wieś.

Dębosz ucałował rękę Kasi. Nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu. Pożegnał hrabiego chłodno i wyszedł.

Kasia stała na tym samym miejscu, przykuta wieścią, jakby] zdrętwiała.

ROZDZIAŁ XII

Edward Zebrzydowski siedział zanurzony w niskim fotelu klubowym. Prawie leżał z nogami założonymi jedna na drugą. Ręce miał splecione na piersiach, głowę odrzuconą na miękką poręcz. Patrzył w sufit trochę tępo. Przed nim na małym stoliczku stała maszynka z czarną kawą i butelka koniaku.

Od czasu do czasu welinową bladą rękę wyciągał po filiżankę.

W gabinecie trwała cisza. W poprzednim pokoju zaszeleściły czasem ostrożne kroki lokaja Dionizego, posłuchał przy drzwiach i odsuwał się cicho. Czujny był na każde wezwanie z gabinetu. Prosto stamtąd Dionizy szedł znowu na balkon na piętro i zwracał stroskany wzrok na białą linię szosy, której prosty szlak ginął w czarnej masie lasu na krańcu widnokregu. Każde przelatujące auto wywoływało najpierw radosny uśmiech starego człowieka, potem uśmiech gasł a na twarzy malowało się zaniepokojenie.

— To nie nasze.

W pewnej chwili, wracając z balkonu na stanowisko Dionizy usłyszał ostry głos dzwonka z gabinetu.

— Przecie ożył! Pewno kawy zabrakło — pomyślał stary. Nie mylił się.

Zebrzydowski nie spojrział nawet w jego stronę, wyrzucił tylko z ust dwa słowa:

— Podaj gorącą!

Gdy nowa maszynka stanęła na stoliku padło pytanie:

— Pani nie przyjechała?

— Jeszcze nie, proszę jaśnie pana... ale zdaje się, że lada godzina powinna nadjechać. Telegram wczoraj rano wysłany, auto było we Lwowie z panią dziedziczką od ostatniego wyjazdu.

— Możesz odejść!

Dionizy zmieszał się, uznał się winnym nieopatrzności omawiania kwestii i prędko wyszedł.

War nalał sobie duży kieliszek koniaku, wychylił go, potem drugi, potem dolał trunku do gorącej kawy i nerwowo mieszał łyżeczką w filiżance. Był zdenerwowany. Od czterech dni już przebywał w Kromiłowiu samotnie. Kasia nie przyjeżdżała. Wysłane zawiadomienia do Pochlebów i do Sęcin wzywające Kmiotowicza pozostały jak dotąd także bez echa. War nudził się i był zły. Służba drżała przed nim, gdyż nikt mu nie umiał dogodzić. War postanowił jeszcze ten jeden dzień przebyć w Kromiłowiu, po czym jechać sam do Lwowa, aby przeszkodzić Kasi „w tych idiotycznych robotach jakiejś głupiej budowli”. Lecz czuł się tak zmęczony i apatyczny, że zdobyć

się na jakiś czyn nawet na wyjazd nie zdołał. Od przyjazdu wybierał się co dzień i co dzień zostawał oczekując Kasi. Wałęsał się po domu i parku bierny na wszystko, obojętny, znudzony i kwaśny. Jeden tylko szczegół zainteresował go bardziej i rozgniewał. Oto w pracowni Kasi, przy bocznym oknie ujrzał stół, założony różnymi lepiankami z gliny: warsztat Tomka. Zawołał Dionizego i spytał co by to było. Gdy usłyszał opowiadanie o Tomku, wzruszył ramionami niechętnie.

— Nowe dziwactwo — mruknął zły.

Życzliwe stanowisko starego lokaja względem chłopca rozgniewało go jeszcze bardziej.

— Co za Kostrzewa? Jaki Tomek?... idiotyzm!... powyrzucać to wszystko stąd.

Lokaj zrobił wielkie oczy, ale ani się ruszył. War zorientował się, że ostatecznie był to pokój Kasi. Machnął ręką.

— Zresztą wszystko tu jest w tym samym stylu.

Obrzucił ironicznym spojrzeniem kartony z rysunkami Kasi i opuścił pokój zgorzkniały.

Nic mu nie dogadzało.

Beszał kucharza, ogrodnika, skrzyczał stangreta nie bardzo wiedząc za co i przez tych kilka dni zaciążył wszystkim w Kromiłowiu.

Rządca unikał go starannie, ale War nie spieszył się również aby go widzieć. Gospodarstwo nic go nie obchodziło. Cały dwór odpoczywał dopiero wtedy, gdy Zebrzydowski spał lub gdy odbywał poobiednią siestę przy czarnej kawie. Wszyscy oczekiwali Kasi z utęsknieniem. Wreszcie gdy nie było jej widać komentowano sobie cicho tak długie ociąganie się z przyjazdem. Dionizy wpadł w nałóg; każdej wolnej

chwili wypatrywał samochodu kromiłowskiego na szosie. W obserwacji tej stał się niezmordowany.

Gdy wieczór zapadł, Zebrzydowski nie mógł sobie miejsca znaleźć. Chodził długo po parku zmieniając nastroje jak aleje, którymi błądził, wreszcie zły wrócił do dworu. Rozkazał w salonie pozapalać wszystkie lampy i usiadł do fortepianu.

Najpierw wybiegły spod jego palców jakieś dzikie wariacje rozwichrzone i bez melodii... pojedyncze tony były jak uderzenia huraganu. Fortepian jęczał pod tą nawałą szalonej fantazji. Ale stopniowo burza uciszała się i spod cienkich, nerwowych palców Zebrzydowskiego płynęły melodie coraz spokojniejsze i bardziej wyraźne. Zaczął po dawnemu rozśpiewywać się na klawiszach. I razem ze stopniowaniem tej muzyki nasuwały się różnorodne wizje przeżytych momentów. W zgiełku rozbitych

tonów Edward widział wyobraźnią zameczek na skale nad oceanem w Bretanii... słyszał huk fal, który się przedzierał do wnętrza jasnych z przepychem urządzonych komnat, gdzie ona, ta kobieta o niepospolitym wdzięku i cudzie nieprawdopodobnej urody odurzała go sobą do utraty przytomności. Jej profil na tle płaszcza włosów jak dukatowe płynne złoto doprowadzał go do ekstazy zachwytu, że klęcząc u jej stóp trzymał je w dłoniach jak bezcenne klejnoty i ogrzewał ustami i pieścił ich widokiem przeczystej piękności, której dorównać nie mogły żadne kobiety na świecie. Była sama w sobie cudem dla niego, bożyszczem. A potem nowe, nowe szły wspomnienia.

Włochy, Morze Śródziemne, Egipt. Ich noce pod piramidami w błękitno-szarych sreżogach mroku, lub w srebrnych roztoczach księżyca, kiedy twarz jej była jakby z perły rzeźbiona, oczy jej o niewysłowionym kolorze i głębi przysłaniały się przepychem rzęs pod mocą jego oczów, a usta doprowadzające do obłędu, szeptały mu słowa najśodsze... Te noce te seledynowe świty i róz wschodu słońca, którym nasiąkało wszystko dokoła i znowu ona, znowu w innej barwie kraszy przedziwnej, znowu boska, jeszcze bardziej pożądana, jeszcze silniej odurzająca.

Czyż poświęcić dla niej życie to jeszcze nie za mała ofiara dla takiej jak ona piękności?

Muzyka Edwarda stawała się teraz śpiewem natchnionym. Przeniósł się całkowicie do Egiptu, był tam z nią, w wysnionym poemacie zachwytoów i w płomieniach szału... Kochał ją, odczuwał że i on ją czarował. Upojenie jakie ogarniało go z powodu tej świadomości, było ponad wszelką miarę i wszelki wyraz niedościgłe. A potem...

Melodie spletały się, zwichrzyły na nowo w chaos i zamęt niebywały. Dlaczego następuje w życiu zawsze to... potem? Dlaczego nawet tak przeogromne, potężne momenty posiadają... dalszy ciąg.

Melodie płynące teraz spod palców Wara zawierały w sobie cały dramat takiego znaku zapytania.

Odeszła od niego tak samo nagle jak mu się objawiła... Bez słowa żalu, czy choćby prostego wyjaśnienia. Znikła jak czarowne złudzenie, jak piękna do okrucieństwa fatamorgana... Co to było?... Może była tylko zjawiskiem, które się rozwiało?...

Rozwiała się!

On po pierwszych chwilach osłupienia i zgrozy rzucił się w szaleńczy pościg za nią... Wynałazł, odszukał... zobaczył... i zrozumiał. Niestety, rozwiała się tylko dla niego. Nie była ani złudzeniem ani cudem, była

kobietą niewysłowienie piękną, namiętą, żądną nie tylko płomieni, ekstazy, zachwytów i triumfów ale i gór złota.

Góry złota to był jej żywioł. Mogła przesycona złotem odlecieć na kwieciste łąki sielanek i uroków, ale gdy przesyta minął musiała do gór złota powrócić.

Edward cisnął na klawisze nową fugę. On był dla niej za biedny! Góra złota ją pociągała i ku niej poszła. Wiedział że bezpowrotnie. Nie rozpaczał, do tego nie był w ogóle skłonny. Zdumiał się tylko i poczuł gorzki smaczek w ustach. A potem śmiał się ironicznie a potem trochę kłął a wreszcie postanowił się zemścić.

Przypadkiem ze znajomymi z dawnych, przedwojennych lat znalazł się w klubie i doszedł do wniosku, że góry złota bywają do osiągnięcia niekiedy. Jedne się tam topią jak wosk, inne wyrastają niespodziewanie jak grzyby po deszczu. Są czasem jednakowo trwałe jak grzyby, ale w każdym razie są do osiągnięcia.

Zaczął próby...

Śmieli się z niego przyjaciele, że za wiele ma szczęścia do kobiet, co jest złym znakiem w grze o złoto. On właśnie chciał złotem odbić kobietę, pragnął takiego triumfu, wiedząc, że pod innymi względami jako rywal z takim musiał wygrywać. Tam była tylko góra złota, u niego tylko złota brakowało. Podrażniona ambicja popychała go do zdobycia potrzebnego tła dla swojej osoby by skutecznie zemścić. Marzenia wyolbrzymiały się, fantazja igrała. Ale rzeczywistość była mniej fantastyczna. Ona to właśnie zamiast do góry złota, ku której dążył, przywiodła go aż do Kromiłowia. Ta jedna droga mu pozostała. Zawiodło go wszystko, był szalenie wyczerpany, przesycony i na razie nieodczuwał niedawnych pragnień zemsty. Odpadły od niego marzenia ambitne i wszelkie inne. Nie zaniechał myśli odwetu za swą porażkę, lecz odłożył ją do czasu, aż się w nim zbudzi nowa iskra i nowy poryw szczęśliwszej weny życiowej. Ale pod wpływem nudy w Kromiłowiu i muzyki ożyły wspomnienia.

Podczas tych rozmyślań ilustrowanych muzyką, auto Kasi podsunęło się cicho do podjazdu.

Tylko Dionizy wypatrzył nareszcie przyjazd i tylko on witał Kasię.

— Jaśnie pan gra — szepnął cicho.

Było w tych słowach wyjaśnienie i tłumaczenie się, że nie zawiadomił pana.

Oświetlony dwór w ciszy i woniach majowej nocy i ta muzyka, którą Kasia poznała z daleka od pierwszych usłyszanych tonów, wywarły na niej dziwne wrażenie. W jednej chwili jakby jasnowiedzeniem wiedziona odgadła

nastrój Edwarda. Nie pozwoliła zawiadamiać go o przyjeździe. Tomek prosto z samochodu uciekł do Juraska, przerażony obecnością nieznanego bliżej „jaśnie pana”, który był dla niego jakąś legendarną istotą z bajek. Jurasek szeptem opowiadał o nim dziwy a Tomek coraz bardziej przejęty, z zapartym oddechem słuchał i drżał.

Muzyka nie milkła ku zdumieniu całej służby.

Kasia w płaszczu podróżnym wsunęła się cicho do małego bu-duarku poprzedzającego salon. Pragnęła zobaczyć Wara, nie będąc widzianą. Ukryta za grupą palm ujrzała go i doznała wstrząsu.

O jakieś piętnaście kroków przed nią siedział przy fortepianie cień dawnego Wara.

Sylwetka ta na tle starego gobelinu była jakby nie rzeczywistą. Wykwintny pastel rzucony ręką artysty, przesubtelniony w rysunku i wyrazie. Błady, szczupły owal twarzy, oczy przysłonięte powiekami, usta pełne melancholii. Zaduma na czole, skupienie natężonej uwagi nad czymś, co szeptało mu w duszy. Odległość jego myśli i nawet jej treść była aż nadto widoczna. Ale nie wyrażała bólu i cierpienia tylko nudę i krańcowe zniechęcenie człowieka nie mającego już nic przed sobą. Smutek przedziwny owiewał tę postać piękną i wytworną a jakby skończoną. Zasnuwał ją cień nicości. War rozplątywał się w tej mgłę stawał się sam mgławicą. W zapatrzonych oczach Kasi oddalał się od niej, że był niby wytworem wyobraźni.

Im dłużej patrzyła na niego, tym bardziej był daleki, tym mniej rzeczywisty. Oczy jej zwilgotniały. Żal zdławił jej krtań aż jęknęła cicho.

To był przecie ten sam War... i ten sam urok był w nim, urok całej postaci mistrzowsko rzeźbionej, niepojęty urok w twarzy i rysach, jakiś czar tajemniczy, który budził lęk.

Welinowe powieki Zebrzydowskiego zaczęły lekko drgać. Nerwami odczuł wzrok Kasi. Rzucił krótkie spojrzenie w kierunku ciemnego buduaru. A ona zadrzała pod migawkowym błyskiem jego oczów. Grał dalej, ale coraz bardziej wicherzył melodie. Akordy, pasaże padały lawiną na klawisze... I znowu spojrzał ściągnawszy brwi... Nerwowy tik przemknął po jego rysach, poruszył się jakby z zamiarem powstania, ale znowu grał. Jednakże Kasia odczuła, że już się ocknął. Pragnęła tę chwilę jeszcze przeciągnąć. Muzyka Wara stała się chaotyczną. Zwikłane wspomnienia przysły. Kasia czytając w jego twarzy wyrazistej, przeczuła, że on jest już z powrotem w Kromiłowiu. Nowy poryw żalu zadrgał w jej piersiach. On się tu pewno źle czuje — zabolęła przykra myśl i zrodziło się uczucie ciche a

dobrze, śpiące głęboko w duszy, pokryte grubym nalotem przeżyć, całorocznych zawodów i trosk.

Czy to było uczucie siostry dla brata, czy uczucie kobiety, na którą już działał jego urok, czy też żony do szalenie kochanego przedtem męża, Kasia nie umiałaby określić. Ale nie zdołała również oprzeć się wpływowi tego uczucia. Zawładnęło ją zbyt gwałtownie i uniosło. Nie zastanawiając się dłużej, weszła prędko z buduaru do salonu, podsunęła się do Edwarda zanim on powstał i wsparła się na jego ramionach, otoczywszy mu szyję rękoma. Twarz gorącą przytuliła do jego czoła.

— Przyjechałeś! — szepnęła serdecznie.

On ujrawszy ją w pierwszej chwili zmrużył oczy badawczo, niepewny jak go powita, ale gdy owinęła go ramionami, powstał prędko i przygarnął ją do siebie.

— Kasiatko!...

Ukryła twarz na jego piersiach, z rękoma zarzuconymi mu na szyję zwalczała łkanie, bo on tego nie lubił. War zdjął z jej głowy podróżny berecik i ogarnawszy dłonią jej włosy ucałował ją parokrotnie.

— Kochany dzieciak z ciebie. No, ale spójrz mi w oczy. Odchylił jej twarz ku sobie.

— Och łzy! Zaćmiewają te złote iskierki... to niedobrze! Wolę iskry. Nie skąp mi ich, dzieciaku! Dobrze? Jestem taki znudzony oczekiwaniem. Czemuż to pani tak długo nie przyjeżdżała?... Wprawdzie do Lwowa mogłem pojechać sam, byłoby bardziej po dżentelmeńsku — przyznaję, ale ta twoja budowla brrr! odstraszyła mnie. Zresztą nie uwierzysz jak jestem zmęczony.

Zdjął z szyi ręce Kasi i dłonie jej przytulił do ust. Patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- Nie było auta, musiałbym jechać koleją i rozminąłbym się z tobą bo wszak jechałbym do ciebie nie do owej budowli. Ale widzę, że ta twoja nieznośna mania trwa nadal i nawet dobrze ci robi. Wyglądasz jak maj kwiecisty. Mam nadzieję, że ta kamienica czy jak tam, już skończona. Co?... Dlaczego tak mnie obserwujesz? Co?... Wyglądam teraz na twego papę. Ach tak moja mała, czas leci!

Kasia była zaskoczona rodzajem tego powitania, tą swobodą i dawnym tonem Wara. Patrzyła w oczy tego męża niewidzianego przeszło od roku, który witał ją tak, jakby zaledwo przed miesiącem wyjechał z domu za interesami. Był zresztą ten sam co zawsze pełen uroku, tylko bezmiernie wydelikacyony, mizerny, wiotki jak trzcina i trochę z tego powodu postarzały istotnie. Wreszcie jej oszołomienie i brak swobody minął. Nie mogła

jednakże zastosować się zupełnie do jego tonu, więc gdy on rzekł z odrobiną goryczy:

— „Patrzysz na mnie jak na zmartwychwstałego” — odszepnęła cicho.

— A czy tak nie jest?... Rok, to bardzo długi okres.

— Tak, masz rację to nawet czasem cały wiek... nudy...

W głosie jego odczuła niechęć i bojąc się, żeby nie posądził ją o zamiar robienia mu wymówek przełamała się w sobie od razu odsunawszy się od niego spytała lekko.

— Dlaczego nudy? Życie nie jest nudne. Tym bardziej dla ciebie. Zaśmiała się, udając swobodę.

— Ja podróżuję tylko z Kromiowa do Lwowa i vice versa i nie nudzę się. Ale... czy jadłeś kolację?

War przymknął oczy. Zrozumiał ją. Przeszła do porządku dziennego ale nieszczerze.

— Zdaje się, że na ciebie czekamy. Nie pamiętam zresztą — odrzekł kapryśnie.

— Więc zaraz każę podawać, tylko się przebiore.

Wysła. Zebrzydowski włożył ręce do kieszeni i przeszedł się po pokoju. Zachowanie się Kasi wzruszyło go. Ujęła go niepomiernie i uspokoiła od razu.

— Dobry dzieciak — pomyślał zadowolony z obrotu sprawy. Wdzięczny był Kasi za oszczędzenie mu zwykłych scen małżeńskich.

Jakich mógł się spodziewać.

Chodził nerwowo coraz prędzej i rozmyślał.

...Takich mężów jak ja albo się od razu rzuca — bywaj zdrów latający holendrze, rozlatujemy się na cztery wiatry! — Albo się im nic nie wymawia. Kasia jest stylowa i zdaje się kocha mnie. Nie potrafiłaby urządzić scen. Wychodzi na to, żeśmy się dobrali.

Wszedł Dionizy.

— Podano do stołu — rzekł suchym, urzędowym tonem.

Kasia wyszła do buduaru na spotkanie męża i poszli razem. Podczas kolacji rozmawiali o wszystkim i o niczym. Że zaś Zebrzydowski był mistrzem w tej sztuce, przeto rozmowa wyszła gładko i nawet swobodnie.

Dionizy był zdumiony przeistoczeniem się Edwarda i spokojem Kasi.

ROZDZIAŁ XIII

— Więc twierdzisz, że ginę?... Hm! dlaczego nie mówisz od razu, że właściwie już zginąłem? — rzekł Edward do Kmiotowicza.

— Teraz jedyną twoją deską zbawienia — jestem szczery — to Kromiłów. Ale czy ty się, War, zastanawiasz nad tym, że to już ostatni bochen chleba, zaczęty przez ciebie, z zupełną jakby nieświadomością, że nie jest twoim i że... ostatecznie...

Kmiotowicz umilkł.

— I że... beztraska moja zakrawa na niepoczytalność, to chciałeś powiedzieć — dokończył War. Widzisz, mój Lolku, ja potrafię, także niekiedy, wygarnąć sobie prawdę w oczy. Ale nie działa to na mnie umoralniająco ani trochę. Czego zresztą składam dowody aż nadto rzeczowe.

— Tak! Ale pozwól sobie jeszcze trochę na stosowanie tych dowodów a Kromiłów tak samo jak Pochleby pójdzie na psy.

— Tobie, Lolek, zawdzięczam, że Pochleby dopiero teraz... idą! — zrobił szeroki ruch ręką.

Już od roku borykam się i, wierz mi, że tylko robiłem to dla ciebie. Muszę cię uprzedzić, czego ci zapewne żona twoja nie powiedziała, że jej rodzina już niespokojnie śledzi otwarty upust kromiłowkiej kasy, bardzo dla majątku niekorzystny i zastraszający. Krystyn Zahojski wnika w interesy Kromiłowa i gdyby majątek nie był wyraźnie własnością pani Kasi, lub gdyby były dzieci — nie miałbyś War, dzisiejszej swobody.

— Krystyn ma swój majątek i nic mu do nas. Gdy rozparcelujesz nareszcie Pochleby oddam pożyczone z Kromiłowa pieniądze.

Kmiotowicz zaśmiał się i spojrział na Edwarda, jak na wariata.

Nie łudź się, War. Resztę długów z Pochlebów będzie musiała pokryć... twoja żona! To ci jeszcze powiem, że jesteś w czepku urodzony, mając taką żonę. Toż ona sama gospodaruje i jak?... Prócz tego Pracuje we Lwowie.

Zebrzydowski zatrzepotał rękoma.

— Wiem, wiem! nie przypominaj mi tych jej ceglano-wapiennych nawyków. Żeby też coś podobnego wymyśliła kobieta? To horrendum! to moja klęska! Taka wytworna, elegancka i taka pełna wdzięku, żeby wpaść w podobny nałóg! W ogóle ma pomysły, doprawdy ja-i skiniowe. Wyobraź sobie, wynalazła jakiegoś pastucha, no, jaskiniowca, mówię ci! Nazywa się modnie Kost...rzewa... Voila!... Kostrzewa... nadzwyczajne! Lepi on z gliny jakieś dziwolągi, coś tam struga i to w pracowni Kasi. Dajmy na to, że i ta pracownia robi wrażenie warsztatu jakiegoś majstra czy pacykarza. Ów

geniusz uważasz, szwenda się po domu a do Kasi odnosi się co najmniej jak jej syn. Przepędziłem owego mistrza już parokrotnie, ale Kasia się gniewa za to. Słyszane rzeczy! I ciągle te wyjazdy do Lwowa... a... a..., to nie do zniesienia! jutro znowu jedzie, podobno powierzyć roboty jakiemuś innemu inżynierowi, bo zapowiedziałem kategorycznie, że dłużej tego nie ścierpię.

— Dziwię się, że zmuszasz żonę do wyrzeczenia się pracy, którą ukochała. Jest ceniona, bardzo zdolna, wyróżniła się na konkursie a ty to wszystko paraliżujesz egoistycznie.

— Jestem egoistą i chcę mieć Kasię wyłącznie dla siebie.

— Ogromnie dbałeś o nią przez całe trzynaście miesięcy lumpowania się po świecie.

— Właśnie wtedy miała czas na wszelkie budowle, i na różnych jaskiniowców, Kos...trzewów — mistrzów! Ale poczekaj, Lol.

— Wydobył parę dużych kartonów i padał Kmiotowieżowi.

— Patrz, to ona.

— Margrabina Rimaldi?

— Tak. Kmiotowiczowi błysnęły oczy.

— Cudowna! Ale jakaż młoda!

— Cóż chciałeś, abym szalał za jakąś Troją?...

— Mówię dlatego, że taka młoda a taka... wyzuta. No, bo te pozy! przyniosłyby zaszczyt wyrafinowanym kokotom półwiecznym, ale u młodzietkiej osoby... rażą. Ależ to musi być Mesalina jakaś!

— Piękna kobieta tej miary co ona, nie może i nie powinna ukry-j wać całego przepychu urody.

— Pewno, skoro to jedno ma do pokazania.

— Zrobiłeś się widzę kwakrem — rzekł War sucho, chcąc odebrać j fotografie, ale Kmiotowicz je zatrzymał.

— Pozwól się napatrzeć, chyba tego nie zazdrościsz? Cóż za bajeczne zdjęcia! Gdzie to? Aha Paryż... a druga Kair. Ta gorsza. Prawdopodobnie fotograf był muzułmaninem, więc spieszyły go takie widoki... A ta? Neapol?... słowem z każdego etapu pamiątka!... Ta? chyba najjaskrawsza... Wiedeń? Ach, War, postępowało u was crescendo! W Neapolu byłeś tak zapędzony, żeś nawet własnej żony nie zobaczył.

— Jak to?

— No, pani Kasi.

— Nie rozumiem! Kmiotowicz zmieszał się i umilkł.

— Lolek, powiedz! Coś ukrywasz... Kasia w Neapolu. Skąd?

— Eee, nic, mówił tam coś Mohyński.

— Że co? mówże Lolek! Muszę wiedzieć. Co mówił?

Kmietowicz nie wahał się dłużej. Tajemnicy nie zastrzegano. Powiedział o bytności Kasi w Neapolu w porcie podczas ich odpływania na statek.

Zebrzydowski przybladł i zmarszczył się niechętnie.

— Dlaczegoż jechała do Neapolu?

— Żeby ciebie skłonić do powrotu, ale, ujrawszy was razem odpływających, oczywiście zrozumiała bezcelowość zamiaru. Cierpiała bardzo, to wiem.

War milczał.

Teraz zrozumiał stosunek Kasi do siebie, przez te parę tygodni od jego powrotu. Odczuwał w niej jakieś niedomówienia, było coś, co ciążyło im obojgu, psując nawet pozorną harmonię wytwarzaną przez Kasię. On nie dawał wyjaśnień ona nie żądała ich i to niekiedy zdumiewało Wara. Nie stara się dowiedzieć prawdy ten — kto ją zna.

— Mam wrażenie — mówił Kmietowicz — że sądziłeś, iż żona twoja nie wie o margrabinie tak przeraźliwie dużo...

— Nie przypuszczałem istotnie. Skądże wiedziała wówczas, gdzie jestem?

— Polecieś telegraficznie wysłać tam ogromną sumę. Musiałem pokazać telegram wszakże, biorąc na to, jak już wiesz, pieniądze z Kromiłowa. A co do margrabiny, to dam ci słowo honoru, że ja nie zdradziłem twego zaufania, War. Wieść o niej rozeszła się szeroko już wówczas, gdyście byli w Bretanii.

Edward cisnął przekleństwo. Chodził po gabinecie rozdrażniony. Dlaczego ona mnie tego nie powiedziała?

— Przez wyjątkową delikatność zapewne. Mocno żałuję, że się wygadałem, jak baba. Ale nie sądziłem co prawda ani przez chwilę, żeś o tym nie wiedział.

War długo milczał, wreszcie wybuchnął!

— Jestem głupiec! bo żeby znając tę przeklętą patelnię — Europę, na której ludzie widzą się i słyszą wzajemnie jak smażone kotlety — i jeszcze się ludzić — trzeba być idiotą!...

Wtem zatrzymał się przy oknie i zawołał innym głosem i tonem.

— O patrz! jest geniusz! Nie, to przechodzi imaginację! Kmietowicz spojrział we wskazanym kierunku.

Z boku trawnika, w cieniu krzewów, siedział Tomek na małym stołeczku i na drugim nieco wyższym stołku lepił z gliny spoglądając na figurę kamienną, przedstawiającą Hermesa w biegu z posochem w rękę i skrzydełkami u pięt. Zebrzydowski wychylił się przez rampę okna i krzyknął mocno podniesionym głosem.

— Hej, Praksytelesie, Skopasie, Canovo, Thorwaldsenie, zabieraj stąd swoje arcydzieła! Marsz z trawnika! Czy mistrz Kostrzewa nauczy się nareszcie moresu?... O tak, tak, pięty w górę! Jazda!

— War, daj spokój, co ci ten chłopczyzna przeszkadza? Patrz, z przerażenia przewrócił swój warsztat. Cała robota na nic!

W tej chwili Kasia na swoim wierzchowcu mijała ganek, patrząc za uciekającym Tomkiem. Podniosła oczy na okno i ujrawszy obu panów, spytała:

— Co Tomek zawinił?

— Geniusz twój już na trawnikach zakłada pracownię, więc zwróciłem mu uwagę. Praksyteles czmychnął nareszcie. Umykał niczym zając — rzekł War.

Patrzył na Kasię łakomie. Wydała mu się interesującą w tej postawie amazonki i z błyskiem gniewu w źrenicach. Zmrużył oczy. Dreszczyk zmysłowy śmignął wskroś jego żył.

Zsiadła z konia, więc obaj z Kmietowiczem wyszli na ganek. Kasia zaczerwieniona z powodu przejażdżki, czy z irytacji, rzekła do Wara.

— Pozwoliłam chłopcu modelować Hermesa, wypędziłeś go niesłusznie. Nie wiem czym on ciebie drażni?

— Ach, pardon — skrzywił się War — nie wiedziałem, że włązi na gazony za twoim pozwoleniem. W ogóle ten skrzat za często nasuwa się mnie przed oczy.

Kasia bez słowa już poszła do siebie.

W pracowni siedział w kątku Tomek zapłakany. Ujrawszy Kasię chwycił jej rękę i zaczął okrywać pocałunkami.

— Pani dziedziczka mnie puści, pójdę na nory. Jaśnie pan me ciągiem przepędza, nazywa tak... nieładnie, a to jakiści genusz, albo jeszcze inaczej, że i nie wypowiem...

Kasia pogłaskała głowę chłopca.

— Nie płacz, pan nie lubi, jak depcesz trawniki.

— Ja nie deptałem, ja był przy samych krzakach, dopieo uciekałem przez trawnik.

— No dobrze, siedź sobie tu albo idź do ogrodnika.

— Bojam się.

— Jutro pojedziesz ze mną do Lwowa.

Chłopak ucieszył się wielce, zapomniał nawet o swoim przerażeniu. Pytał, czy będą znowu u Orląt — i czy będzie ten sam pan, Dębosz, który był z nimi.

— Pan Andrzej, tak będzie — odrzekła Kasia.

Tegoż dnia wysłała depeszę do Zagórzan. Wieczorem zobowiązała Kmiotowicza, by został w Kromiłowie, przez czas jej nieobecności.

— War jest tak bardzo rozdrażniony — mówiła — że samotność ujemnie na niego działa.

— Czy pani długo zabawi?

— O ile mi się uda powierzyć kierownictwo budowy mojemu koledze wrócę za parę dni.

— Więc pani jednak rezygnuje i ryzykuje taką odpowiedzialną pracę oddać w inne ręce?

— Trudno panie, muszę! walczyłam ciężko z sobą i starałam się przekonać Wara. Ale na razie to na nic! Może go z czasem przekonam. Dziś trzeba go leczyć przede wszystkim. Ale robót przy budowie nie można zawieszać. Gdy mój kolega zgodzi się mnie zastąpić, w co wierzę, będę spokojniejsza o budowlę niż pod moim własnym kierunkiem.

— Czy wolno wiedzieć nazwisko tego inżyniera?

— Andrzej Dębosz.

— Ach więc to ten zapewne, który pisuje artykuły o budownictwie wiejskim i o stylu naszych wsi. Prowadzi on razem z Jerzym Strzeleckim i Romanem Pobogiem z Krążą szeroką propagandę nowoczesnego budownictwa na wsi.

— Tak, to on.

— On pochodzi z ludu, o ile się nie mylę?

— Tak, jest chłopem na swojej zagrodzie.

— Ciekawy człowiek!

Po wyjeździe Kasi Kmiotowicz opowiedział Zebrzydowskiemu o ideach Dębosza i jego poczynaniach. Edward słuchał obojętnie skwaszony, na wzmiankę o Pobogu i Strzeleckim ożywił się.

— Jak to?... więc i oni?... No, że Kasia ma coś wspólnego z jakimś Dęboszem, czy inaczej, to już zaczyna być nałogiem u niej. Dębosz, Kostrzewa i... z Zahojskich Zebrzydowska... Co?... Wspaniale! Ale żeby Po bóg i Strzelecki hołdowali tej samej manii obłędnej, tego się nie spodziewałem.

— Oni obaj wyraźnie idą w kierunku demokratycznym, znani są z tego od dawna a szczególnie Strzelecki. On i u siebie w Sławohorze i w Poturzycach jest działaczem społecznym o ideach ludowo-narodowych.

— Hm! Bigos się zrobił na świecie! Strzeleckiemu pewno i żona dopomaga. Pani Dada wszakże z Dobruckich, a była primo voto Turowa. To coś także w rodzaju Kostrzewa... Dębosz... Krzepa... Kto to Krzepa? Czekaaj,

czekaj? A wiem. Stary borowy z Krążą potem rezydent w Uchaniach. Och, dawne czasy!...

— Ciebie jednakże ówczesna pani Turowa nie raziła ani trochę.

— Dawne czasy! — powtórzył War. — Byłem młody, dziś jestem ruiną.

— Mówiłeś to samo przed siedmiu laty, gdyś utracił Kresy.

— To też od tamtej pory świecę już tylko próchnem.

Mniej więcej tak samo myślała o Warze Kasia, jadąc do Lwowa. Te podróże były dla niej odpoczynkiem i ulgą. A oto musiała się ich wyrzec. Paratygodniowe obcowanie z Warem zdołało uświadomić Kasie, że rok ubiegły uczynił wyłom w uczuciach obojga. Wrażenie pierwszego spotkania było silne choć opanowane, ale potem z każdym dniem prawie występował przymus coraz bardziej gnębiący. Urok Wara trwał nad nią, ale nicosić jego toczyła z urokiem walkę niebezpieczną i stopniowo zwyciężała. Bezkrytycyzm dawnej hipnozy w stosunku do Wara zaniknął zupełnie. Przeciwnie, Kasia teraz usiłowała wmawiać w siebie wiele rzeczy dawniej prostych i naturalnych, jeszcze dawniej rozkosznych, dziś trudnych do zniesienia i niewypowiedzianie drażniących. Dawny blask Wara zaćmił się jakby mgłą — Kasia wierzyła, że tylko dla niej... Istotnie świecił jakoś sztucznie. Im bardziej starał się wyrzec na niej dawny potężny swój wpływ, tym ona była od niego dalsza. Ott dla niej i ona dla niego stali się niedościągłymi. Ale Kasia postanowiła przełamać się jeszcze, chcąc powstrzymać gasnącą iskrę ich ogniska.. Ostatnią ofiarą na rzecz tej idei najtrudniejszą dla siebie i najboleśniejszą było wyrzeczenie się zaczętej pracy. Czy to osiągnie pożądaný skutek, czy ten upór Wara był wolą jego czy tylko kaprysem? Kasia m[^] dociekała. Chwilowo dla próby chciała mu dogodzić, licząc się z jego stanem nerwowym. Zamierzała wyjechać z nim gdzieś na kurację i po-dać to tylko jako powód, gdyż inaczej taki urlop byłby zbyt upokarzający dla niej, w jej mniemaniu.

We Lwowie zjechali się prawie razem z Doboszem - Zauważyła, że zmizerniał bardzo. Patrzył na nią badawczo, jakby sondując jej myśli. Gdy mu przedstawiła swoją prośbę, Andrzej spochmurniał jeszcze bardziej.

— Jestem na rozkazy pani. Dobrze, przejmę roboty... ale...

— Ja wiem, że to dla pana będzie uciążliwe przy Jeśo własnych pracach.

— Nie mówmy o tym, mniejsza o moje trudy. Prośbę pani uważam za obowiązek, ale pozwolę sobie zapytać, dlaczego to Pani robi? Czy tak będzie zawsze? Więc pani poświęci naukę, swoje zdolności, przyszłość dla kogo właściwie?

Kasia wzburzyła się.

— Pan się myli, panie Andrzeju, ja nie wyrzekam się swojej pracy na stałe, tylko teraz, tak się źle złożyło, że muszę przerwać na pewien czas, dla ratowania zdrowia męża.

— Zdrowia?

— Tak... Jest przedenerwowany, szalenie zmęczony, po prostu chory.

Nieokreślony półuśmiech błędził na ustach Dębosza.

— Chory — powtórzył głosem stłumionym.

Kasia odczuła, że on wątpi w tę chorobę Wara i ze domyśla się, iż to tylko jego żądanie by zaniechała prac rozpoczętych była oddana wyłącznie jemu.

Dębosz czytał na twarzy Kasi jej myśli. Żał mi się jej zrobiło. Zdusił w sobie gniew na Edwarda za jego egoizm i rzekł serdecznie.

— Powtarzam, szkoda że pani sama nie może własnego dzieła dokończyć. Zrobię wszystko, by wyręczyć panią bez zrzutu. Niech Pani będzie zupełnie spokojna.

Podala mu rękę.

Wierzę i ufam panu więcej, niż sobie nawet. Ale to nie koniec próśb.

— Tak, jest chłopem na swojej zagrodzie.

— Ciekawy człowiek!

Po wyjeździe Kasi Kmiotowicz opowiedział Zebrzydowskiemu o ideach Dębosza i jego poczynaniach. Edward słuchał obojętnie skwaszony, na wzmiankę o Pobogu i Strzeleckim ożywił się.

— Jak to?... więc i oni?... No, że Kasia ma coś wspólnego z jakimś Dęboszem, czy inaczej, to już zaczyna być nałogiem u niej. Dębosz, Kostrzewa i... z Zahojskich Zebrzydowska... Co?... Wspaniale! Ale żeby Pobóg i Strzelecki hołdowali tej samej manii obłądnej, tego się nie spodziewałam.

— Oni obaj wyraźnie idą w kierunku demokratycznym, znani są z tego od dawna a szczególnie Strzelecki. On i u siebie w Sławohorze i w Poturzycach jest działaczem społecznym o ideach ludowo-narodowych.

— Hm! Bigos się zrobił na świecie! Strzeleckiemu pewno i żona dopomaga. Pani Dada wszakże z Dobruckich, a była primo voto Turowa. To coś także w rodzaju Kostrzewa... Dębosz... Krzepa... Kto to Krzepa? Czekaj, czekaj? A wiem. Stary borowy z Krążą potem rezydent w Uchaniach. Och, dawne czasy!...

— Ciebie jednakże ówczesna pani Turowa nie raziła ani trochę.

— Dawne czasy! — powtórzył War. — Byłem młody, dziś jestem ruiną.

— Mówiłeś to samo przed siedmiu laty, gdyś utracił Kresy.

— To też od tamtej pory świecę już tylko próchnem.

Mniej więcej tak samo myślała o Warze Kasia, jadąc do Lwowa. Te podróże były dla niej odpoczynkiem i ulgą. A oto musiała się ich wyrzec. Parotygodniowe obcowanie z Warem zdołało uświadomić Kasię, że rok ubiegły uczynił wyłom w uczuciach obojga. Wrażenie pierwszego spotkania było silne choć opanowane, ale potem z każdym dniem prawie występował przymus coraz bardziej gnębiący. Urok Wara trwał nad nią, ale nicość jego toczyła z urokiem walkę niebezpieczną i stopniowo zwyciężała. Bezkrytycyzm dawnej hipnozy w stosunku do Wara zaniknął zupełnie. Przeciwnie, Kasia teraz usiłowała wmawiać w siebie wiele rzeczy dawniej prostych i naturalnych, jeszcze dawniej rozkosznych, dziś trudnych do zniesienia i niewypowiedziane drażniących. Dawny blask Wara zaćmił się jakby mgłą — Kasia wierzyła, że tylko dla niej... Istotnie świecił jakoś sztucznie. Im bardziej starał się wyrzec na niej dawny potężny swój wpływ, tym ona była od niego dalsza. On dla niej i ona dla niego stali się niedościgłymi. Ale Kasia postanowiła przełamać się jeszcze, chcąc powstrzymać gasnącą iskrę ich ogniska. Ostatnią ofiarą na rzecz tej idei najtrudniejszą dla siebie i najboleśniejszą było wyrzeczenie się zaczętej pracy. Czy to osiągnie pożądany skutek, czy ten upór Wara był wolą jego czy tylko kaprysem, Kasia nie dociekała. Chwilowo dla próby chciała mu dogodzić, licząc się z jego stanem nerwowym. Zamierzała wyjechać z nim gdzieś na kurację i podać to tylko jako powód, gdyż inaczej taki urlop byłby zbyt upokarzający dla niej, w jej mniemaniu.

We Lwowie zjechali się prawie razem z Dęboshem. Zauważyła, że zmizerniał bardzo. Patrzył na nią badawczo, jakby sondując jej myśli. Gdy mu przedstawiła swoją prośbę, Andrzej spochmurniał jeszcze bardziej.

— Jestem na rozkazy pani. Dobrze, przejmę roboty... ale...

— Ja wiem, że to dla pana będzie uciążliwe przy jego własnych pracach.

— Nie mówmy o tym, mniejsza o moje trudy. Prośbę pani uważam za obowiązek, ale pozwolę sobie zapytać, dlaczego to pani robi? Czy tak będzie zawsze? Więc pani poświęci naukę, swoje zdolności, przyszłość dla kogo właściwie?

Kasia wzburzyła się.

— Pan się myli, panie Andrzeju, ja nie wyrzekam się swojej pracy na stałe, tylko teraz, tak się źle złożyło, że muszę ją przerwać na pewien czas, dla ratowania zdrowia męża.

— Zdrowia?

— Tak... Jest przedenerwowany, szalenie zmęczony, po prostu chory.

Nieokreślony półuśmiech błądził na ustach Dębosza.

— Chory — powtórzył głosem sflumionym.

Kasia odczuła, że on wątpi w tę chorobę Wara i że domyśla się, iż to tylko jego żądanie by zaniechała prac rozpoczętych i była oddana wyłącznie jemu.

Dębosz czytał na twarzy Kasi jej myśli. Żal mu się jej zrobiło. Zdusił w sobie gniew na Edwarda za jego egoizm i rzekł serdecznie.

— Powtarzam, szkoda że pani sama nie może własnego dzieła dokończyć. Zrobię wszystko, by wyręczyć panią bez zarzutu. Niech pani będzie zupełnie spokojna.

Podawała mu rękę.

— Wierzę i ufam panu więcej, niż sobie nawet. Ale to nie koniec próśb.

— Słucham panią.

— Panie Andrzeju, powołując się na obietnicę pana, daną mnie wówczas w parku Kilińskiego, co do Tomka, proszę niech go pan tymczasem weźmie do siebie.

Dębosz spojrział na nią uważnie.

— Zajmować się nim nie będzie pan miał czasu, to naturalne. Ale niech on przebywa pod opieką pańskiej matki, w Zagórzanach, o ile nie robi to różnicy. Teraz wakacje już blisko... jemu tam u pana w domu będzie dobrze. Czy robi pan to dla mnie... kolego?

Dębosz zrozumiał, pochylił się do jej ręki.

— Tak. Zabiorę go dziś jeszcze. Muszę uporządkować moje sprawy zanim obejmę tutejsze... więc wracam do domu.

— Dziękuję — szepnęła Kasia.

Ale tym razem Andrzej nie wytrzymał i spytał szeptem:

— On drażni pana Zebrzydowskiego, wszak się nie mylę?

— Tak — odszepnęła. Andrzej ściągnął brwi...

— Chce widocznie, by nic więcej nie zajmowało pani, prócz niego...

— Może. Zresztą nie lubi go... O ile wuj Mohyński przywiezie pomyślnie wieści o pracach Tomka, to w jesieni, da Bóg, ulokujemy go tu, we Lwowie, na naukę... Tymczasem niech pozostaje pod dobrym wpływem pana.

Gdy żegnali się, Andrzej zatrzymał dłużej w dłoni rękę Kasi.

— Niech pani pisuje do mnie jak do... brata — z męką wypowiedział to słowo — i proszę pamiętać, że ofiary czynione jednostronnie tylko... nie zawsze zdobywają upragniony cel, natomiast częściej utrudniają życie, niweczą własne dążności, gaszą zapał i wreszcie rujną. Gdy zaś po spełnionych ofiarach na darmo, zostaje taka ruina duchowa i pustka, nic nie ukoi żalu ani goryczy nawet rozpaczy po utraconych, bezcennych darach Bożych i zmarnowanym czasie.

Kasię przeniknęła przykry nad wyraz dreszcz trwogi.

Pożegnanie z Tomkiem było żałosne. Chłopak jakkolwiek cieszył się, że jedzie do Dębosza ale przywiązał się do Kasi gorąco i nie umiał już sobie wyobrazić życia bez jej opieki.

— Niechże pani dziedziczka, najdroższa moja pani, nie zapomni o mnie a przyjeżdża do Zagórze często, często — chlpał przypięty do jej ręki.

— Przyjadę na pewno. Pracuj dużo, masz przybory i bądź spokojny. Myślę o tobie. Myślimy oboje z panem Andrzejem.

Spojrzała na Dębosza i rzekła tylko do niego.

— Będzie mi smutno bez tego chłopczyny. A on odważył się szepnąć:

— Niech pani przyjedzie... ale zawiadomiwszy mnie uprzednio, abym był w domu.

— Przyjadę.

Gdy się rozstali, Dębosz był zły na siebie.

Wywołałem zdawkową obietnicę. Ona już... znowu nie jest całkowicie sobą... tamten rozciąga nad nią... nowe wpływy.

RS

ROZDZIAŁ XIV

Nie pomogły nalegania Kasi, War nie chciał słuchać o kuracji. Wracali z Krynicy po trzydniowym pobycie. Zebrzydowski siedział w przedziale wagonowym naprzeciw żony i śmiał się z jej zakłopotania.

— Daruj, Kachno, ale dłużej tu wysiedzieć nie mogłem, nawet z tobą. Co ja bym tam robił w tej waszej Krynicy? Kuracji nie potrzebuję i w nią nie wierzę, a siedzieć w tym tłoku, gdzie przed tobą, za tobą, nad tobą i pod tobą Żydy i Żydy? O... merci! Na deptaku masz ich ze wszystkich stron, widzisz ich nad sobą na górze parkowej, wejdiesz na górę — widzisz ich pod sobą na deptaku i znowu dokoła siebie. Nie! antysemitą nie jestem, będąc kosmopolitą, ale znowu przeładowania judejszczyzną nerwy moje nie znoszą, tak samo jak pewnej jarzyny zbyt reklamującej się specyficzną wonią.

Kasia śmiała się także wesoło.

— Czyli już dwa tygodnie z górą podróżujemy. Na to przypada: trzy dni w Warszawie, dwa w Gdyni, jeden na Helu, dwa w Sopocie, jeden w Gdańsku, jeden w Zakopanem, trzy w Krynicy no i przejazdy. Teraz gdzie się zatrzymamy? Wujostwa nie ma w Krakowie, będą u nas wkrótce...

— Więc jedźmy do Kromiówca najlepiej. Nic mnie nie bawi, wszystko to znam.

— A nie będziesz się nudził na wsi? — spytała, patrząc mu w oczy serdecznie.

Przytulił ją do siebie i rzekł miękko:

— Przy tobie — nie. Ale w ogóle nie zadawaj takich pytań, zbyt są ryzykowne.

— Oj ty, stary urwisie — uśmiechnęła się do niego, gładząc mu dłonią włosy. — Jesteś niepoprawny i nie wiem jakim sposobem...

— Poprawić mnie? To już na nic! Takie jak ja ananasy są zawsze sobą. Ja jestem, widzisz jak krab wyssany przez głowonoga, którym była dla mnie wojna. Została ze mnie skorupa, czy lepiej powiedzmy pancierz zewnętrzny. Ale, jakaś ty miła!... Kasiatko moje, pachniesz truskawką, czy poziomką. Zachwyca mnie ta twoja świeżość dziewicza. Przyciągnął żonę bliżej, wtulił ją w siebie i odchyliwszy jej głowę patrzył zachłannie w oczy.

— O już są złote iskierki. War je zapalił!... Płoną!... Ach, jak lubię ten złoty płomyk twych orzechowych źrenic, Kąty!... moja, zawsze moja... niezmiennie.

Chwycił jej usta we władanie a ona drżała mu w ramionach podniecona, istotnie płonąca wrzątkiem krwi. Urok jego spojrzenia, jego pieszczot już ją

trzymał w swej wszechmocy. W pierwszych dniach ich zbliżenia się była nieufna, jakby trwożna. Odpychało ją wspomnienie cudownego profilu tamtej kobiety przy nim, na łodzi w Neapolu. Odpychało jeszcze coś w niej samej będące, niejasne, niewytłumaczone nawet, a jednak jak małe żdźbło w sercu drażniło ono spokój Kasi i przyćmiewało często budzącą się namiętność. Lecz ta siła przemożna zwalczyła wszystko inne. Młoda, bujna krew wzięła górę i Edward odnalazł w niej dawną, upragnioną i pragnącą kobietę, która była także przez dłuższy czas szalem jego zmysłów...

— War... puść... tchu mi brak! — jęknęła, odsuwając go lekko od siebie.

Nie słuchał, przegiął ją mocniej i mając zwieszoną na ramieniu, pieścił ustami jej usta rozpalone zarzewiem jego warg łaknących. Jej włosy obsypały mu ramiona, więc zanurzył w nich swoją twarz i całował lśniąco ciemną miedzią miękkie zwoje i przenosił gorejące usta na jej oczy i białą giętką szyję.

Poddawała mu się już bez oporu, bez tego czegoś, co w niej poprzednio odczuwał a co uważał za rezerwę i co go gniewało.

— War... drogi... Jesteśmy w wagonie.

— Niech to będzie nawet piekło! Dopiero dziś odczuwam, żeś moja i że nią być nie przestałaś. Kachna!... Moją jesteś i tą samą co dawniej... Nieprawdaż?...

Wniknął oczami w jej zmacone źrenice i mówił jej słowa dawne, ukochane, pieścące i odurzające do utraty zmysłów.

— Nieprawdaż? — powtórzył. — Jesteś moją i być nią nie przestałaś?...

— A ty War? — wybiegło mimowolne pytanie. Pochylił się i czołem zakrył jej usta...

Trwali tak długą chwilę w uścisku.

Kasia nie chciała więcej pytać. Uniosła się na palcach i serdeczny, dobry pocałunek złożyła na jego czole, którym zgłuszył nieopatrzne słowa, mogące zepsuć urok tej chwili. On ją zrozumiał, ucałował jej, dłonie, usiadł i wziął ją na kolana. Przygarnął do siebie jej szczupłą] zręczną postać. Położyła mu głowę na ramieniu i rzekła cicho, nieśmiało:]

— Możemy być z sobą szczęśliwi, War, gdybyś tego chciał.

— Teraz ja spytam, a ty?...

— Ja tego pragnę całą duszą, zapomnę wszystko. Dla odzyskania ciebie wyrwę z duszy ból... zniszczę ten obraz...

Ucięła przestraszona.

— Jaki... obraz?

Ukryła twarz na jego ramieniu.

— Wiem już... tyś widziała mnie w Neapolu.

Zatrzęsła się, nie mogła wypowiedzieć słowa. Edward, tuląc ją do siebie, mówił swobodnie i miękko.

— Nie lękaj się, nie będziemy tego roztrząsali. Zbyteczne! Nie czynisz mi żadnych wymówek, nie pytasz o nic i jestem ci za to wdzięczny. Ty wiesz, kłamać nie umiem, to zbyt niskie, tłumaczyć się — o nie! to nie w moim typie. Nic nigdy nie obiecuję, gdyż nie wiem, czy spełnię. To czasem nie od mojej woli zależy. A czy mam wolę — także nie wiem. Może zamiast woli mam chimere, zamiast postanowienia — kaprys? Nie wiem!... Znałaś mnie takim już wtedy, zanim spotkaliśmy się z sobą... Dużo, bardzo dużo szczęścia, upojeni rozkoszy doznałem z tobą... Twoja świeżość młodzieńcza była mi dołą życia konieczną, była zachwytem i podniętą... Dla kogo innego stałaby się złotym łańcuchem skuwającym na całe życie.

— Nie mów nic więcej, War, nic więcej! bo żeby nie wejść na śliską ścieżkę — szepnęła Kasia. — Żyjmy dniem dzisiejszym, jeśli tego na razie chcesz. Może potem, może się coś dobrego dla nas w życiu uśmiechnie. Mam najlepszą wiarę w naszą przyszłość. I.. i nie chcę ciebie skuwać... pragnę jeno przyciągać... byś się nie oddalał z mojej przyczyny.

— Z twojej przyczyny?... Ach, Kasiątko drogie, jesteś dzieckiem, mówiąc nawet coś podobnego. Czyż to ty mnie oddalasz?... Nigdy!

— Wyrzucam sobie, że właśnie ja, skoro nie zdołałam zatrzymać ciebie.

— Ależ, mylisz się Kąty. Nic mnie zmienić ani powstrzymać niej zdoła, bo to wszakże moja natura, moja chimera, więc równoważnik — I jedna całość. Z przyrodzoną siłą natury nie ma walki...

Kasia nagle przypomniała sobie słowa Dębosza, wypowiedziane w Wenecji. „Pani go nie ocali, bo to nie dur, to natura”. Wstrząsnęła się. Jakąż on posiadał moc intuicji.

— Drżysz Kasiątko, widzę, że mi nie ufasz, to słuszne! Czyż ja sam sobie ufam? Gdyby tak, mógłbym się zdobyć na jakąś wolę...

— Można się zawsze zwalczyć, opanować nawet chimere.

— Nie wierz temu, moja droga. Może potrafią to ludzie bardzo trzeźwi o nerwach ze stali, ale tacy nie znają chimery tak samo jak ja nie znam walki ani opanowania.

Jakże ci dwaj ludzie różnią się od siebie — pomyślała znowu Kasia.

— Obecnie prócz rozkoszy odzyskania ciebie — mówił War z ożywieniem — mam inną jeszcze idee fixe... bardzo żywotną.

— Jaką? — spytała z leciutkim odcieniem nadziei w głosie.

— Mam przecucie, że wygram dużo.

— Wygrasz? co wygrasz?...

W karty. Wiesz, to fascynuje... Ostatnio, w Wiedniu nie wiodło się mnie. No, ale byłem zdenerwowany. Corovicini ograł mnie bezczelnie. Zrulował moją kieszeń do reszty. Włoszysko wszystkim tam dał się we znaki. No, ale czeka go odwet na całej linii.

Kasia przeraziła się. Powstała szybko z kolan męża i złożyła przed nim ręce.

— War, na miłość Bożą, co ty mówisz, co... zamierzasz?...

— Przeplukać kabzę Corovicini'ego i odebrać mu tylko to, co zabrał ode mnie... a jeśli się uda oddać pięknym za nadobne.

— War, ty zaniechasz tych myśli!

Ogarnęła jego głowę ramionami, twarz przytuliła do jego twarzy.

— To nie jest twoją naturą, War, mój najdroższy... Tyś nie grał nigdy! pamiętasz? Zawsze ironizowałeś z graczy, nazywałeś taką namiętność „usankcjonowanym rozbojem”... Czyżbyś ty teraz? To nawet chimera twoją nie może być nigdy, bo to przeciwne twoim przekonaniom i naturze twojej, zbyt wytwornej.

Zebrzydowski zaśmiał się i ucałował żonę.

— Kachna, nie przejmuj się. Cóż znowu! Nie grałem dawniej i nikt mnie tak podle nie obrabował. Ale gdy mnie ubliżył, to mu dawałem w pysk — pardon — i wyzywałem na pojedynek. Corovicini ubliżył mi ograwszy mnie do szczytu. Tego płazem nie puszcę. Chcę odwetu! Nie patrz na mnie tak boleśnie, Kasiatko! Jeszcze nie jadę i może na całą tę sprawę rzucę zasłonę albo w inny sposób Włoch odplaci. No, nie przerażaj się! Jesteś prześliczna z tą chmurą w oczach... Masz powab niesłychany i bierzesz mnie. Ach, jak ty mnie bierzesz, Kąty...

Jakkolwiek War zdawał się znowu być oddany Kasi, wrażenie jego pogróżek pozostało bardzo przykre i Kasia uczuła nowy niepokój, dręczący ją niewypowiedzianie.

Wkrótce po ich powrocie Kromiłów zaroił się od gości. Bawili tam Mohyńscy, Krystyn Zahojski, pani Beata Zebrzydowska i kilka innych osób młodych i wesołych. Zabawom, wycieczkom konnym i autami, grze w tenisa i w bilard nie było końca. Kasia ożyła po dawnemu. Promieniała radością, że War się bawi z humorem, ale gdy posepniał, Kasia drżała z lęku o niego. Owe zaś napady jego zdenerwowania powracały coraz częściej. W tymże czasie Kasia raz jeden z bratem swoim pojechała do Lwowa. Postępy przy budowie zachwyciły ją. Dziękowała gorąco Dęboszowi za jego zajęcie się tak gorliwie powierzoną mu pracą. Ale w nim dostrzegła zmianę ogromną, aż ją to zaniepokoiło i przykro dotknęło. Andrzej był sztywny, oficjalny nawet często szorstki. Tego względem siebie nie знаła zupełnie.

Przez krótki czas spotkania zauważyła, że on unika jej wzroku i że nawet z Zahojskim był swobodniejszy niż z nią. Nie chciała dociekać przyczyn tej zmiany i z najwyższym zdumieniem nawet pomimo, że była nieco urażoną, odczuwała głęboko na dnie serca ukrytą radość, że on jest takim właśnie a nie innym. Sama nie miała również wobec niego dawnej pewności siebie a nawet gdy on badawczo na nią spojrział parokrotnie, nie wiedzieć dlaczego zmieszała się. To ją zirytowało. Gdy pytała o Tomka, Andrzej odrzekł pogodnie.

— Dobrze się czuje, tylko tęskni do pani. Matka moja troszczy się o niego jak o syna, z bratem się zaprzyjaźnił. Zresztą jest wśród swoich, więc mu i dobrze.

— Jak to, czy on krewny pana inżyniera — zapytał Krystyn.

— Nie, ale pochodzeniem jesteśmy równi, to najlepsze a może i najbliższe pokrewieństwo.

Kasia zacięła usta. Krystyn rozprawiał na ten temat z Andrzejem, ale Kasia odeszła: Było jej przykro. Podrażniona, pytała Dębosza przed rozstaniem, nazbyt troskliwie, czy kierownictwo robót we Lwowie nie męczy go i czy ona nie nadużywa jego grzeczności.

Bo sądząc z dzisiejszego nastroju pana, obawiam się, że go wyzyskuję. To byłoby dla mnie zbyt dreczące i musiałabym jakoś zaradzić — dokończyła trochę nerwowo.

— Proszę być spokojną. Obiecałem, podjąłem się tej pracy i wypełnię do końca. Nie rządę się fantazją ani kaprysem, o nastrojach żadnych nic nie wiem. Dane słowo jest moim obowiązkiem i prawem.

...On się chimera nie rządzi, nie zna jej, jak mówił War — pomyślała Kasia. Ale nerwów i on nie ma ze stali...

I rozumiała już doskonale zmianę usposobienia, jakiemu uległ Andrzej.

...Jakże ci dwaj ludzie różnią się zasadniczo... nurtowała w niej uparta myśl.

A tymczasem Krystyn był zachwycony Dęboszem i po powrocie do Kromiów opowiadał o nim szeroko.

Hrabia August z założonymi rękoma za plecy stał przed nim, pochylony naprzód i dolną wargą przeżuwał nieustannie, wysuwając ją naprzód i cofając w dół. Mohyński wierzył Zahojskiemu, więc jego zdanie o Dęboszu utwierdziło jego własne poprzednie wrażenie.

— Tak, tak, tak!... to prawdziwy dąb — powtarzał kilkakrotnie to samo. Widziałem go bardzo krótko, ale przeniknąłem. Dzielną jednostką być musi! Szkoda tylko, że tego... owego... chłop.

— Masz sobie! — zagrzmiała hrabina Oktawia. — Ty, Guciu, zawsze będziesz żale swoje wywodził nad kwestiami najbardziej naturalnymi. Zawsze pozostaniesz optymistą własnej sfery, z której według ciebie pochodzi jedynie wszystko to co mądre, dzielne i doskonałe.

— Chciałbym, by tak było. Ale tego... owego... stara, kosztowna tabakierka leżąca u antykwariusza, także chciałaby znaleźć się jeszcze w kieszeni... króla Stasia.

— Ten Dębosz to kolega Kasi? — spytał Zebrzydowski.

— Tak i przyjaciel — rzekł Krystyn.

— Przy... jaciel?...

— Cóż chcesz? inteligentny, bardzo zdolny, inżynier, działacz, ideowiec...

— I co jeszcze?... A na zakończenie tej litanii nie zapomnij dodać — chłop, zamiast amen.

— Cóż z tego, War, że ciebie to gniewa — jęknął Mołyński. Jednakże kto wie czy — amen — nie odpowiada bardziej nam, niż takim Dęboszom? W zestawieniu z nami snadniej jakoś pasuje... Oktawcia ma rację! My, uważasz, to stare stylowe pałace, trochę już w ruinie, trochę łatanne, trochę walące się, dopiero w których zmurszałe papirusy, pergaminy portrety i różne antyki jedzone są przez mole zapomnienia i szarpane przez różne gryzonie współczesne, czasem niesprawiedliwie. A wiesz dlaczego? Oto, że nie potrafimy sami strzepnąć z siebie pyłu przeszłości.

- To cały nasz urok — zawołał War. Stare zbroje mogą być pucowane tylko Przez profanów.

- Ale stare walące się pałace zawsze będą zdystansowane przez nowoczesne drapacze nieba. Takim właśnie przykładem drapacza nieba jest Dębosz.

- Myli się wujeczek — zawołała żywo Kasia. Dębosza można porównać faczej do solidnego domu w zagrodzie naszej polskiej wsi, której przyszłość jest w sferze ideałów możliwych do osiągnięcia.

- Nasza rozmowa nie pozwala wątpić, że gospodyni domu jest architektką — zaśmiał się War, przerywając.

- Kultura naszych wsi — ciągnęła Kasia — organiczna, moralna i zewnętrzna ale z zachowaniem tradycji...

- Rodowych — sarknął War z ironią.

- Rodzinnych — poprawiła Kasia, z naciskiem — jest marzeniem

Andrzeja. Jako obywatela kraju i jego przyszłości mocnej i nowiej, szlachetnej religijnej, szanującej tendencje.

- Pradziadowskie! — znowu wtrącił War szyderczo.

Polski i narodowe, Andrzej nie jest wzorem drapaczy nieba, lecz obrazem kulturalnego chłopca przyszłości.

- Co - za Andrzej? po co Andrzej? czy nie wystarczy Dębosz? — irytował się Edward. — Skąd ta poufałość między Zebrzydowską a jakimś Dęboszem?

- On jest moim kolegą. Nauka i koleżeństwo zatracą wszelkie tego rodzaju różnice polegające na brzmieniu nazwisk...

— Tylko nazwisk?

- Emocjonalnie łączy nas nauka i praca. Osiągnięta zaś stąd wiedza daje umysłom możliwość głębszej oceny walorów duchowych człowieka, niż jego rodowody.

Kasia wypowiedziała to bardzo żywo i wyszła z pokoju.

- Brawo, brawo Kachna! umie bronić swoich ideałów spod strzechy — śmiał się Edward.

Pani Beata dostała sztucznych spazmów, którymi się jednak nikt nie przejął jako ze byty zbyt często powtarzającym się efektem i mało efektywnym - wedle opinii Wara.

Mohyńska wesoło coś dowodząc, podreptała za Kasią, War najspokojniej usiadł do fortepianu a Mohyński założył ręce za plecy, wysunął dolną wargę i zaczął nią przeżuwać.

- Bast — wypowiedział wreszcie jedno jedyne słowo.

- Co to znaczy? — spytał Krystyn z humorem.

— To znaczy, że wy młodzi zaczynacie dźwigać nasze stare pułapy, opajęczynione przesądami. To znak, że z naszych ruin wystrzelą potężne wieżycy nowych poglądów i działań. Co to jednak jest kultura! Im bardziej wiekowa, tym łatwiej odczuwająca ciężar naszej pleśni.

— Ja jednakże pozostanę przy tej szanownej pleśni naszej — rzekł War melancholijnie.

— Tak, ty już nie wystrzelisz żadną wieżycą, najwyżej jakimś nowym konceptem... tego... owego... afrykańskim...

Hrabia kiwał głową przytwierdzająco w stronę Wara.

— Może teraz azjatyckim dla odmiany — śmiał się Krystyn do szwagra. No, War, czy się zaaklimatyzujesz u nas na dłużej czy znowu przyśniesz do jakich Biarritz na początek?

War patrzył na niego lekko, z cichą piosenką francuską na ustach.

— Może zacznę od Wiednia — rzucił mimochodem.

— Ach Wiedeń! Wiedeń!... Ale cóż pomoże tęsknota, skoro... Mohyński wyciągnął obie kieszenie ubrania na wierzch podszewką i dokończył patetycznie:

— Skoro takie status quo. Basta! Zebrzydowski uderzył silniej kilka akordów. ...U mnie to samo — stwierdził w myśli.

Od tamtej pory każde rozdrażnienie Edwarda, wybuchające coraz częściej, kończyło się na Dęboszu. Kasia zacięła się w sobie i nie podchwytowała tematu co doprowadzało do większego zdenerwowania Wara. Usposobienie jego stało się trudne ponad wszelką miarę. Albo był zły i zdenerwowany, sam nie wiedząc czego chce, albo satyryk chlaszczący wszystko i wszystkich swoim szyderstwem, albo krańcowy apatyk. Wtedy odbywał całodniowe nieraz siesty przy czarnej kawie i koniaku, półleżąc w fotelu, zamknięty w swoim gabinecie. Czasem znowu wpadał w okres czułości do żony i ubolewał, że jest dla niej „ananasem” i że ją męczy.

Męczył istotnie i niekiedy drażnił ją wyczerpując jej cierpliwość do ostatnich granic. Z mozolem zdobyta przez nią równowaga duchowa zaczynała się chwiać. Kasia zajęta gospodarstwem i interesami majątkowymi, oddawała się cichaczem swoim pracom architektonicznym. Tworzyła nowe projekty i plany, wszystko w najgłębszej tajemnicy przed Warem. Każdy jej bardzo rzadki wyjazd do Lwowa, wywoływał nowe scysje z mężem. Nie chcąc zdradzić się z czymkolwiek niepotrzebnym w listach do Dębosza załatwiała konieczne porozumienia drogą telefoniczną. Ale nawet to oburzało Wara. Wymawiał jej, że nie chce zastosować się do jego wymagań i być tylko jemu oddaną. To było już ponad siły Kasi. Wbrew najszczerzszym pragnieniom dogodzenia mężowi nie zdołała się przełamać a raczej złamać zupełnie. Pozostała sobą, brzydząc się narzuconego jej przez Wara stanowiska. Życie stało się ciężkie dla niej i niszczące jej ambicje. Przypominała sobie często słowa Edwarda w powrotnej drodze z Krynicy, „nic mnie zmienić ani powstrzymać nie zdoła, bo to wszakże moja natura, moja chimera”. Tak, to była jego natura i próżne są wszelkie wysiłki, by marzyć o jakiejś zmianie na lepsze — myślała z zalem.

Zastosować się zaś do niego było dla Kasi równoznaczne z pograżeniem się w nicość. Ale jej to nie groziło, raczej wszystko niż to. Za dużo było w niej mocy do życia innego. Zwalczając się przeto nawet nie próbowała. Sprzedaż Pochlebów ostateczna nie uczyniła na Warze zbyt silnego wrażenia. Zlekceważył sobie ten fakt i miał nowy powód do kpin z samego siebie. Wezwany przez Kmietowicza dla regulowania interesów podjął z Kromiłową dużą sumę pieniędzy, którą Kasia chciała pokryć długi zaległe i obowiązujące i wyjechał do Warszawy, szydząc z siebie i z Kmietowicza, że „nareszcie Pochleby splewione”.

Kasia, korzystając z czasu, pośpieszyła do Lwowa. Zadowolona z postępu robót przy budowie, wróciła do domu raźniejsza. Dębosz pokrzepił znowu jej ducha, czuła jego opiekę moralną nad sobą i nieco jaśniej patrzyła w przyszłość...

Może właśnie upadek Pochlebów będzie dla Wara przełomem na lepsze? Może zrozumie ją bardziej, może nie będzie jej krępował i sam otrzeźwieje?

Kasia pod wpływem Dębosza i jego tężyzny widziała już wszystko w jasnych barwach. Powzięła zamiar pojechania do Warszawy po Wara, gdy nadszedł telegram od Kmietowicza:

„Edward długów nie spłacił, wyjechał za granicę nie wiem dokąd. Zawiadomił mnie, że wróci wkrótce. Dłużnicy nalegają, sprawa pilna. Przyjazd pani konieczny”.

Papier zaszeleścił gwałtownie w drżącej dłoni Kasi.

RS

ROZDZIAŁ XV

W zagrodzie Dęboszów Franka wpadła do kuchni, łapiąc się za głowę i wrzeszcząc:

— Rety! A to kiej przed jakim pałacem maszyny ci w obejściu warcom, że jaż ha! Pani gospodyni, ady gości do nas nawaliło!...

Dziewczyna zajrzała do izby Dęboszowej.

— Gdzież ta pani jest? La Boga, to pani gospodyni nie słyszm?

— Słyszę, ino przecie ogarniam się krzynę. Akurat jęłam się szykować na wotywę, kiej goście zajechali. Zawiąż mi chustkę, Franka, ręce mi latają z pośpiechu. A zrób piękny węzeł, duchem! Syn przyjmuje w świetlicy, rychło tu po mnie wpadnie.

— Kto ci to jest taki? bo ino pana z Poturzyc znam — pytała zdyszana dziewczyna.

— Syn krzyknął do mnie, biegnąc do gości, że to państwo Strzeleccy i państwo Pobogowie z synem i córeczką. Żywo biegaj po Felka! Palić trza pod płytą, kawę gotować. Ty ruszaj po kurczaki!

— Ila ich zaślachtować?

— Z mendel abo więcej, a wybieraj co tłściejsze. Warzywa przynieś z sadu. Może by Tomuś śliwek renklodów narwał.

— Dyć do obiadu nie rychło. Przódzi trza śniadanie warzyć.

— Prawda, prawda! Idę po masło i ser. Chwała Bogu, wszystko i chleb wczorajszy, świeży. Daj garnuszek na śmietankę, żywo.

Felka wołaj!

— Aha juści, stoi ci jucha przed maszynami i z sioferami gada. Tera go i nie zawołasz. A Kadej jeszcze w stajni obrządza.

Do kuchni wpadł Andrzej i zawołał wesoło.

— Mamo, proszę do nas! Mamo!

Kobieta zaczerwieniona weszła z synem do świetlicy trochę nieśmiało. Ale tu otoczyły ją zaraz Teresa Pobożyna i Dada Strzelecka. Witały się wesoło. Dęboszowa podawała im rękę rozbrojona wdziękiem młodych kobiet. Strzelecki witał matkę Andrzeja jak dobry przyjaciel, przedstawiając Poboga, który znowu prezentował jej czternastoletniego syna i jedenastoletnią hożą dziewczynkę.

— Oto piękna parka — zachwyciła się Dęboszowa, całując Joasię. To tylko dwoje państwo mają?

— Ale gdzież tam — zawołał wesoło Pobóg. Młodszych dwoje zostało w domu.

— Nasz dwuletni synek także został, na gospodarce, w Słowohorze — pochwaliła się Dada Strzelecka. A to co za chłopczyk? To może ow Tomek, o którym pan opowiadał — spytał Dębosz.

— Tak, to on, Tomek, chodźże prędko, przywitaj się. Ale chłopiec zdyszany, na widok obcych mu pań zmieszał się okropnie. Podniósł chabrowe oczy na Dębosza i wyszeptał:

— Ja myślał, że to pani dziedziczka z Kormiłowa. Toć ma przyjechać do nas...

Cień przeleciał przez twarz Andrzeja.

Tomek uklonił się onieśmielony, ale uściskany nabrał odwagi a już z Joasią i Cisiem poszło bardzo gładko. Przybył jeszcze brat Andrzeja, uczeń siódmej klasy, Wojtuś Dębosz. Jako najstarszy z młodszej kompanii objął od razu ster i z Cisiem Pobogiem, Joasią i Tomkiem chcieli wędrować do ogrodu ale Dęboszowa zaprosiła do stołu. Śniada-nie przeszło na wesołej pogawędce. Dęboszowa rozlewała kawę, mleko, krajała razowy i biały chleb, podawała masło i ser z kminkiem, szynkę, rozmawiając przy tym swobodnie z gośćmi, którzy jedli z apetytem, opowiadając wrażenia z podróży.

— Jakie ładne są Zagórzany — mówiła Teresa Pobożyna. — Taka Prawdziwa wieś i taka kulturalna. Słyszac od męża o pańskim domu same zachwyty a potem od Jurka, naparłyśmy się obie z Dada, aby Poznać siedzibę państwa. Jedziemy ze Słowohory, gdzie już jesteśmy od tygodnia! ...Ale to szalony kawał drogi.

— Mamuś, z Krążą jeszcze dalej — odezwała się Joasia, błyskając Wesoło oczami ku bratu. — Bo ja się z Cisiem założyłam, że od nas dalej do Zagórzan i chcę wygrać.

— Już wygrałaś — odrzekł Roman Pobóg — do Krążą dużo dalej.

— Aha! A co! widzisz Ciś!

— Ale z Uchani dużo bliżej niż ze Słowohory — bronił się uczeń — a ja mówiłem, że od nas tylko, nie z Krążą.

— Kręcisz Ciś. Tatuśku, on kręci...

Wtem Tomek zerwał się z krzesła cały w ogniu rumieńca. Posłuchał sekundę i krzyknął podnieconym aż dygoczącym głosem.

— Pani dziedziczka jedzie!

Wypadł ze świetlicy. W mgnieniu oka Andrzej także runął w drzwi bez słowa wyjaśnienia. Jednocześnie wbiegła do świetlicy gruba Franka i wrzasnęła, po swojemu:

— Znowu jauto wali! La Boga!

Przy stole zaległa chwilowa cisza. Trąbka samochodu warczała już przy podjazdowej bramce.

— Czy to Zebrzydowska? — spytała cicho Dada.

— Naturalnie — odrzekł Strzelecki.

— Pewnikiem, że to pani z Kromiów, bo pisała, że przyjedzie po Tomka.

Dęboszowa kręciła się jakoś niepewnie, więc Terenia jej dopomogła.

— Niech pani idzie przywitać gościa, proszę, my tu sobie damy radę.

Gdy gospodyni wyszła, panie zamieniły z sobą szeptem parę uwag, ale mężczyźni dosłyszeli.

— Czy ci nie mówiłem? — uśmiechnął się do żony Strzelecki.

— A Pobóg rzekł, pochylając się do kobiet z żartobliwym błyskiem w oczach.

— Szczególnie spotkanie się trzech flam Wara i bez niego.

Ale on już znowu buja w świecie. No, Teres, my wszakże znamy panią Kasię.

Pobożyna powstała.

— I bardzo lubimy, więc chodźmy.

— No, jeszcze chwilę — wstrzymał ich Strzelecki.

Tomek dopadł pierwszy do auta i wskoczył na stopień zanim stanęło. Ale już i Andrzej był. Prawie wyniósł Kasię z limuzyny. Powitali się w milczeniu, bo Tomek nie dopuścił do słowa i nagle w zapale szalonej radości zarzucił na jej szyję ręce i przytulił jasną głowę do jej piersi.

— Pani moja! kochana moja pani! — wołał uszczęśliwiony, i znowu całował ją po rękach, śmiejąc się z nadmiaru radości. Kasia była szczerze wzruszona, uściskała chłopca i przemawiała do niego serdecznie.

Ale gdy Andrzej ją wiódł do ganku, ujrzała z boku na podwórzu stojące samochody.

— To u pana taki zjazd? Czy jakie zebranie?

— Spojrzeli na siebie. Promieniał.

— Państwo Strzeleccy i Pobogowie zrobili nam niespodziankę przed godziną.

— A, a...

Andrzej zdejmował z niej palto. Kasia odmotywała z kapelusza szarobłękitny woal, gdy weszła Dęboszowa.

— Moja matka — rzekł Andrzej jakoś uroczyście.

Powitanie tych kobiet było znamienne. Dęboszowa, spojrzawszy na syna, odczuła od razu, że trzeba zaznaczyć wobec Zebrzydowskiej coś wyjątkowego. Kobieta, nie wiedząc jak i co mówić, instynktem tylko

powodowana, wyciągnęła do Kasi ramiona pośrednio jakby w zachwycie czy niezmiernym uradowaniu. Kasia żywo podała jej obie ręce i pochyliła się wdzięcznie do jej ramienia. Uściskały się niespodziewanie dla samych siebie i dla Andrzeja. Dęboszowa zmieszała się trochę i znowu rzuciła oczami na syna. Takim go jeszcze nigdy nie widziała. Jakaś cicha, głęboka, ogromna radość płonęła w jego oczach, pochylił nagle swą wysoką postać do rąk Kasi.

— Witam drogą koleżankę w domu mojej matki i moim, całym sercem witam. Proszę do świetlicy na śniadanie.

Otwierał drzwi, gdy weszli do sieni Pobogowie. Kasia widziała ich jeszcze w dniach największego szczęścia z Warem, gdy składali wizyty w Uchaniach. Poczula się teraz nieco skrępowaną. Ale Terenia, mistrzyni w łataniu wszelkich sytuacji drażliwych, od razu ujęła Kasię tak, że już i spotkanie z Dadą, była narzeczoną Wara, wypadło najmilej i zapanowała od razu dziwnie szczerą i przyjacielską pogodą wśród gości zebranych.

Kasia swoją prostotą i łatwością obejścia pozyskała sobie wszystkich. Z Dadą Strzelecką przyglądały się sobie dyskretnie, ale ciekawie. Kasia poczuła się tu dobrze i swojsko, nabrała jakby ożywczego tchu w piersi. Odnoszenie się do niej Andrzeja miało w sobie wymowę dla niej tylko zrozumiałą i niesłychanie drogą.

Po śniadaniu rozmawiała z nim długo o pracach we Lwowie i powiedziała mu, że już znowu będzie mogła przejąć je na siebie. O Warze milczała. Dębosz wiedział o wyjeździe Zebrzydowskiego i o tym, że Kasia spłaciła wszystkie zaległe długi z Pochlebów, wynoszące bardzo pokaźną sumę. Ale nie zdradzał się z posiadania tych, ogólnie już znanych wiadomości. Na projekt Dęboszowej, aby pójść na sumę do kościoła zgodzili się wszyscy skwapliwie, postanawiając iść piechotą.

Poszli drogą wysadzoną wiśniami, pośród zagród mniejszych i większych, obok ogródków, w których kwitły jesienne georginie i wielkie jak złote tarcze słoneczniki. Ze wszystkich opłotków i zagród wychodzili mężczyźni, kobiety i dzieci, przybrani świątecznie, dążąc do kościoła, bo dzwony już wołały, na całą wieś i pola roznosząc uroczysty zew. Im bliżej świątyni, tym większe tłumy ludzi zaległy drogę. Gościom Dęboszów przyglądano się ciekawie a z Andrzejem i Strzeleckim gospodarze witali się po bratersku. Gospodynie pozdrowiały Dęboszową przyjaźnie, ale były i zawistne spojrzenia na tę grupę idących z Dęboszami panów. Kasia była w wybornym usposobieniu. Tomek opowiadał jej o wsi różne szczegóły i o tym, że Wojtek Dębosz nauczył go jeździć konno.

— Czasem w niedzielę albo wieczorem, po robotach to i pan Andrzej jeździł z nami konno daleko, daleko! — mówił chłopczyna rozbawiony. Ale pan Andrzej jeździ doskonale i ma bardzo ostrego konia. Na niego bałbym się jeszcze wsiąść bo i łatwo ponosić potrafi. A pan Andrzej skacze na nim przez płoty i rowy, że aż mnie strach patrzeć. Może i ja się kiedy wyuczę tak jeździć. Widzi pani dziedziczka ile narodu idzie do kościoła? To u nas każdej niedzieli tak samo.

Kasia słuchała z zajęciem opowiadań Tomka i ciekawie patrzyła dokoła.

Wrażenie silne wywarła na niej ta droga pełna ludu spieszącego do kościoła i ten spacer wśród zagród wiejskich, pieszy, współ z całą gromadą. Pierwszy raz w życiu szła w ten sposób zapyłoną drogą, zbłąkana w tłumie wieśniaków. I zdumiewała się, że było jej tak jakoś odmiennie a tak miło, że się czuła swobodna, jakby odpadły od niej wszelkie troski a jeno młoda ochota do życia pozostała w duszy. Takiej pogody jaśniejącej i radosnej, takiej słodczy, która wnikała w jej serce, Kasia nie znała od dawna. W onej minucie ostatnie jej przeżycia z Warem w Kromiłowiu i on sam, były dla Kasi bardzo daleko odsunięte i pokryte jakby szaromglistą sreżogą. Gdy Kasia zbliżała się ku niej myślą odpychał ją chłód nagły, dziwnie przykry i powracała znowu ku tej wsi słonecznej, szukając ratunku przed wspomnieniem, które bolało. Zamyślenie Kasi zwróciło uwagę Dębosza. W pewnej chwili podsunął się do niej. Uważnie na nią popatrzył.

— Pani zapewne nigdy jeszcze nie szła tak do kościoła pośród ludu i piechotą, nieprawdaż? Jest to dla pani nowością ale chyba miłą?... Sądzę z wyrazu pani twarzy.

Kasia spojrziała na niego trochę łzawo.

— Tak i bardzo nowe i bardzo miłe — odrzekła szczerze. Zdaje mi się, że jestem na innym świecie. Oddycham lżej. Pomimo, że to sierpień jest tu wiosennie. Może wrażenie wiosny zawiera się w tej pogodzie rozlanej dokoła. Jest to wrażenie zewnętrzne, wierzę w to, bo i tu ludzie zmagają się z życiem, walczą, męczą się niejednokrotnie, ale jednakże prostota bytu daje prostolinijność natur a co zatem idzie pogodę duszy. To dar życia bodaj czy nie najhojniejszy.

— Tak — odrzekł Andrzej — bo małe wymagania dają zawsze większą pogodę ducha. Cywilizacja, wnikać w pierwotność natur wytwarza już pewien bunt. Fermenty się są rzadkością wśród nas obecnie. Zbudzona świadomość rodzi nowe pragnienia, nowe dążności, ale jeszcze nie zdolna jest ześrodkować ich w sobie i do siebie przystosować. Dopiero gdy oświata będzie się szerzyć w najlepszym kierunku, gdy rozwój umysłów podniesie i uszlachetni nas, słowem gdy kultura stanie się drugą naturą naszą, wtedy

nastąpi zupełne zrozumienie siebie i swoich potrzeb duchowych, w zastosowaniu ich do warunków bytu i jego celów ogólnych. I wtedy znowu te silne, ukształcone jednostki powrócą do jasnego poglądu na życie i świat, do owej drogocennej pogody duszy.

— Dlaczego pan mówi nas i naszych, zamiast ich? Andrzej spojrzał jej śmiało w oczy.

— Dlatego, że ja pochodzę z nich, jestem chłopem, jednego z nimi szczepu i natury.

— Ależ różni się pan od nich zasadniczo przez ową kulturę duchową i umysłową, osiągniętą i uszlachetnioną w stopniu...

— Jeszcze niewystarczającym — podchwycił żywo. — Jeszcze moje przeobrażenie się nie jest w pełni, nie ratuje mnie od... buntów i fermentów duchowych, które w sobie przetrawiam. Jeszcze moja ewolucja nie doszła do tego punktu kultury by nastąpiła równowaga duchowa, dająca zrozumienie swoich warunków bytu i swoich celów, bez niezdrowych mrzonek. Jam dotąd jeszcze drogocennej pogody duszy nie osiągnął. Muszę ją zdobyć za wszelką cenę!

Umilkł.

Kasia podniosła na niego oczy. Miał brwi ściągnięte w energiczny łuk, powieki spuszczone. Cała twarz jego wyrażała skupienie i mękę. Odczuł jej wzrok. Spojrzeli na siebie i on powtórzył, idąc za biegiem swojej myśli.

— Muszę, bo to dla mnie równoznaczne z życiem i czynem lub zanikiem własnego ja... zatem ze śmiercią moralną.

Kasia wyczytała w jego oczach przewodnią myśl jego słów.

— Kto tu mówi o śmierci w taki cudowny sierpniowy dzień? — odezwał się przy nich Strzelecki. — To ty, Jędrzek? Wybacz, że nie wierzę. Zbyt silną jesteś jednostką społeczną, że już nie mówię o twojej osobistej tężyznie duchowej. Tacy ludzie, jak ty, zdobywają wszystko, co zdobyć chcą, nie upadając nigdy na duchu.

Andrzej milczał Kasia również.

Strzelecki miał nieokreślony uśmiech na ustach.

— Tacy ludzie jak ty, Jędrzek, walczą do upadłego o swoje idee i zwyciężają!

— Przeceniasz mnie — odrzekł Dębosz niechętnie.

— Znam ciebie. Zwyciężają i nie runą, ponieważ walczą tylko i zawsze o cele, bodaj najtrudniejsze do zdobycia ale możliwe. Nie idą nigdy na ślepo ani z wiatrem w przegony, bo jasny wzrok, instykt czy intuicja wskazuje właściwy kierunek a to już jest połowa zwycięstwa.

Kasia zaczerwieniła się gwałtownie, Andrzej także okrył się łuną rumieńca, jakby na nich razem padł jeden gorący promień słońca.

I w tej samej chwili weszli do kościoła. Stanęli w bocznej nawie gdyż ławki były zajęte. Wśród zebranych ludzi zaczęły się szepty jakiegoś i spojrzenia na grupę Dęboszów i ich gości. Za chwilę z pierwszej z brzegu ławki wyszli chłopci, ustępując ją grzecznie przybyszom. Dębosz wprowadził tam kobiety i dzieci, mężczyźni stali obok. Kasia siedziała z brzegu, tuż przy niej stał Andrzej. Przez cały czas trwania nabożeństwa oboje odczuwali obecność swoją przy sobie. I jakby bliskość ich wpłynęła na jednakowy kierunek ich myśli, rozpamiętywali słowa Strzeleckiego. Tylko Andrzej miał jakąś potęgę w duszy, Kasia zaś była trochę spłoszona. Zrozumiała wybornie, że Strzelecki mówił to celowo, zatem przeniknęła najtajniejszą skrytkę jej serca, jeszcze dla niej samej niezgłębioną.

Ze zdumieniem spostrzegła w sobie rażące sprzeczności. Oto ostatnie słowa Andrzeja do niej przed wtrąceniem się do ich rozmowy Strzeleckiego, wywarły na niej wrażenie ogromne, miłe i drogie, podczas gdy uwaga Strzeleckiego dotknęła ją mniej przyjemnie. Kasia błąkała się w odczuciach własnych niepewna, które jest prawdziwsze.

Z jednej strony Andrzej, stojąc blisko, nasuwał jej ciągle upartą myśl o jego słowach „nie osiągnąłem pogody duszy, muszę ją zdobyć, bo to równoznaczne z życiem lub zanikiem samego siebie”.

Z drugiej strony siedząca obok Dada Strzelecka w dziwny sposób kojarzyła się z przykrym przypomnieniem Wara i tym bardziej słowa Strzeleckiego „tacy jak Andrzej nie idą nigdy na ślepo, bo intuicja ich wskazuje właściwy kierunek a to już połowa zwycięstwa” — zaniepokoiły Kasię.

Stanął War przed jej wyobraźnią. Zdławił ją gorzki żal i ból gnębiący. War był już dla niej nieuchwytny. Gdzie jest i co się z nim dzieje? Wyjechał i przepadł. Znowu ani wieści, ani słowa od niego. Mówił Kmietowiczowi, że wkrótce wróci, więc dokąd się udał? Po otrzymaniu wiadomości o jego wyjeździe Kasia odgadła od razu, że pojechał grać. Nie zwierzyła się nikomu z tego przypuszczenia, będącego dla niej pewnością. Początkowo chciała natychmiast jechać do Wiednia, ale już nie starczyło jej sił duchowych. Nie mogła! Lecz Krystyn Zahojski i Mołyński przypuszczali to samo, i nawet nadmienili coś o możliwości gry. Widocznie zdradził się kiedyś przed nimi. Wtedy Kasia ubłagała brata, by pojechał i odszukał Wara. Okazało się jednakże, że Edward w Wiedniu był tylko przejazdem. Dokąd wyjechał, nikt nie wiedział. Po powrocie Krystyna zaczęły się dla Kasi ciężkie dni walki z rodziną, która skłaniała ją do rozpoczęcia kroków

rozwodowych. Edward zaciążył już na Kromiłowie tak poważnie, że Zahojski przeczując upadek rodzinnego majątku i ruinę Kasi, występował już bezwzględnie. Rodzice jej mieszkający stale za granicą, gdzie mieli posiadłość, odezwali się także z protestem przeciw Zebrzydowskiemu, obiecując przez swoje stosunki ułatwienie rozwodu. Nawet oboje Mohyńscy byli za tym i popierali Zahojskich, nie szczczędząc Wara. Kasia oparła się stanowczo myśli o rozwodzie. Nie kochała Wara, miłość jej dawna do niego rozviała się ostatecznie podczas jego pobytu w lecie. Pozostała już tylko gorycz trująca serce. Rozwód byłby dla Wara ostatnią zgubą a Kasia chciała go ratować. War teraz wzbudzał w niej nieznośne dla niej samej uczucie litości. Z chwilą, gdy ono zbudziło się w niej urok Wara i jego na nią wpływ runął bezpowrotnie. Lecz nie zaniechała myśli o jego ratunku. Własne życie było już dla niej przekreślone. Pozostawała praca, która miała być jej celem i wypełnieniem pustki życiowej, wraz z Tomkiem i jego przyszłością. Ale w sercu Kasi było jeszcze coś, co domagało się zrozumienia i co ją niepokoiło. Obecnie czuła w sobie wzrastanie tej mocy, bo już tak nazwać ją musiała. Szła ku niej także nie na oślep — ale z ufnością dziwnie pociągającą i z porywem bardzo żywym. O ile myśli o Warze męczyła jak potworna groza przyszłości, o tyle Andrzej przyciągał ją ku sobie siłą, nową. Koił jej stargane nerwy i napawał wiarą i przywiązywał ją coraz bardziej do siebie. Stał się już dla niej koniecznym uzupełnieniem życia. Zgnębiona i smutna biegła zawsze do niego jakby po ratunek duchowy. Przy nim uspokajała się nabierając nowego zasobu sił. Łagodził ją i trwożył jednocześnie, ale trwoga ta nie była przykrą, raczej przeciwnie, działała

ożywczo. I teraz Kasia stwierdziła to samo w odczuwaniu bliskości Andrzeja. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Był mroczny. Zatracił istotnie dawną pogodę. Jego wzrok spłynął ku Kasi. Drgnęła ale nie odwróciła oczu. Trwali tak przez chwilę, jakby nic nie istniało kłępującego ich wyznań wzajemnych. Wypowiedzieli sobie w onej minucie bardzo dużo.

Raptowny ostry głos dzwonka od ołtarza rzucił ludzi na kolana.

Dębosz przyklęknął tuż prawie przy kolanach Kasi. Musiała zapanować nad sobą by nie pochylić się ku niemu, by nie wyciągnąć do niego ręki. Poprzez splecione palce widziała jego twarz; przybladł, skurcz jakiejś walki był w ściągnięciu brwi i zaciśniętych ustach jego. Gdyby nie klęczący obok Strzelecki i Pobóg, Andrzej nie potrafiłby się zwalczyć, by nie dotknąć czołem splecionych dłoni Kasi.

Po nabożeństwie towarzystwo zaproszone przez księdza poszło na plebanie, po czym razem z proboszczem na obiad do Dęboszów.

— Idom już idom! — wołała Franka stojąc za węglem domu od strony kuchni. — La Boga, a toć to piękne te panie aż oczy bólowi patrzyć. Felek chodź ino tu, przypatrz się krzynę. Gadaj, która la ciebie najudatniejsza? A gęby tak znowuj nie ozdławiaj. Cie! widzisz go jaki ciekawy!

— Kiej patrzyć, to patrzyć. Wszystkie unie piękne. Najchybciejsza ta co ostatnio przyjechała tym jautem kiej lustro.

— Aha, to Tomkowa dziedziczka! Pewnie co tak, śwarna jest. Nasz pan jak zorza był kiej ją witał. Musi on ją lubić. Ojej!...

— Toć ona męża ma. A czemu on nie przyjechał?

— Tomek peda, że on okrutnie wielgi pan i srogi.

— Musi tak ono i jest, bo jak ja sie pytał siofera czemu pani sama przyjechała, to najpierw nie chciał do mnie wcale gadać, a potem to powiedział tak: pan je na swoim majątku a pani na swoim, i tyło. Tak ja sie w mig dorozumiał, co razem nie mieszkają, no to i razem nie jeżdżom.

— Akurat ci takiemu kulfonowi siofer wielgich państwa zaro prawdę powie! Juści! A ja miarkuję co tam je jakiś sekret.

Gospodyni idzie! — ostrzegł Felek. Oboje pobiegli do kuchni.

ROZDZIAŁ XVI

Dębosz oprowadzał gości po swoim gospodarstwie.

Interesowali się wszystkim i podziwiali wzorowy porządek, panujący tu na każdym kroku. Panie Pobożyna i Strzelecka zawołane gospodynie były ciekawe każdego szczegółu.

— Najwięcej to mnie obchodzi! — mówiła wesoło Dada — ponieważ my obecnie na Sławohorze mamy gospodarstwo rolne, mniej więcej takie same na razie. Zaczynamy wszakże uprawiać dopiero grunty, leżące od tak dawna odłogiem. Jurek gospodaruje w Poturzycach a na Sławohorze ja jestem administratorem — śmiała się.

Państwo tam mają lasy w większości i zresztą tam inne warunki gleby, zupełnie różny warsztat. Ja główny nacisk kładę na rolę i mleczarstwo — rzekł Dębosz.

— Widziałem pana lasek — mówił Pobóg — i prześliczną łąkę. Ileż pan wysiewa ogółem? Ciekawym, bo pola są w kulturze.

Andrzej zaśmiał się swobodnie.

Moje gospodarstwo wobec Uchani i Krażą wyda się panu zabawką. Mam ogółem sześćdziesiąt morgów, no więc to na nasze zagrodowe stosunki bardzo dużo. Wysiewam dwadzieścia morgów oziminy, połowa pszenicy, dziesięć morgów jarzyny, dziesięć przeznaczam na okopowe i tyleż na koniczynę. Trzy morgi łąki i lucerniki i pięć morgów wynosi lasek, który państwo widzieli. Pod ogrodem i budynkami mam z górą dwie morgi. Oto moja sadyba. Ale mam już sporo narzędzi rolniczych i siewnik rządowy.

— Krów Jędrak ma dziesięć sztuk i bardzo ładnych — wtrącił proboszcz — i sześć tęgich koni. A prócz tego kładzie nawozy sztuczne. Trzodę chlewną wyprzedaje bekonami gdyż to tu popłaca a odciągi mleka bierzemy z naszej udziałowej mleczarni w Zagórze.

— A gęsi tyle, że ha! — zawołał Tomek w ferworze. Wszyscy się zaśmiali wiedząc, że malec był przedtem gęsiarkiem.

— W wolnych chwilach od prac artystycznych biegł zawsze na pola — rzekł znowu ksiądz gładząc głowę pacholęcia i patrząc na Kasię ciekawie. Opowiadał mi dużo o swoim życiu zanim go pani zabrała do dworu.

— A czy nie tęsknisz Tomek do nor lisich? Tam było jego muzeum — objaśniała Kasia opowiadając o zwiedzeniu kryjówki Tomka.

Chłopak ciągnął ją za rękę.

— Chodźmy do sadu na śliwki, renklody. Som i węgierki ino jeszcze zielone, a zimowych jabłek i grusz tylachna! Włoskie orzechy prędko będą dojrzałe.

Kasia poszła z nim i wszyscy tam podążyli.

Z daleka ujrzeli Kadeja w sitku cudacznym na głowie, zajętego przy ulach. Jednocześnie podeszła do nich Dęboszowa. Uśmiechnęła się zakłopotana.

— Żeby państwa pszczoły nie pocięły, bo miodu podbieramy trochę na podwieczorek.

— A już też państwo macie tych uli piękny zastęp — zawołał proboszcz. — Trzydzieści sztuk jak jeden ul w ul, co roku przybywa. Pasieka rośnie jak na drożdżach aż pachnie patoką. Umykajmy stąd bo monstra się z nas porobią.

I proboszcz pierwszy dał przykład do odwrotu. Przeszli w głąb ogrodu między stare lipy, skąd poza parkanem rozciągał się widok na rzeczkę obrosłą olszynami.

— Pójdziemy tam, jakieś źrebięta na wygonie się pasą — zawołał Ciś Pobóg, podbiegając.

— To nasze — rzekł Wojtuś Dębosz — tegoroczne. A ten duży kasztan, rocznik od siwki, ale ona już sprzedana.

— Widzi pani jak to ten bąk wszystko wie! — śmiał się ksiądz. — Nieodrodny Dębosz. Ale ty wszakże masz być lekarzem kochanku. He! Co ci tam po koniach!

— Ja będę lekarzem, ale na wsi, to i konie będę miał. Już tak sobie obmyśliłem, że będę w Zagórzanach albo w Bąkach doktorem.

— Widzisz go! a nie będziesz ty w tych Bąkach bąków zbijał?... He!...

— My tu z Jędrkiem kiedyś szpital wybudujemy.

— Szpital, la Boga!... to strasna rzecz — szepnął przerażony Tomek. — Ja bym tam doctorem nie chciał być.

— Ha, ha, ha — śmiał się ksiądz — ot artystyczna dusza! Zwrócił się do Kasi.

— Jak to różne zamięłowania objawiają się już u dzieci.

— Ksiądz proboszcz znał pewno i pana Andrzeja małym chłopcem? — spytała Zebrzydowska.

— A jakże, toż to na moich oczach rosło. Bardzo to porządnych ludzi dzieci i szczęśliwie się wdali w rodziców.

Obejrzał się na Wojtka ale on już biegł z towarzyszami do źrebiąt.

— Tylko przewyższyli rodziców, oczywiście, nauką i kulturą. Wojciech dbał o kształcenie synów. Andrzej wyjątkowo zdolny ale i wyjątkowo pracowity. Teraz ma trzydzieści lat, a ile już zdziałał. Dyplom inżynierski i tyle różnych prac. Umysł to niezmiernie czynny. Zresztą pani najlepiej wie.

— Tak uchodził wśród kolegów za jednego z najbardziej myślących inteligentów — rzekła Kasia.

— Szkoda tylko, że jakoś żenić się ani myśli. Pani Wojciechowa bardzo byłaby rada, żeby Jędrzek założył rodzinę. No, ale jego wola dla niej święta a że jemu to na razie nie w głowie, tedy i ona milczy. Dzielna kobieta, jak prowadzi dom, jak się do syna całkiem nowoczesnego zastosować potrafi. Pani to już pewno także zauważyła, nieprawdaż?

Proboszcz zerknął na Kasię parokrotnie widząc jej zamyślenie.

— Mnie głównie uderzył serdeczny stosunek matki z synem i jego dla niej cześć, pomimo wszakże ogromnej różnicy umysłowej między nimi. To się rzuca w oczy i to wzrusza. I to zapewne wytwarza przedziwnie miłą atmosferę rodzinną w ich domu.

— Dom pobożny, szczerze katolicki, ludzie bardzo uczciwi i rodzina zgodna. Chociaż już zupełnie nowoczesne mają poglądy, ale tradycje pozostały i to te najlepsze — mówił proboszcz.

Kasia przypominała sobie znowu Wara i jego żarty z tradycji, gdy była mowa o Andrzeju.

— A ot droga wysadzona cała czereśniami — zawołał Tomek. Jak ja tu przyjechałem to były czereśnie akurat największe. Zbierało się i wysyłało do miasta, a co się najadło, ojej!

— To już także pewno kultura, wprowadzona przez pana Andrzeja. I nie niszczą, nie objadają, nie łamią gałęzi? — pytała Kasia.

— Andrzej umiał tak wpłynąć na młodzież wiejską, że oszczędza drzewa, i dlatego sadi się coraz więcej.

Proboszcz pokazywał Kasi kapliczkę przy drodze obsadzoną śliwkami.

— O widzi pani, węgierki najlepsze. Drzewa całe ślicznie rozwinięte i pełne owoców. Jeszcze zielone, ale już barwy nabierają. Nikt tu ich nie tknie. Drzewa te Jędrzek oddał na użytek szkoły, gdy dojrzeją śliwki, dzieci mają bal.

— No, u nas w Kromiłowiu to by się nie udało. Wyłamałiby gałęzie, śliwki zaś zjedli na zielono.

— Widocznie nikt nie zadba o wprowadzenie rygoru w tym zakresie. Trzeba i trochę cierpliwości.

— Jest chyba jeszcze jeden czynnik ważny. Oto pana Andrzeja słuchają, bo on jest z nich, podczas gdy dwór wpływów takich mieć nie może. Dworom nie ufają. Od swoich łatwiej przyjmują nawet kulturę. Gdyby przeto takich ludzi jak Dęboszowie było u nas dużo, wtedy i Zagórzeń natworzyłoby się mnóstwo.

— To pani przyznaję, że więcej takich ludzi po wsiach a i wsie będą inne.

Stanęli na mostku zanurzonym w olszynach i poszli brzegiem rzeczki bystrej jak potok górski. Dada Strzelecka zawołała do męża.

— Patrz Jurku ta fala... zbyrczy jak w naszym Dunajcu. Jeno ma mniejsze porohy z kamieni i mniej przezroczystą wodę.

Kasia, która była blisko, podsunęła się do Dady.

— Opowiadał mi pan Andrzej, że Sławohora ma prześliczne położenie. W ogóle siedziba państwa zachwycała go.

— Górskie gniazdo — odrzekła Dada z ożywieniem. — Za ledwo półtrzecia roku tam mieszkamy a zdaje się mnie, że to moje rodzinne strony. Samo mieszkanie nasze jest bardzo fantastyczne. Mała część starych ruin odrestaurowana i tak sobie tam żyjemy. Z czasem może postawimy dom, na razie i tak jest dobrze. Pan Andrzej trochę romantyk, więc mu się Sławohora podobała. Tak samo ja oceniałam Zagórzany, właściwie zagrodę Dęboszów. Prawda, jak tu u nich miło?

— O tak — odrzekła Kasia.

— Na każdym kroku znać upodobania właściciela. Prócz rzeczy praktycznych ile poezji. Kwiaty, nawet kilka pięknych sztamów różanych, na ścianie domu rozpięte winogrona. Dom wygląda jak solidna altana. Przyznam się, że Zagórzany zrobiły mi bardzo miłą niespodziankę. Ja się dużo tu nauczę — śmiała się Dada. — A wewnątrz domu?...

— Mówiłam o tym do księdza — podchwyciła Kasia. — Pani to zna bo i u państwa panuje taki sam rodzinny dobry nastrój. Ale dla mnie?...

Zawahała się lecz dokończyła śmiało.

— Dla mnie to takie nieznanne a jakieś piękne jak bajka. Smutek drgnął w głosie młodej kobiety. Dada popatrzyła na nią serdecznie. Zapanowała chwila ciszy po czym Dada zbliżywszy się nieco do Kasi jęła mówić poufnie.

— Odczuwam panią i rozumiem w zupełności. Trochę i ja byłam swego czasu w podobnym położeniu po stracie rodzinnego domu. Zresztą pani zna zapewne moją historię od Romków Pobogów.

— Tak, przeżywała pani ciężkie, nawet tragiczne chwile. Wiem! Kasia powiedziała to tak jakoś miękko, i mile, że Dada od razu poczuła się zupełnie rozbrojona.

— Chwile były tragiczne, ale ciężkich było kilka lat i to najwcześniejszej młodości, pierwszego poranku życia. Może dlatego właśnie obecne szczęście nasze jest tym droższe dla mnie, że tak wiele cierpiałam.

— Ocalała pani w porę od gorszej niedoli.

Kasia wypowiedziała te słowa pod wpływem własnego zniekania i zawstydziła się swej odruchowej szczerości. Ale Dada była także szczerą, więc nie tylko nie wzięła za złe słów Kasi, lecz ją to zjednało dla niej ostatecznie.

Były same pomiędzy olszynami, oddalone dużo od całego towarzystwa.

— Tak droga pani, ocalałam istotnie, ale nie sobie zawdzięczam to, o nie!... tylko mojemu Jurkowi, który mnie kochał, pomimo mego szału i... mężowi pani... który mnie porzucił dla innej.

— Tak jak mnie teraz — szeptem dodała Kasia i, wiedzona jakimś ogromnym wstydem czy żalem, osunęła się w ramiona Dady.

Obie były wzruszone i jakby zbratane z sobą. Szły, przez chwilę milcząc. Dada pierwsza przemówiła.

— Urok pana Edwarda był bardzo silny, skoro zdołał oderwać mnie od narzeczonego, którego kochałam i... skoro potrafił zniweczyć pani zamierzenia życiowe i zupełnie inne projekty, a sędzę, że i poglądy państwa były całkiem różne. Jednakże pomimo to wszystko nie oparła się i pani jego urokowi. Dowiedziawszy się o waszym ślubie, nie byłam zdziwiona ale... ani trochę nie wierzyłam w trwałość waszego szczęścia. Pan Edward nie jest stworzony dla rodziny. On już takim pozostanie.

Rozmawiały z sobą szczerze, Kasia jednakże była powściągliwą, ale Dada odczuła bardzo łatwo, że uczucia jej dla Wara zanikły.

W pewnej chwili Dada rzekła, wskazując na idącego z daleka Poboga z Andrzejem.

— Zapewne i historia Romka jest pani znana. Owa księżniczka gruzińska była czas jakiś flamą Romana w niewoli bolszewickiej i potem, gdy z nią uciekał. Przyjechała z nim razem do Warszawy i porwała za sobą pana Edwarda, podobno nawet bez własnej intencji. Między Pobogami po tym fakcie trwał czas jakiś pewien rozłam... Ale Pobóg, to charakter i wola nader silna, więc wszystko to poszło w zapomnienie i teraz znowu tworzą najszczęśliwszą rodzinę. Zwyciężyło ognisko domowe.

— On kocha żonę niezmiernie, to wyczuwa się od razu.

— Pan Edward panią także kochał, a jednak...

— Nie, War kochać nie potrafi, on zna tylko szal.

— Może pani ma rację.

— Zresztą, czy to jego wina? — szepnęła Kasia. — Cała jego młodość pusta, wychowanie... A jego matkę pani pewno знаła?

— O tak — rzekła Dada z akcentem nie wymagającym objaśnień.

— Więc czyż to wszystko nie miało wpłynąć na jego strukturę duchową?... O ileż bardziej od jego matki szanowaną jest matka pana

Andrzeja, chociaż to kobieta prosta i bez wykształcenia. Ale ile w niej serca, a nawet jakiejś szczególnej powagi i powiem wdzięku w roli matki i gospodyni.

— Dlatego ją syn czci, pomimo, że umysłowością odbiegł od niej bardzo daleko — rzekła Dada. Pan Andrzej to także człowiek, który powinien w życiu znaleźć szczęście, na jakie zasługuje w zupełności.

Kasia milczała.

Strzelecka spostrzegła jej wzrok skierowany na Andrzeja idącego opodal i zrobiło jej się żal uczuć i ludzi, którym nie sążone jest szczęście.

— Czy państwo długo z sobą kolegowali?...

— Gdy ja po maturze bezpośrednio wstąpiłam na Politechnikę, Andrzej już rok studiował, po pięciu latach bytności na froncie dokąd poszedł zaraz po maturze. Inwazja bolszewicka pociągnęła go znowu na front, ale pomimo to na rok przede mną skończył studia i otrzymał dyplom inżynierski.

Dada miała jeszcze mnóstwo pytań na temat Dębosza, lecz powstrzymała się od tej niedyskrecji, wiedząc i tak już bardzo wiele.

— Jak tu ładnie — zawołała Kasia, wskazując na wieś, na tle lasu, okoloną skrzętem rzeki. Słońce spojrzalo na Zagórzany. Jakże świecą dachy! Domostwo Dęboszów w promieniu świetlnym wyłoczone wygląda jak kwiat a łodygą jego jest rzeka. Widzi pani ten pióropusz dymu nad błyszczącym dachem, to symbol rodzinnego ogniska, które tam płonie!

— Tam jest zarzewie domowego ogniska, ale ono właściwie jeszcze nie płonie — odrzekła Dada. — Dopiero gdy pod ten dach wejdzie żona pana Andrzeja, wtedy... Ale ten dom teraz w słońcu i dym nad dachem prosty jak równy oddech gospodarzy, nasuwa istotnie szczególną analogię szczęścia rodzinnego. Niech pani przyjedzie do nas do Sławohory. Zobaczysz pani nasze gniazdo kochane, znowu w innym rodzaju, jakieś archaiczne. Szczęście rodzinne gości i u nas, ognisko domowe płonie bardzo jasno.

— Jaka pani szczęśliwa — szepnęła Kasia, walcząc ze wzruszeniem. — Owszem pojedę do państwa z radością, by się nasycić widokiem ludzi, którym dane było mieć... naprawdę swój dom i rodzinę.

Uściskały się w milczeniu. Kasia może pierwszy raz w życiu odczuła tak silnie brak rodzinnego szczęścia. Dada zrozumiała ją wybornie. I pod wpływem tego uczucia spytała nagle, niespodziewanie.

— Czy pani była zaręczona z panem Andrzejem przed poznaniem swego męża?...

Fala krwi uderzyła na twarz Kasi. Poczwała się jakby zdradzona.

— Nie! — odrzekła, nie patrząc na Dadę. Strzelecka zmieszała się.

— Przepraszam panią, ale widziałam dziś na biurku pana Andrzeja fotografię waszą koleżeńską i tak mi się zdawało...

Kasia milczała, lecz w duszy jej powstało nagle pytanie nigdy poprzednio nie istniejące.

...Gdybyni nie poznała Wara czy byłabym teraz żoną Andrzeja?...

Nie znalazła w sobie ani zaprzeczenia ani nie chciała pytania tego rozwijać... lecz nie było ono dla niej przykre i nie było zbyt obce. Chcąc odwrócić uwagę Dady od siebie, Kasia zawołała na Tomka i zaczęli razem rwać gałęzie kaliny z krzaków rosnących gęsto na wysokim brzegu rzeki, obsiane już gronami czerwonych jagód.

Wtem ozwały się dźwięki harmonii i głośne wołania Strzeleckiego.

— Prosimy do nas, pani Kasiu, Dado, prosimy.

Z naręczami kaliny Kasia, Dada i Tomek poszli spieszenie w stronę grupy mężczyzn i dzieci. Oczom ich przedstawił się szczególny widok.

Na wzgórku nad rzeką siedział jakiś suchy, zwiędły człowieczek i z nadzwyczajną brawurą grał na ogromnej harmonii, kiwając się na obie strony i wykonując zabawne rzuty głową, jakby akompaniament do swojej muzyki. Na twardym zaś gruncie wysokiego wybrzeża, porośłym nikłą trawą Jerzy Strzelecki tańczył w najlepsze oberka z Joasią

Pobożanką. W drugiej parze Ciś Pobóg i Wojtuś Dębosz kręcili się wyczyniając jakieś niezwykle figury.

— Kto to? Co to? Bal? — pytały Kasia i Dada.

— To nasz grajek okoliczny, Krokiewka, wędruje od wsi do wsi z zamiłowaniem, wszędzie mile widziany — objaśnił Andrzej.

— Ogromnie lubi grać do tańca. O tak!... hulajcie państwo. Co tam, że na trawie, mała bieda — wołał proboszcz.

Strzelecki puścił Joasię i podbiegł do Teresy Pobożyny. Był rozbawiony.

— Proszę do oberka! Jakie tam ceregiele! Romek bierz panią Kasię. Jędrak powierzam ci moją żonę. Oj, dziś, dziś...

Teresa, śmiejąc się trzepnęła go po ramieniu, ale opór nic nie pomógł i musiała okręcić się parę razy. Potem Strzelecki porwał wesoło Pobogowi Kasię, wreszcie zabrał Dadę od Andrzeja a jemu oddał Zebrzydowską. Dzieci tańczyły jak rozhukane żrebaki. Oberek ochoczy zataczał kręgi a Krokiewka w zachwycie wyprawiał najcudniejsze miny.

Dębosz nie puścił już Kasi, rozbawił się i szalał w oberku. Oboje unosiła młoda żywiołowa ochota. Wirowali po łące, jakby nie dotykając ziemi.

— Jędrak, źle tańczysz! za prędko! — krzyknął Strzelecki. Andrzej nie słuchał. Kasia roześmiana zajrzała mu prosto w oczy.

— Jędrak... źle tańczysz! — powtórzyła z nieopisanym wdziękiem. Andrzej zadrżał, jakby go kto oblał ukropem. Zwarli się oczami na moment. Przygarnął ją mocniej do siebie okręcił i rzucił się na kolana. Przyklęknął w tańcu raz, drugi i tak już przyklękając okrążył cały plac. Wpadli oboje w otwarte ramiona Strzeleckiego.

— Bójcie się Boga! Czy pani Kasia jeszcze żyje? A toż wariat ten Jędrak! Unosił panią jak burza!

Andrzej ucałował ręce Kasi rozpromieniony.

RS

ROZDZIAŁ XVII

Ogromna czerwona kula słońca skryła się już za lasek, gdy rozbawieni tańcami wrócili do domu.

Stół do podwieczorku nakryty był w ogrodzie pod rozłożystym kasztanem. Tomek nie posiadał się z radości na ten widok dla siebie niezwykły. Zaczął znosić krzesła i stołki, podskakując z uciechy. Joasia natomiast wspólnie z Wojtkiem przybrała biały stół kaliną przyniesioną przez Kasię.

— O mój Boże, że też to mnie do głowy nie przyszło! — klasnęła w ręce Dęboszowa.

Zwróciła się do Zebrzydowskiej.

— Postawiłam jeno na środku stołu róże, bo i syn lubi jak kwiaty stoją przy jedzeniu. U nas na wsi takiego zwyczaju nie ma chociaż to jest ładnie. Pani to się pewno dziwi, że Jędrak, pani kolega ma prostą chłopiankę za matkę.

Powiedziała to wesoło z takim szczerym i naturalnym wdziękiem, że Kasia w pierwszej chwili chciała ucałować jej spracowaną rękę. Lecz odrzekła tylko z bardzo ujmującym uśmiechem, pochylona ku Dęboszowej.

— Jest pani wzorem matki, którą czcić i kochać należy. To wystarczy za wszystko inne.

Dęboszowa zmieszała się nieco i odrzekła ze wzruszeniem:

— Pani jest dobra, że i wypowiedzieć trudno. A syn mój to już za panią przepada. Jak czasem zaczną sobie z Tomkiem o pani opowiadać, to mu jeno z oczów aż te promienie idą... A ot i panna Aniela przyszła! — zawołała innym tonem, ujrawszy w ogrodzie zbliżającą się młodą pannę.

Po czym dodała, zniżając głos.

— To panna Żukielówna, nasza nauczycielka, w Zagórze. Lubi bieduleńka Jędrka, ale cóż jemu ani wmówić. Dobra to dziewczyna i pocziwa. Sama bym chciała, żeby się żenił z nią, ale widać nie ma w tym woli Bożej.

Panna Aniela zbliżyła się, więc Dęboszowie poszli ją powitać i przedstawić towarzystwu. Zajął się nią Teresa Pobożyna i Strzelecki, który ją znał. Ale młoda nauczycielka tak natarczywie przyglądała się Kasi, że zwróciło to uwagę wszystkich.

Po podwieczorku przyszło kilku gospodarzy do Dębosza. Siedzieli w świetlicy rozmawiając z Andrzejem, Strzeleckim i Pobogiem o gospodarstwie. Pobóg proszony przez Andrzeja miał cały wykład o gleboznawstwie i kulturze roli. Mówił o małorolnych gospodarstwach, które

zwiedzał ostatnio w Czechosłowacji i stawiał je za przykład jako najbardziej odpowiadające warunkom miejscowym.

Pobóg poruszywszy ulubiony swój przedmiot wpadał w ferwor, rozwodził się szeroko nad gospodarnością, szybkim rozwojem i praworządnością tego kraju, wybitnie rolniczego.

— Po wojnie — mówił — obywatele czescy, zrzuciwszy jarzmo cudzego poddaństwa, tak samo jak my, potrafili jednak stanąć od razu na nogi, bez wahań i błędzenia. Zjednoczeni i zsolidaryzowani ideą utworzenia w swej ojczyźnie pierwszorzędnej placówki gospodarczo-rolniczej, na podstawach demokratycznych dążeń, idą ciągle naprzód, postępując konsekwentnie i uparcie do osiągnięcia zakreślonego celu. I tą swoją energią i wytrwałą pracowitością zmierzają ku pięknej przyszłości. To przykład nad nas, panowie, abyśmy tak samo, nie raczkowali, utyskując i jęcząc wiecznie, lecz abyśmy szli naprzód zwartą siłą, tworząc własną historię i przyszłość w idealnie pojmowanym ustroju społecznym.

Gospodarze słuchali Poboga z zaciekawieniem. Jeden tylko Cisak mruknął niechętnie.

— Dyc, tak się ino gada, ale kto by tu inaczej gospodarzył. Jak je tera to i będzie! Za naszych dziadów tak samo było i za ojców też samo, to i nasze syny bedom siali i orali jako i my ninie.

— My już inaczej siejemy i orzemy niż nasi ojcowie — odrzekł Dębosz. — Pan Cisak także nie z sochą wychodzi na pole jeno z pługiem. Pragnąłbym doprowadzić nasze gospodarstwa do stanu takiego postępu, jaki właśnie w Czechosłowacji jest już ogólnie uznany. Na małym kawałku gruntu taki gospodarz ma wszystko, każda piędź ziemi wyzyskana i spożytkowana.

— Wiadomo, zagranica, jensza rzecz! U nas tyż inaczej! Pan Dębosz ma dwie włóki to sobie może się bawić, ale na kilku albo kilkunastu morgach nic niktoj nie wymędrkuje i tyło.

Pobóg zaczął wtedy opowiadać o systemach prowadzenia małych gospodarstw w Czechach i Danii, którą również zwiedzał w tych samych celach.

Ale chłopci oceniali tę kwestię pod swoim kątem widzenia, z wyjątkiem kilku, na których wpływy Dębosza były wyraźne i duże. Strzelecki znał dobrze zacofaństwo chłopskie i za przykładem Andrzeja był cierpliwy. Pobóg zaś trochę się denerwował.

A potem znowu zabrzmiał głos Andrzeja.

— Mamy i w naszej ojczyźnie placówki godne naśladowania, a mianowicie Wielkopolska. Jakkolwiek w czasie tyloletniej niewoli

germanizowano ją celowo i umiejętnie, potrafiła się jednak od razu wyzwolić. Tak samo silnym zastępem stanęli obywatele tamtejsi gdy tylko poczuli oddech swobody w piersiach. Marzeniem moim jest aby z Zagórzeń i wsi okolicznych zebrać liczną wycieczkę, złożoną z panów gospodarzy i udać się do Wielkopolski. Byłoby to dla nas z pożytkiem i musimy to przeprowadzić. Na wyjazdy dalsze nie stać nas jeszcze, warto by przeto zwiedzić własną dzielnicę, której ład i organizację wewnętrzną naśladować możemy i powinniśmy.

Głośne pochwały projektu Andrzeja i zachęta wyrażona w słowach nawet znanych oponentów była podniętą dla niego. Mówił jeszcze o kierunkach oświaty i przygotowaniu młodzieży do przyszłych prac społecznych. Potem Strzelecki zabrał głos przedstawiając konieczność rachunkowości i dobrej administracji w rolnictwie, wreszcie proboszcz podniósł kwestię ochrony zaniedbanych, których niezbędność po wsiach stwierdził dowodami. Wtedy odezwał się gospodarz najpoważniejszy wiekiem i bardzo szanowany, Piotr Ziólek.

— Toż o tym ciągiem myśli i gada nam Jędrzek Dębosz. Ale siła złego na jednego, żeby wszystkiemu od razu podolał. Wojciechowa nawet do siebie kazała przychodzić małym dzieciokom, bawiło się to u nich w obejściu a ogrodzie całe dnie bez czas, kiej matki bywały na robocie. Ale gdzież by ta ludziska wszyckiego nie popsuli. Dyć to zwyczajna rzecz. Zaczęli zaro gadać co każdy ma swojom chałupę la swoich dziecioków i co łaski niczyjej nie potrzebuje. Tak ci doskwierali a doskwierali sobie samym, aże i dziecioków przestani posyłać do Dęboszów. Ot, i po staremu wala się to to po drogach samo, zasmolone przez opieki i co ta z tego?... Nieraz to już bywało, że co mniejsze to konie stratujom abo zalezie do rzyki i po nim, a co starsze to niejednego nieszczęścia przyczyną, jak łońskiego roku, kiej Kowalczyka chałupę spalił pędrak co do ognia się dorwał.

— Przy szkole taką ochronę można by urządzić — rzekł ksiądz. Nowos machnął ręką.

— Nie pozwolą abo na ochronkę abo na to, żeby proboszcz czasem dzieci odwiedził. Tera je tak! Choć i ta nasza nauczycielka panna Janiela. Nie ma co, porządna je panna, ale dopiero od niedawna jakoś w Boga uwierzyła. Przódzi niedowiarek był i dzieciokom to samo w łepetyny kładła — a to już grzech! Dopieroj kiej zobaczyła, że nasz pan Dębosz do kościoła chodzi i gadał z nią o tym dużo, tak i zmieniła się chwalić Boga.

Cisak odchylił głowę w tył i zaśmiał się głośno.

— A najprędzej to zmieniła się la tego, żeby sobie Dębosza skap-tować na męża. Ot co jest!

Andrzej zmarszczył się i poczerwieniał.

— To jest niesłuszne posądzenie panny Anieli — zawołał wzburzony. — Mogła ona zmienić przekonania poprzednie bo w człowieku dokonują się różne przemiany, ale nie była powodowana względami, o których mówi pan Cisak.

— O juści! — zaśmiał się chłop. Głupi ten, kto tego nie widzi!

— Ii... może to i nieprawda, Jędrak uczciwie mówi — odezwał się Ziółek, kiwając białą głową. — A wy ta zaraz od głupich, Janie, tak się nie godzi! Co tam młodej dziewczynie ujmować. Choć się tam i zawieruszy w głowie mędrkowanie jakieś, to pan Bóg to zawdy sprostuje i porządek zrobi, czy wcześniej czy później a Bóg łaską swoją oświeci. A że młodej pannie oczy wyłażą na naszego Jędrka to i nie dziwota! gdzie takiego drugiego znajdzie. Ha?...

— Ale się do tego właśnie przeinaczyła — upierał się Nowos.

— Dlatego czy dlaczego innego a dobrze, że się tak stało i nie ma co wytykać — zawołał proboszcz. — Ziółek najlepiej powiedział Bóg łaską swoją oświecił.

— Jest to może wpływ nauczycielstwa z Bąków — dorzucił Dębosz — panna Aniela się z nimi przyjaźni a to ludzie bardzo uczciwi i religijni. Nie idą za prądem dzisiejszych haseł przeciwnych religii i wybornie działają na uczniów. Szkoła w Bąkach za wzór może być stawiana jako idealna uczelnia polska. Panna Aniela już zaczyna iść w takim samym kierunku, możecie przeto być spokojni o wasze dzieci.

Nowos jeszcze nie był przekonany, jeszcze coś dowodził. Więc staruszek Piotr Ziółek zażył tabaki, parę razy kichnął, po czym pogładził białe włosy i rzekł z dowcipną miną.

— Co tam po próżnicy gadać, ja uważam se tak: najlepiej by było żeby się nasz Jędrak Dębosz z panną Janielą Żukielówną ożenił to już wtedy wszystko będzie u nas dobrze. Panna kiej łania i strasnie na Jędrka łasa, a już i jemu i jej czas na sakrament małżeństwa. Oto moja rada!

— Prawda!... Juści co prawda? — wołał Cisak, klaszcząc w ręce.

— W samo sedno ociec Ziółek trafił i my se to już dawno myślimy — rzekł Nowos rozradowany.

Dębosz zwrócił się do Ziółka.

— Nie łączmy, ojczy, spraw publicznych z moimi osobistymi. Ja żenić się jeszcze nie mam zamiaru i... pewno nie ożenię się nigdy.

— A toż co? Cóż to prawisz? Syn takiego godnego ojca i poczciwej matki, na gospodarce pięknej, w takim domu osiadły i żenić się nie będzie?

A to co znowu za taka moda?... Ot ci dopiero wymyślił!... ot to! Widzita! Grzech tak mówić — wybuchnął staruszek zirytowany.

Gorączkowo zażywał tabaki.

Dębosz obrócił całą sprawę w żart. Ucałował starca w ramię z szacunkiem, mówiąc wesoło.

— Nie gniewajcie się ojcze!... Stary nie jestem a co dalej będzie, to... nie ma o czym gadać.

— Gniazda dobrego szkoda.

— Gniazdo nie zginie, ostatecznie mam brata.

— Albo on będzie na roli? Gdzie tam! na doctora się szykuje. Ty Jędrak także jenzynierem od budowy jesteś, ale tobie rola pachnie. Podolaśz i to i tamto bo lubisz, ot co! A rola, synku lubi tego, kto ją lubi, dla takiego jest matką. A kto jej nie lubi — dla niego macochą. Tak to już z przyrodzenia od dawien dewna bywało.

— Nie turbujcie się, ojcze, dy jakoś to będzie — zawołał Nowos. — Dębosz je chłop na schwał i on by tam kobity nie chciał?... Juści! No, no! Obaczym. Tero tak gada bo se jeszcze żadnej nie upatrzył, ale przyńdzie na psa mróz. Ojej!... Nie ma strachu.

— Cheba, że tak — odrzekł staruszek.

Strzelecki i Pobóg wesoło poparli zapatrywania Nowosa. Śmiał się i Andrzej rozbrojony. Wtem mignęła mu w oczach jakaś postać w ciemnym kącie i znikła w otwartych drzwiach.

Światło wiszącej lampy nie sięgało tam i Andrzej nie dostrzegł kto by to był taki.

A tymczasem Dęboszowa zakrzętnęła się koło wieczerzy. Nie godziło się dla dworskich gości nie poczęstować starych przyjaciół ze wsi. Urządziła więc wszystko własnym przemyślem.

Ponieważ przeważali mężczyźni, więc razem z proboszczem jedli wszyscy w świetlicy przy stole, dla pań zaś i Joasi nakryty był drugi mniejszy stolik pod obrazami, na którym całe nakrycie było lepsze i stały kwiaty. Tylko panny Anieli Żukielówny nie mogli się doszukać. Widocznie wyszła. Przy wieczerzy i przy obiedzie panował miły gwar wesołych rozmów. Gospodarze mniej obcy i rzadziej bywający u Dęboszów czuli się skrupowani, ale i tych Strzelecki potrafił usposobić jak najlepiej. Reszty dokonało domowe wino z jablek roboty Dęboszowej, którym Strzelecki, Dębosz i proboszcz wznosili różne zdrowia. Andrzej czuwał nad stołem męskim, Dęboszowa chociaż miała miejsce między Teresą i Kasią była oddana całkowicie gościom i częstowaniu ich.

Po wieczerzy, pod kasztanem w ogrodzie, Tomek opowiadał Kasi o swoich wykończonych robotach. Obiecywał jej nazajutrz pokazać wszystkie prace z gliny, drzewa i nowe rysunki kredką na kartonach.

— Ja mieszkam na górze z Wojtusiem to jutro pokażę, com bez ten czas zrobił.

Po czym ją zachwycać się Andrzejem i chwalić bardzo pobyt w Zagórze.

— To może nie chcesz wracać ze mną?

— Eee, pojedę, ale jaśnie pan będzie mnie znowu przepędzał.

— Pana nie ma w domu.

— Nie ma?

Chłopak ucieszył się, aż mu błysnęło w oczach. Ale wnet spoważniał. Patrzył na Kasię pytająco i niepewnie.

— A gdzie jaśnie pan tak ciągiem jeździ, że jego nigdy nie ma w domu?

— Ma różne swoje sprawy w świecie, interesy.

— Pani dziedziczka też ma sprawy różne a budowle, jeździ ale i wraca.

Pan Andzej też często jedzie na długo i też zawsze wróci.

— Będziesz teraz w szkole we Lwowie — rzekła Kasia omijając kwestię.

— W takiej, co uczniom rzeźbić? — wykrzyknął.

— Nie, tymczasem trzeba się jeszcze uczyć najpierw czego innego.

— Chłopak sposepniał.

— La Boga, to będęm pewno strasznie trudne te nauki... Znowu spojrzął na swoją panią i zakłopotał się.

— Pani dziedziczka czegoj taka sie markotna zrobiła? Cości tak jakby się czegoś bojała, czy co?...

Zamyślił się chwilę i pocałował ją w rękę.

— Niech się pani dziedziczka nie gniewa na mnie, że powiedziałem co nauka strasna. Ja sie bede przykładal tego do onej nauki, bo i pan Andrzej niemało o niej mówił a nakazywał się uczyć...

— Wierzę, Tomku, że będziesz dobrym uczniem — rzekła Kasia bezdźwięcznie.

— Co to jest pani dziedzicze? La Boga! — zerwał się chłopczyna od jej nóg. — Pani dziedziczka kiej giezło biała, a ino oczy świcom!

Kasia podniosła się z ławki.

— Nic, nic! tak coś mnie omroczyło... Otrząsnęła się.

— Idź już spać, dziecko. Już późno. Jutro rano jedziemy.

— A pani dziedziczka nie chora? Nie, gdzież tam!

— A czegoj taka jakaś inna? Kasia ucałowała chłopca.

— Zdaje ci się. No idź już. Tomek odszedł.

Zebrzydowska nie pojmując co się z nią dzieje i skąd powstał w niej tak nagle jakiś nieznany lęk, jakieś dziwne uczucie niepokoju przyłączyła się do Strzeleckich i Pobogów, którzy pożegnawszy księdza i gospodarzy wiejskich wyszli właśnie ze świetlicy.

Dębosz odprowadził proboszcza do bramki i wracał do domu. Na ganku nagle stanęła przed nim panna Aniela. Zdziwił się. Wiedział wszakże, że wyszła. W świetle, płynącym z sieni, ujrzał że miała oczy nabrzmiąle jakby od łez. Nauczycielka podała mu rękę. Przysunęła się do niego i szeptała prędko zdyszana.

— Dziękuję panu, że pan mnie obronił i tak dobrze o mnie mówił. Niech panu Bóg za to wynagrodzi.

— Kiedy? Co mówiłem?

— Byłam w świetlicy, słyszałam wszystko. To prawda! Pan mnie zmienił, pan mnie przekonał. To nie nauczycielstwo z Bąków, to pan sprawił, że jestem inna. Koledzy kładli mi w głowę to i owo i przewrócili w mózgu. Popisywałam się przed panem swoją niewiarą, myśląc, że pan wykształcony i nowoczesny, jest także bezwyznaniowym i że to się panu we mnie podoba. Mówili mi zawsze koledzy, że tylko naiwni wierzą i że wstyd się do wiary przyznawać, bo to zabobon ludzi prostych i głupich. Teraz widzę już i myślę inaczej przez pana. Panu będę wdzięczna całe życie, że pan, znając prawdę, stanął w mojej obronie.

— Panno Anielo...

— Niech pan nic nie mówi, już wiem i rozumiem wszystko! Prędko uścisnęła jego rękę, i zbiegłszy ze schodów, zniknęła w cieniach nocy.

Andrzej patrzył za nią chwilę, po czym zamyślony okrążył dom i znalazł się w ogrodzie. Z daleka pod lipami całe towarzystwo spacerowało jeszcze, rozmawiając. Gwiazdy świeciły jasno na szaro-błękitnym niebie, ale cienie pod drzewami były głębokie... Z pól dobiegało tu wołanie derkaczy. Dębosz stanął pod kasztanem i zapatrzył się w okna świetlicy i alkierza, oświetlone jasno, gdzie matka jego z Franką pościelały łóżka.

...Ona ze mną pod jednym dachem... pierwszy raz w życiu.

Przymknął powieki i zasłuchany w szept własnej duszy oddał się cały marzeniom.

Jak długo stał nie potrafiłby określić.

Ocknął się, usłyszawszy prędkie kroki za sobą.

— Ale cóż znowu mogłoby się stać?... — mówił Strzelecki — pani Kasiu, to jakies przewidzenia tylko. Gdzież teraz jechać. Już północ! Po co i na co?...

Muszę koniecznie, muszę! Dręczy mnie coś tak okropnie, że już dłużej nie mogę — mówiła Kasia widocznie bardzo podniecona.

Dębosz oprzytomniał i prawie przeraził się. Wyszedł spod kasztana naprzeciw idących.

— Co się stało?

— No wyobraź sobie Jędreku, pani Kasia chce wyjeżdżać na noc do domu.

— Dlaczego?...

— Pani ma jakieś złe przeczucia — rzekła Dada idąca razem.

— Ależ jakie, co?... Kasia chwyciła go za rękę.

— Niech pan zaraz zbudzi mego szofera, on jest przygotowany do drogi, ja wiem! Muszę jechać natychmiast do Kromiowa. Tam się coś stało... Jadę bezwarunkowo!

Tyle było energii i stanowczości w jej głosie, że Andrzej nie oponował więcej. Zaciśnął usta i poszedł do budynków. Nie pomogły już tłumaczenia pań i prośby Dęboszowej ani nalegania Strzeleckiego, i Poboga. Kasia była stanowcza, prawie rozgorączkowana. Ale Tomek spał już mocno i nie był zupełnie przygotowany do drogi.

— Niech on zostanie u nas, ja go sam do Lwowa odwiozę — rzekł Andrzej.

W kwadrans potem Kasia wyjeżdżała z opłotków zagrody Dębosza...

Gdy cały dom był już uśpiony, Andrzej poszedł drogą, którą odjechała. Szedł w noc ciemną tocząc walkę z uczuciem, którego nazwać nie umiał.

ROZDZIAŁ XVIII

Nad stołami gry unosiły się ciężkie pasma szaro-błękitnego dymu z cygar. W sali słyhać było przyciszony pogwar rozmów. Czasem wytryskiwało głośniejsze słowo lub zadzwonił krótki nerwowy śmiech. Stoły obsadzone były gęsto sylwetkami mężczyzn.

Brzęk złota i szelest banknotów oznajmiał gry bardzo ciekawe. Największe zainteresowanie wzbudzała gra wytwornego Polaka z równie wykwintnym Włochem. Wycieńczenie fizyczne i znużenie duchowe wyzierało z ich oczów. Bogaty Polak Zebrzydowski, znany tu w szerokich kołach paryskich od dawna i hrabia włoski Corovicini, walczyli już od kilku dni przy stole bakarata z zawziętością, która zaciekawiała i podniecała wszystkich bywalców klubu. Wiedziano, że walka ta o charakterze pojedynku przepłukała już kieszenie obu partnerów, głównie Zebrzydowskiego. Niedawno wygrał on ogromną sumę od Włocha lecz znowu znalazł się na drodze do ruiny. Niektórzy z graczy, widząc zimną krew Zebrzydowskiego, byli o niego spokojni. Znali go zresztą jako utracjusza i hulakę na dużą miarę.

Informowali się wzajemnie.

— Przez swoje życie więcej złota puścił niż sam waży i wszystkie jego kochanki razem wzięte.

Do rozmowy wtrącił się stary baron w złotych binoklach na nosie z twarzą zaspanego fauna i mówił:

— Ale dawniej nie grał. Czasem tam coś bez zapalu postawił. Twierdził zawsze, że jest zbyt bogaty, aby kogoś obdzierać na stole, wołałby na gościńcu, gdyby mu przyszła taka fantazja. To o wiele ciekawiej. Lubię tego chłopca — dodał, zezując w stronę Zebrzydowskiego. — Ma rasę i tupet co razem w parze nieczęsto chodzi. Lubię go!

— Ma oprócz tego pieniądze — rzekł ktoś inny — a to najbardziej usprawiedliwiony tupet.

Baron skrzywił się, czyniąc z siebie w tym grymasie istnego potwora.

— Teraz ma mniej pieniędzy. Ożenił się niedawno.

— Bach! To kłapa!

— Wcale nie! Odbył przy żonie obowiązującą, że się tak wyrażę, dżentelmeńską sjętę i znowu prysnął w świat. Koneser płci pięknej pierwszej wody! Niezrównany! Ostatnią zdobyczą jak dotąd była margrabina Rimaldi... Cud świata. Margrabia dostał paraliżu ze zgryzoty gdy Zebrzydowski ukradł mu żonę. Była wierna staremu mężowi dopóki nie

ujrzała Wara. On ma na imię Eduard... War... Lubię go! Poleciała na Wara to było swego czasu powiedzenie en vogue! ale jest jeszcze aktualne.

— Ktoś tu kogoś rzucił, bo margrabina już w objęciach miliardera amerykańskiego — wtrącił dobrze powiadomiony partner.

— Chut! pewno ona jego skoro tamten miliard. War już pierwszej swojej lamparciej skóry pozbył się. Była świetna i długo mu służyła! Wyleniła!! Podobno on miał w Rosji kopalnię złota, więc skoro sowiety... itd.

— Teraz ma długi i żonę.

— Tak, to już można wylenić! Dobrze się jeszcze trzyma, ma minę i sznyt... i słono gra...

— Ależ się zawzięł na Corovicini'ego.

— Najgrubszy gracz. War zawsze uznawał najwyższe stawki. Rozmowy wlokły się ociężale, ożywiały się co pewien czas w miarę poruszenia ciekawszych tematów, tylko brzęk złota i szelest papierów dźwięczał zawsze jednakowo w zadymionej sali. Freski na ścianach przysłonięte dymem były brudne i mętne. Elektryczne kule lamp opałowych podobne były do księżyców w fazie zaćmienia i świeciły trupio. W drugim mniejszym lokalu przy bufecie brzękały kielichy.

War Zebrzydowski odcinał się Corovicini'emu jak gdyby walczył na szpady. W tej grze o zwyciężenie przeciwnika wyglądał niesamowicie. W oczach jego migotały ostre i szybkie jak błyskawica połyski, twarz miał chłodną, alabastrowo białą. Nerwowymi długimi palcami zbierał i składał karty, wypieszczonymi paznokciami dzwonił w złote monety. Poza przebiegiem gry nie istniało dla niego nic więcej.

Stawiał stawki ryzykowne czym podniecał partnera, oburzając go niejednokrotnie. Sam zdawał się być spokojny, tylko zaledwo dostrzegalny skurcz ust zdradzał w nim niecierpliwość. Już parokrotnie bliskim był tej sumy, jakiej potrzebował do zrealizowania swych planów, i znowu tonęła w gromadzie złota leżącego z paradą obok przeciwnika. Gonił resztkami. Czuł to, że jeszcze parę przegranych stawek a musi pożyczyć. Tym, który brał w zastaw honor Zebrzydowskiego na udzielaną mu pożyczkę był baron o twarzy fauna. War nazywał go mitologicznie „Panem” i mówił często: gdy „Pan” nie udziela pożyczki klub ogarnia panika. Obecnie doznawał lekkiego niepokoju, czy panika nie ogarnia jego samego przede wszystkim. Lecz jak zwykle nie nazbyt się nad tym zastanawiał, bo ciągle liczył, na zdystansowanie swego partnera.

— Ma szczęście, bestia — myślał zły. — Widocznie ani jedna donna mobile nie zmieniła nigdy dla niego swoich ideałów. Niebezpieczny tylko w kartach i trzeba właśnie bym się z nim zetknął, do starego diabła.

Pod koniec dnia stawał się bardziej zdenerwowany i więcej przegrywał. Pił burgunda i grał, pił i grał i urągał sobie i szydził.

Wreszcie przegrał wszystko. Zaśmiał się szyderczo.

Nastąpiła przerwa. War przy bufecie z niedbałością i nudą zwrócił się do barona.

— Zaczyna się panika w mojej kieszeni. Jakże baronie, czyż dopuścisz do tego, by papiery na mojej giełdzie zrobiły bessę tak gwałtowną?

Może być zaraz hossa, ale za to moja giełda ma bessę. Jaka na to rada?

— Oddam pożyczkę, nie jestem bankrutem.

— Spodziewam się. Jednakże pragnąłbym by ta wasza batalia skończyła się wkrótce. Bowiem wy walczyacie ale ja ponoszę konsekwencje za was wszystkich.

— Czyli, że gnębi barona wojna ekonomiczna w jego kieszeni. No „Pan” da sobie radę, mając do czynienia z dzentelmenami.

— Stuknął się kieliszkiem z baronem i spytał niedbale:

— Komu tedy życzysz baronie wiktorii?...

— Panu oczywiście, wszak to równoznaczne z tym gdybym jej życzył samemu sobie.

— Na cześć mojej wiktorii. Wiwat!...

War podniósł znowu kielich napełniony rubinowym płynem.

— Do dna baronie! Dziś rozstrzygający dzień! Ostatnia stawka!

— Jak to mam rozumieć?

— Że dług barona dziś zostanie uregulowany.

— A jeśli pan przegra znowu?... Na mnie proszę już nie liczyć. Baron rozłożył ramiona.

Raczej zgadzam się na największą panikę w klubie niż na pożyczanie komukolwiek z panów najdrobniejszej sumy.

Nie będę żądał więcej — rzucił Edward z dumą — ale czy wolno spytać, dlaczego baron te rzeczy przesądza?

— Jestem goły!

— Uuu! współczuję! War zrobił zabawną minę.

— Teraz może ja będę rewanżował się baronowi.

— Czym?... Zebrzydowski zmrużył oczy.

— Oddam z wygranej i będę mógł pożyczyć. Dziś odegram się dużą sumą. Dzień mojej szansy!

„Pan” zdjął binokle przecierał je kawałkiem zamszu i patrzył na Wara roześmiany, oczami krótkowidza z miną satyra.

— Uuu!... współczuję!... Naśladował zupełnie ton i głos Wara.

— Co to znaczy, baronie?

— Nic, widzę tylko, że pan ma nadzieję szansy w grze, a to w karierze salonowego lwa dowodzi pewnej rezygnacji z innych szans.

Edward roześmiał się szczerze.

— Byłbym tylko godnym partnerem Corovicini'ego, który stale wygrywa. Ale mnie porażka taka nie grozi. Płynę en pleine chance.

Wychylił nowy kielich wina. Oczy błyszczały mu nienaturalnym blaskiem.

Wyszli do bocznego gabinetu i tam baron wręczył Zebrzydowskiemu żadaną sumę.

— Uważam to za dług honorowy. Dziś już za późno, zatem spłata do jutra najwyżej. Ufam panu.

— Dziękuję. Jutro pod słowem honoru. Uścisnęli sobie dłonie.

Zebrzydowski z nowym zapasem grubej gotówki usiadł do stolika.

— Płyniemy — rzucił obojętnie partnerowi. Corovicini uśmiechnął się złośliwie.

— Kotwica podniesiona. Oo! od razu taka stawka? Jesteśmy zatem na pełnym morzu!

Zaległa cisza.

Znowu dźwięk złota, znowu znamieny szelest poważnych banknotów, sino-popielata mgła dymu.

W pewnej chwili Zebrzydowski roześmiał się tak szczerze, jakby go coś najserdeczniej ubawiło.

Corovicini spojrzął na niego zdziwiony.

— Panika!... panika!... — zawołał Edward głośno i zaśmiał się znowu.

— Nie widzę tego u pana — rzekł Włoch.

— Bo panika miewa czasem nawet złote oblicze.

Zebrzydowski i Corovicini walczyli zapamiętałe osnuci chmurą dymu. Złoto barona w rękach Wara topniało. Edward opowiedział jakąś wesołą anegdotkę po czym zamyślił się i nagle zawołał głośno po polsku z akcentem:

— Kromiłów idziee!!

Włoch popatrzył na niego uważnie.

— Co to oznacza?

— Magiczne słowo, hrabio, oznacza wszystko i nic.

— Jakaś alfa i omega? Wybrałbym lepiej wszystko.

— W tym wypadku słowa te równoważą się. Wszystko zamyka w sobie jednocześnie słowo nic!

— Nie rozumiem! Czyli że osiągnięcie wszystkiego da w rezultacie zero?

— Pozostanie już zero?...

— Ach tak!!!

Humor Edwarda wzmagał się w miarę zmniejszania się pożyczonej od barona sumy. Późno było, gdy War ciągle żartując i szydząc z siebie i z innych i wciąż przegrywając, wygrał nareszcie dużą kwotę, nie wynoszącą wszakże połowy jego długu.

— Aa... Kółko fortuny!... zaśmiał się i nagle całą wygraną położył na stole.

Corovicini zbladł.

— Rzuca pan złoty most pod kółko fortuny? Niebezpiecznie i dla pana i dla mnie!

— Składam hołd jej łaskawemu uśmiechowi — odrzekł War. Ale brwi zadrżały mu jednak i zamrugały prędko powieki. Zaległa cisza jakaś znamienna, tchnąca niepokojem jaka bywa przed odczytaniem wyroku.

Corovicini przetarł dłońmi spocone czoło... W oczach miał ponury błysk.

Zebrzydowski spojrział na niego i wzruszył lekko ramionami. Wyraźny lęk Włocha rozśmieszył go.

Jeszcze jeden moment... jeszcze jeden... Zebrzydowski przegrał wszystko.

Gra była skończona.

War odrzucił karty i skłonił się drwiąco partnerowi.

— Zadowolony hrabia?... No, fortuna przygniotła pana furą złota... Nic dziwnego! Łata złotem swoje starożytne wdzięki.

Przechylił się na krześle i śmiał się długo, długo.

— Podziwiam pańską swobodę — rzekł Corovicini z wypogodzoną twarzą. Na dziś już dość. Rewanż pana zostawmy do jutra.

— Och, dziś nawet nie mam w tej chwili stawki... — zawołał War wesoło. Panika, co?

— Jutro pan o niej zapomni.

— Spodziewam się — odrzekł lekko. No, ale co robimy z resztą nocy? Pójdziemy do jakiej budy?

— Do „Folies Berger” — zaproponował ktoś z towarzystwa.

— Do „Moulin Rouge”.

— Czekajcie — krzyknął skrzywiwszy się potwornie baron „Pan” — znam jeden lokal, taki sobie, nieświatny, możliwy!... Ale kobiety...

Cmoknął lubieżnie.

— O... to to! — podchwycił Corovicini. Baron się zna. Ufamy.

— E, jeśli chodzi o klasycznego eksperta to tylko Zebrzydowski! War zaśmiał się nerwowo.

— Nie znam tego lokalu... ale idę. Baron kazał podać szampana.

— Wypijemy na cześć najpiękniejszej, którą Zebrzydowski oceni.

— Brawo! — zawołał War. Teraz na cześć wybranej przez barona.

— Brawo! Brawo! — nad tymi zaś dwoma — my urzadzimy sąd i wydamy wyrok.

Kielichy dzwięczały. Szampan musował. Ktoś zaczął grać, ktoś inny stojąc przy pianinie śpiewał trochę fałszywie. Zebrzydowski krzyknął na lokaja.

— Atrament i papier.

— Jest wszystko jak zwykle w zielonym gabinecie. Czy mam tu przynieść?

— Nie, idę tam!...

Wychylił kielich i zapalił cygaro.

— Panie Zebrzydowski, panie War, czas na nasz konkurs. Tam zacząną się teraz najlepsze numery. Już północ... — zawołał baron.

— Za chwilę! Możecie się panowie ubierać. Jestem gotowy! Wyszedł.

Przy pianinie podpity chór głosów śpiewał swawolne kuplety.

Baron chwając się trochę na nogach przeglądał butelki. Wreszcie ponalewał kielichy.

Panowie, jeszcze po jednym, na szczęśliwą drogę i dobrą zabawę? Słyszycie na ulicy wzmożony ruch. Ludziska jadą się pocieszać po kłopotach dnia.

Istotnie z ulicy dochodziły trzaski motorów i przeraźliwe głosy trąbek samochodowych.

— Panie Edwardzie, najwyższy czas, idziemy...

— Najwyższy czas! Idę! — odkrzyknął spoza drzwi głos Wara.

— Brawo, brawo! — wrzeszczał pijany Corovicini. Weszli do hallu.

Lokaje podawali palta.

— No, Zebrzydowski pewno pisze list miłosny.

Baron pchnął drzwi i wszedł do zielonego gabinetu wołając:

— Oczekiwanie zaostrza pragnienie, ale zbyt długie gasi je.

— Słusznie! a ja mam pragnienie! — huczał czyjś przepity głos. Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie. Baron stanął w nich biały na twarzy.

— Zastrzelił się! — krzyknął nieswoim głosem.

ROZDZIAŁ XIX

Dunajec Czarny huczał rozgłośnie, zbyrcząc po kamieniach płycin. Wywijał się z głębin leśnych kapryśny i rozpryskany. Ciskał na większe głązy białą pianę gniewu, że mu tamują pęd. Nabierał w siebie wód z bocznych strumieni i męźniał nie tracąc swej lekkiej i skocznej ruchliwości. Wody gonily się w mokrym poszumie, chrzęszcząc na żwirowych obrzeżach. Cienkimi źródelkami wżerały się łakomie w gruboziarnisty piasek jaśniejący szeroką orbitą poza kamienną ramą, która ograniczała rozigrane bałwany, zaborcze i głośnie. Wał wody unoszony żywiołem pędu niósł się tanecznie przez zieloną dolinę rozeslaną płasko u stóp czarnego boru smreków.

Z tej wesolej zieleni rzeka wpadała z łoskotem w ciemnie, pod cypel skalny, wzniesiony wiszarem nad samą wodą i najeżony gęstym zarostem kosodrzewiny, jeżyn i dzikich malin. Jagody nalane czerwonym winem sypały się tu zewsząd, ściągając ku sobie roje ptactwa wrzaskliwego.

Spoza chaszczów wyłoniła się postać Kasi biało ubranej. Stojąc na wiszarze patrzyła w dół na burzę rozpetanych wód. Napotykały one uparte przeszkody płytkiego dna. Tworzyły się wiry, wypryski pian, kręte jak zwijające się węże prądy rzeczne, hulaszczcze zamachy wy-chlustów.

Nagły zawrót popod wiszarem upokarzał od razu szalejącą falę.

Przyczajala się skupiona w sobie i kornie, miękkiem zgrabnym pierścieniem owijała cypel. Zatomowana z jednej strony prostopadłą skałą rozlewała się szerzej na łąkę gwałtownym rzutem niby odrzucona grzywa z czoła. I dalej parła naprzód pod naporem nadbiegających wód, czyniąc taką samą wrzawę, zamęt i zgiełk w innych już komyszach.

Kasia lubiła przedzierać się tu brzegiem urwiska, rwać soczyste dojrzałe maliny lub siadywać na cyplu skalnym, słuchając Dunajca. W Sławohorze odpoczywała duchowo. Zapadła w górach sadyba ludzka, podobna do gniazda sokolego napawała ją spokojem tak upragnionym. Zaprzyjaźniwszy się ze Strzeleckimi, Kasia bywała tu często i zawsze czuła się najlepiej. Po pierwszym niewypowiedzianym bolesnym oszołomieniu, spowodowanym wieścią żalobną, spadło na nią mnóstwo kłopotów i ciężarów. Krystyn Zahojski z Karolem Kmietowiczem jeździli do Paryża po zwłoki Zebrzydowskiego i uregulowali ostatni dług honorowy Edwarda, na wyraźne żądanie Kasi. Pragnęła ona oczyścić opinię męża w środowisku jego triumfów. Ale spłacenie olbrzymiej sumy baronowi, prócz innych długów, których jeszcze okazało się bardzo dużo — szarpnęło Kromiłów poważnie. Poszła na to połowa majątku i cały ogromny las.

Kromiłów został okrojony bez litości, ale honor Zebrzydowskiego ocalono.

Pani Beata Zebrzydowska, w swoim mieszkaniu w Krakowie o wiele mniej zmartwiła się samobójstwem syna, niż niepewnością własnej sytuacji. Ale dowiedziawszy się, że będzie pobierała nadal nieuszczuploną rentę z Kromiłowa, uspokoiła się od razu.

Hrabia August mówił:

— Herkulesowa baba! Z Kartaginy pochlebskiej przeszła na pobjowisko kromiłowskie bez drgnienia kabzy i powiek.

Kasia zaprowadziła w Kromiłowie konieczne i duże oszczędności. Żyła cicho, oddana smutnym rozmyślaniom i gospodarstwu. Po ukończeniu budowy gmachu we Lwowie, robiła nowe plany, tworzyła projekty architektoniczne, wykonując je z coraz większym powodzeniem. Była czynna. Energię życia wyładowywała w ciągłej pracy i żywotnej ruchliwości umysłu. Tomek uczył się doskonale i był jej wielką pociechą. Opinia artysty o pierwocinach rzeźb chłopca bardzo pochlebna i zachęcająca podnieciła Kasię do tym gorliwszego zajęcia się malcem. Ale z Mohyńskimi i bratem swoim miewała przykre spory o Tomka jak i o to, że nie słuchając ich namów nie chciała udzielać się w świecie, nie myśląc o powtórnym małżeństwie. Szczególnie Krystyn Zahojski był dotknięty jej uporem. On i Mohyńscy chcieli, aby Kasia wyszła za człowieka, który od dawna kochał ją i pragnął ją zdobyć. Młody hrabia starający się o jej rękę czuwał i otaczał ją nieustannie. Gdy minął czas obowiązujący na żałobę, Kasia była zaatakowana przez swoją rodzinę oraz rodzinę hrabiego, który oświadczył jej swoje zamiary.

Odmówiła stanowczo i jak jej się zdawało odparowała raz na zawsze wszelkie tego rodzaju zamysły.

Działo się to w początkach drugiej zimy po zgonie Wara. Kasia oblegana przez hrabiego i napastowana przez innych kandydatów do jej ręki udała się do Sławohory i tam dopiero odetchnęła lżej.

Razem ze Strzeleckimi polowali zawzięcie, jeździli na nartach odbywając niekiedy dalekie wycieczki. W Sławohorze Strzelecki urządził tory do saneczkowania, więc i ten sport uprawiano z zamiłowaniem podczas tej zimy niebywale mroźnej i śnieżnej.

Wszystko to przypominało Kasi St. Morice i Miirren w Szwajcarii, gdzie z Warem przebywała przez kilka miesięcy w pierwszym roku po ślubie.

Teraz był czerwiec. Drugie lato po zgonie Wara.

I oto teraz znowu Krystyn przyjechał po nią do Sławohory w celu skłonienia jej do małżeństwa.

Kasia po pierwszej rozmowie z bratem uciekła do swoich przyjaciół jak nazywała Dunajec i skalne wiszary ponad nim. Tu była sama tylko ze swoimi myślami. Cieszyła się, że jej tu nikt nie znajdzie. Wędrując po dzikich zboczach wśród sterczących skalnych odciosów, na stokach obrosłych kosodrzewiną, w puchach traw młodziutkich, natrafiła na przesłiczne gencjany. Szafirowe kielichy kwiatów usiały gęsto podnóże wyniosłego wiszaru. Kasia rwała je całą garścią schodząc w dół. Zatrzymała się na małym wzniesieniu, skąd widok był rozległy i piękny. Zielona łąka jak jeden olbrzymi płat liścia nenufaru podścielała się kornie pod masywy lasów, przecięta szaro-błękitną taśmą rzeki. W jednym miejscu rosła tam kępa drzew osłaniająca mostek rzucony nad wodą. Z daleka błyszcząły w słońcu, jak złote, dachy góralskiej wioski.

Kasia wydała okrzyk zdumienia.

Widok ten przypominał jej Zagórzany, z łączki nad rzeczką, gdzie była raz jeden w ów pamiętny dzień dla niej. Szczególny urok tego dnia wraził się jej głęboko w pamięć. Każdy szczegół z zagrody i domu Andrzeja, wszystkie zamienione z nim słowa, przyjaźń zawarta z Dadą Strzelecką i ten oberek szalony na trawie i wrażenie Andrzeja po jej figlarnym słówku, rzuconym w tańcu... i potem wieczór i niepojęty, trwożny niepokój, który na nią spadł nagle o północy przeczuciem grómu — wszystko to wryte było w duszy Kasi niezatartym wspomnieniem. A jeszcze bardziej uwypukliło się ono wówczas, gdy stwierdziła, że ów dzień nowy i przemiły dla niej, był ostatnim dniem Wara na ziemi. O dwunastej w nocy, wtedy gdy na nią spadł ten niesamowity lęk duszy i jakby kirem omroczył jej pogodę, War odebrał sobie życie.

Świadomość ta na długo stała się dla niej niesłusznym lecz gorzkim wyrzutem.

W pierwszych miesiącach po jego zgonie Kasia widziała go ciągle pośród graczy klubowych wytwornego jak zwykle, bez troski, ze swobodną brawurą rzucającego w hazard ostatnie stawki. Widziała go takim jak odmalował go baron, który był na jego pogrzebie w Krakowie. Słyszała jego ostatnie słowa powtórzone przez barona i czytała zachowany u siebie arkusz papieru zawierający tylko te słowa Wara po polsku:

„Panika... (przekreślone)... Kasiątko wybacz... (przekreślone)...
Najwyższy czas! Idę!”

Ostatnie słowa nie przekreślone napisane były trochę koślawo, widocznie w pośpiechu.

Baron wyjaśnił, że był to ostatni okrzyk Wara usłyszany spoza drzewi.

Kasia wyobraźnią dopełniła sobie reszty: lekko szyderczą twarz Wara, jego zacięte nerwowo usta i tę chwilę ostatnią, kiedy chciał coś napisać i nie mógł, bo palce drżały, zdolne już tylko do pociągnięcia cyngla. Ostatnie słowa powtórzone za tamtymi, padły już zapewne odruchowo na papier.

Przelotem myśli chybkiej, zbiegłszy ze wspomnienia łączki w Zagórzanach na tragiczne przeżycia, Kasia oderwała oczy od widoku rozciągniętego przed nią i jęła znowu rwać gencjany.

Smutne rozpamiętywania pierzchły. Ale myśl zahaczona o siedzibę Dęboszów zatrzymała się teraz na nim samym. Kasia nie widziała go od dawna. W Sławohorze parokrotnie minęli się ze sobą. Jeno korespondencja między nimi przerwana przez czas dłuższy po zgonie Edwarda, odnowiła się lecz była już nieco. odmienna niż przedtem. Wkrótce jednak stała się znowu dla Kasi konieczna. Łatwo nawiązali zwikłaną nić swojej przyjaźni. Pomimo pozornej tożsamości stosunek ich teraz zmienił się zasadniczo. Oto zanikła wśród nich dawna swoboda. Przedtem wszystko było jasne i przejrzyste, obecnie istniał jakiś cień, do którego podsuwali się niekiedy z pewnym lękiem, by nie wykazał kryjącej się w nim tajemnicy. Wynikało to stąd, że oboje posiadali zupełną świadomość swoich uczuć, lecz błędzili w tym zaczarowanym kole, głównie z powodu nadmiernej powściągliwości Kasi. Ile razy biegła myślą do Andrzeja po ukojenie duszy i zaczerpnięcie mocy w jego męskiej sile, zawsze wracała z tej myślowej wędrówki podniecona zupełnie inaczej niż mogła się spodziewać.

Ale uczucie to było nad wyraz drogie, którego się nie odpycha. Rzadkie i krótkie spotkania ich z sobą zaostrzały tylko wrażenie, wzmagając spotęgowaną tęsknotę. Dużym łącznikiem ich był Tomek. Andrzej interesował się nauką chłopca, odwiedzał go, wywierając na nim wpływ bardzo dodatni.

Chłopak uczył się nie we Lwowie, lecz razem z Wojtkiem Dęboszem w mieście prowincjonalnym. Był to projekt Andrzeja, przyjęty przez Kasię, ponieważ ułatwiał mu czuwanie nad chłopcem. Święta i pierwsze wakacje Tomek spędził częściowo w Kromiłowiu i Sławohorze z Kasią, po czym Strzelecki odwoził go na pewien czas do Zagórzan, co dla Tomka było również wielką uciechą. Obecnie już zaczynały się wakacje i to podniecało Kasię, gdyż spodziewała się, że Andrzej odwiezie Tomka do Sławohory.

Przypomniała sobie, że przed paru tygodniami żywiła także nadzieję ujrzenia Andrzeja w Sławohorze, gdzie była już od początku czerwca. Dębosz bawił wówczas na powszechnej wystawie krajowej w Poznaniu na czele dużej wycieczki gospodarzy wiejskich z Zagórzan i okolicy.

Kasia łudziła się, że on w drodze powrotnej zoczy w Beskidy nad Czarny Dunajec. Ale Andrzej, będąc kierownikiem oraz instruktorem wycieczki zwiedzał Wielkopolskę i razem z nią powrócił do domu, ograniczywszy się tylko do długiego i bardzo drogiego listu. Na wspomnienie zawodu jakiego wtedy doznała ciemny rumieniec okraślił jej twarz. Czyż i teraz odwiezie Tomka jak zwykle Strzelecki?

Kasia czyniła sobie wyrzuty, że pojechała wcześniej na wystawę zamiast razem z Andrzejem. Tomek miał być w Poznaniu ze szkołą, może jest tam obecnie?

Zdenerwowana zesłała prędko w dolinę nad poziom rzeki. Ujrzała się otoczona wałem wód spienionych, pędzących wartko jakby w gwałtownym gorączkowym pośpiechu. Naprzód, naprzód! W przestrzeń zwartych korytarzy czarnych puszczy, w ciemne gardziele skał, w płaskie połacie łąk zielonych byle dalej i dalej. Kasia stała na samym brzegu zbałwanionej rzeki, pod świerkiem podmytym tego przez zjadliwą falę. Korzenie drzewa wypłukane do cna wisiały nad wodą bezradnie, i były jak skurczone palce chwytające się rozpaczliwie zajadłej wody. Oplatały je wodorosty zielone, mszyste i lepkie. W jednym miejscu blisko zwieszanej łapy korzeni sterczał duży pień zwalonego ongiś drzewa. Brunatny kadłub okryty oślizgłą i twardą jak blacha korą, połyskliwą, operloną odpryskami śliny rzecznej, tamował bieg nurtu. Woda rozkiełznana

w swym pędzie napotykała przeszkodę, której nie mogła przeskoczyć, rzucała się na nią z wściekłością. Burzyła się przy kłodzie najeżoną czupryną pian i ciskała na pień syczące białe bryzgi. Rozpędzone wody opadały tu pluszcząc pod osadą kłodziszczą, jakby chytrze ułagodzone i chyłkiem, cicho okrążając złom wybiegały swobodnie na otwartą, zgiełkliwą przestrzeń, by znowu rozhukać się w zdobywczych przegonach z polotną wodą-siostrzycą. Warkot. gotującego się kipiątka rzeki, ryk pojedynczych zakosów zaborczej wody walącej w głązy na środku koryta, sprawiał wrażenie potęgi niezmożonej i nie ujętej w żadne okowy. Bystry Dunajec nie znosił oporu. Grzmiał dumny i rozhuśtany rozkoszą istnienia, w tych czarnych zagłuszach leśnych, wśród świerków olbrzymich i jedlin, wśród wieżyc skalnych, popod zamczyskami spiętrzonych nagich turni, pośród stromych kamieniołomów o czarnych głębokich żlebach, po piargach zsuniętych z wyżyn, bruzdami ostrych okrzosów aż do jego dostojnych stóp... Z miejsca swego poczęcia, z tej kolebki niebosiężnej rzeka pędziła niespożytą przemocą ku dalekiemu celowi. Niosła mu w darze siłę twórczą nie-spełaną i swoją niepodległość.

— To obraz Dębosza — szepnęła Kasia zapatrzona w Dunajec gorejącymi oczyma. — To obraz jego i jego współbraci. Niosą w przyszłość Polski dopływ swoich sił mocarnych, swój temperament, swój niezłomny hart i nieokiełznany pęd ku nowym widnokręgom, by żywotną swą potęgę zjednoczyć we wspólnym celu wielkiej idei narodowej. Nic i nikt nie powstrzyma żywiołu, który gnany rozmachem, wolą i instynktem dąży ku zdobyciom coraz nowych placówek. Jest zaborczy, jest szalony, ale jest żywy i prze naprzód organiczną koniecznością tworzenia nowych zastępów w nowym światobycie.

— Ten nurt to on, ten pęd to on i ten żywioł i to piękno — zawołała Kasia i wyciągnęła ramiona do rzeki. Ogarnęło ją nagle bezmierne pragnienie jakiegoś pędu, szału, jakiejś radości i krzyku. Poczowała swobodę swego istnienia, wolność dla własnych czynów. Zdało się jej, że ogarnęły ją silne ramiona, że wsparta na męskiej piersi pełnej mocy i hartu zwierza wszystko o sobie i razem bieży w ten nurt Dunajca rozhułany, groźny a taki nęcący. Dunajec ich porywa razem ku nowym szlakom.

Kasia sprężyła ramiona, jak gdyby objąć chciała całą rzekę wrzącą i namiętą w swój uścisk równie gorący jak rozigrane fale.

Nagle ktoś stanął tuż za nią. Drgnęła i odwróciła się gwałtownie.

Przed nią stał Krystyn Zahojski. Patrzył na nią z uśmiechem trochę łobuzerskim. W oczach piwnych młodego światowca paliły się żartobliwe iskry.

— Coś taka podniecona, Kasiu?

Słowa te i obecność brata niespodziewana i w takiej chwili były dla niej bryłą lodu. Ochłódła i zgasła od razu jak zdmuchnięta brutalnie pochodnia.

— Szukałem ciebie wszędzie — rzekł Krystyn, dostrzegłszy wrażenie swego pojawienia się. — Dopiero pani Dada naprowadziła mnie na ślad, zdradzając twoją kryjówkę. Ale z trudem dobrnąłem po tych tu wertepach. Wikliny, tarniny... kamienie, ruczaje i ta rozbijała górską rzeka, która zdaje się las z korzeniami wrywać, by go za sobą taszczyć. Trzeba być taką jak ty dziką kozicą, aby brodzić swobodnie po tych tarapatkach. No, Kasiu nie wiedziałem, że ciebie tak speszę. Nie masz tu chyba schadzki?

— Owszem, z Dunajcem! — odrzekła błysnąwszy wesoło oczami. Ochłoneła już zupełnie i była rada bratu.

— Czy może z jakim symbolem Dunajca — rzekł Krystyn powoli, wyjmując pieczołowicie kolec z palca.

— Może! — odrzekła swawolnie ubawiona trafnością uwagi. — Co, pokaleczyłeś sobie ręce, niezdaro? Poczekaj, wyratuję cię!

— Ano, widzisz? Tu jakieś bestialskie paździerze tamują człowiekowi przejście.

Kasia pochyliła się nad ręką brata a on patrzył na jej czoło jeszcze zarumienione przebytym wzburzeniem i na jej kasztanowato złote włosy, połyskliwe, z odcieniem starej miedzi, faliste.

— Aj, Kasiu, Kasiu!...

— Co, boli?

— Eh tam!... Jak ty marnujesz siebie, kobieto! Zamiast sobie i komuś dać szczęście i rozkosz do czego jesteś jakby stworzona, ty tymczasem...

— Zaczyna się piła, widzę.

— Moja droga, jestem twoim jedynym bratem i chcę twego szczęścia, twego dobra... a ty nie rozumiesz samej siebie.

— Och, aż nadto rozumiem i znam i dlatego proszę cię, Krzysiu, daj mi spokój!

— A ten twój wybuch przed chwilą?... ta jakaś jakby ekstaza czy... szal?

— To był zachwyt nad Dunajcem — uśmiechnęła się.

— Niech będzie i tak ale ja to inaczej tłumaczę. Nie chcę ci wyjaśniać, bo zresztą... sama wiesz! I pomyśleć, że twój upór dziecinny opóźnia ci tylko dnię szczęścia.

— Dziękuję ci za dnię! Ja chcę już teraz długotrwałego i prawdziwego szczęścia — wybuchnęła.

— O, to to rozumiem!

Ucałował siostrę, objął ją i okręcił dokoła siebie. Kasia śmiała się.

— Jeżeli nie będziesz nudził, to chodź ze mną pokażę ci wiszar nad Dunajcem. Moje ulubione miejsce w Sławohorze.

— Gdzie pewno rysujesz plany architektoniczne i freski na fasady gmachów — zażartował.

— Nie, tam nie rysuję — odrzekła trochę kapryśnie.

— Szczególne! Ty tu ukrywasz się przed światem i ludźmi a szczęście i to te prawdziwe, długotrwałe szczęście, czeka na ciebie w postaci hrabiego...

— Krzysiuchna, daj mi spokój! prosiłam...

— Ależ zlituj się dziecko, ja już teraz nie ustąpię! Muszę zawieźć hrabiemu konkretną odpowiedź.

— Bardzo łatwa i bardzo konkretna — nie — i basta! jak mówi wuj Gucio.

— Takiej nie powiozę.

— Innej nie otrzymasz!

— Kasiu, pomyśl sama, co ty najlepszego robisz?... Przecie i wuj August i ciocia Oktawia także są zdania, że to dla ciebie partia bardzo odpowiednia i bardzo trafna. Hrabia młody, przystojny, dżentelmen, który interesował się tobą od czasu, gdyś jeszcze była mężatką... który cierpiał nad twoją... biedą... i chciał cię ratować! Kocha ciebie już od czterech lat bardzo poważnie.

— Pozwalam mu nawet kochać mnie lekkomyślnie. Patrz, jaki tu wodospad...

— Poczekaj Kasiu, ty teraz nie zdajesz sobie sprawy z przyszłości. Ale przyjdzie chwila, że otrząsniesz się ostatecznie z tych ciężkich przeżyć, które ciebie zdeprawowały. Tak, przyznaję, były nadzwyczaj bolesne, ale to już za parę miesięcy będzie dwa lata, a powiedzmy trzy, od czasu jak żyjesz samotnie i w takim ciągłym przygnębieniu. Więc przyjdzie chwila, że kobiecość twoja odezwie się i wtedy powodowana jakimś nowym szalem...

— Aby nie to!... aby już nie szalem! — zawołała rzucając mu w twarz pękiem gencjan.

— No, więc przypuścimy tak czy inaczej, ale wyjdiesz i może nieodpowiednio... Podczas, gdy tu wszystko za hrabią przemawia. Nie można lekceważyć takiej partii i takiego człowieka jak ty to robisz. Wszyscy ci to samo wmawiają a ty nic! Rodzice chcą ciebie przecie wydać za jakiegoś cudzoziemca, a znowu Mohyński...

Kasia oburzyła się.

— Wszelkie swaty ubliżają mi i obrażają. Chciej to sobie zapamiętać, Krzysiu. Nie należę do tego rodzaju i typu wdów, które się swata, które to lubią i same się o to przymawiają.

— Ależ ty Kasiu za młoda jesteś jeszcze o wiele na to, aby cię swatano. — Ja ciebie nie swatam. Pragnę tylko twego szczęścia tak samo, jak rodzice i wujostwo. Kobieta dwudziestoosmioletnia twego typu i temperamentu nie może się skazać na pracę i tylko pracę oraz zaprzatanie sobie głowy i zakuwanie życia jakimiś Tomkami!

— Jeśli wyjdę za mąż to tylko wtedy, gdy sama pokocham, bez niczyjej interwencji. Nikt mi nie zdoła wmówić kogoś na męża — powtarzam to dla mnie wstrętne! Gdyby hrabia wiedział, że posiada moje uczucia miałby już i mnie jednocześnie. Bardzo go szanuję jako człowieka i uznaję jako partię, jeśli tego chcesz, ale nic ponadto i proszę ciebie ostrzeż go by się lepiej nie narażał. Zanadto go poważam by robić z niego fircyka. Mnie zaś nie zależy na asystach i staraniach się o mnie ludzi, którzy są mi obojętni.

Rzekłszy to stanęła na wiszarze i zamachnąwszy ramieniem zawołała do brata:

— Patrz Krzyśku co za widok!... czy nie lepiej podziwiać Dunajec niż prawić mi różne androny — przepraszam — pocałowała brata — i kłócić się w dodatku. Patrz, jak się woda mieni i lśni, jak łuska pstrąga, którego w sobie hoduje. A teraz patrz, tam jest zielona... a tam zupełnie lazuruwa. Patrz, jakie wiry przy tamtym głazie. Oblepił go mech wodny, i wygląda jak broda wodnika wysadzona nad powierzchnię... Patrz, a te dwa mniejsze głazy — to łapy.

— Powiedz mi Kasiu co ty...

— Znowu?

— Nie, tylko dlatego, gdy ciebie ujrzałem, byłaś taka podniecona nad tym Dunajcem?

— Kocham się w nim! — zawołała swawolnie i prędko zsunęła się z wiszaru.

Zanim się Krystyn obejrzał, już biała suknia Kasi błyszczała w słońcu przy samej wodzie.

Krystyn zeszedł za nią rozweselony, z gencjanami w rękach.

— Wodzisiz mnie po manowcach i jakoś unikasz niektórych pytań.

— Daj mi te kwiaty!

Krystyn oddał jej szafirowy pęk.

Kasia złączyła z nim swoje gencjany i nagle wbiegła po głazach siepanych falą dość daleko w rzekę.

— Co ty robisz? — krzyknął Zahojski przestraszony.

A Kasia rozłożyła szeroko ramiona i utrzymując równowagę na śliskim ogromnym kamieniu pośród huczącego nurtu, zapatrzona w jego chybkość, rzucała gencjany w wodę z obu rąk, uśmiechnięta, promienna, jaśniejąca słonecznie w swej bieli z szafirowymi pękami kwiatów, które spadały z jej szczodrych dłoni jak wianki ofiarne. Dunajec przyjmował ten dar kwiecisty miękkim uchwytem fal i niósł gencjany szumnym pędem w migotliwą odległość.

Krystyn patrzył z zapartym oddechem. Widział, że usta Kasi coś szepcą, lecz nie odgadywał słów.

ROZDZIAŁ XX

Wiekowe olbrzymy platany w Sławohorze szumiały poważnie wierchami swych niebotycznych koron. W ich cieniu obok ogromu siwych kolumn pni, na kamiennej ławce omszałej ze starości siedziała Kasia w towarzystwie Dady Strzeleckiej i Krystyna Zahojskiego. Opodał na rozległych trawnikach czteroletni Kubuś bawił się w konie z nieco starszym od siebie góralczykiem. Młodszy zaś chłopczyk liczący za-ledwo rok, tarzał się na usypanej umyślnie górcie wybielonego przez słońce piasku pod opieką niańki, typowej góralki.

Przed nimi wznosiły się stare ruiny dawnego dworzyszczca, dziś pełne szczerb, bruzd straszliwych, wyżłobionych przez czas, wydartych przez wichry halne, które tyle lat harując po wyżach Beskidów wgryzały się w te bezpieczeństwa mury, buszując swobodnie wskroś ich zgrzybiałych cielsk. Gdzieniegdzie większe wyrwy w ścianach ukazywały wnętrza komnat o starożytnej strukturze pełne wnęk, wykuszów porosłych pleśnią i mchem od wnikającej tu wilgoci z deszczów i nawałnic.

Dach nad częścią tylko murów wisiał kołpakiem, zapadły i obszarpany przez te same niszczące żywioły, które podczas długich lat opuszczenia miały wolny dostęp do świetnej ongi rezydencji. Ślady jeno pozostały z przeszłości na gmachu dawnej siedziby Hradec-Hradeckich, pradziadów i dziadów Teresy Pobożyny.

Sędziwy pałac w ruinie przechowywał jeszcze zapewne po swych korytarzach i komnatach echa strasznej nocy, pośród której ostatni z Hradec-Hradeckich, Krzysztof, po okrutnej zemście swojej, przeklinając to miejsce dla niego nieszczęsne uciekał z rodzinnej Sławohory, by dokonać ciężkiego żywota, w habicie pokutnika, pod nazwiskiem księdza Halmozena. Tę noc tragiczną pamiętały i platany stróżujące przy zwaliskach. Potem mijały długie miesiące i lata w opuszczeniu, które kruszyło pałac, w martwocie głuchej ciszy przerywanej jeno szturmami

burz i huraganów. Aż nadszedł moment, że mury walącego się grodziszczca i drzewa kolosy ujrzały jeszcze wnuczkę Krzysztofa Teresę z jej mężem, któremu danym było przez los ocalić Sławohorę od wieczystej już pustki i zapomnienia.

Szczęśliwi i młodzi patrzyli uroczyście na stare zabytki rodzinne, lecz posłuszni nakazowi testamentu dziada mieszkać pod tym dachem nie chcieli. Przeklęty był w ich rodzinie, mógł przynieść nieszczęście a oni pragnęli szczęścia.

I znowu Sławohora utonęła w ciszy i oczekiwaniu. I znowu zjawiała się tu para ludzi, młodych, obcych już, ale oni dopiero wnieśli tu życie, miłość i szczęście. Sławohora zakwitła na nowo, pokuta była skończona.

Zgodna, kochająca się rodzina wprowadziła gwar głosów i śmiechów dziecięcych, nie słyszanych tu od długich dziesiątków lat. Pogoda przedziwna jaśniała teraz znowu nad tą sadybą i słońce jakoś inaczej świeciło.

Bo oto z boku poszczerbionych rumowisk nowe uwito gniazdo Strzeleckich. Tu mury stały proste i jak gdyby triumfujące swoją młodością. Na ścianach znać było świeżą różowość cegieł mocno pospajanych warstwami cementu. Dach z blachy cynkowej błyszczał srebrzyście widny na całą okolicę. Uśmiechem tej nowej siedziby były prześliczne grona purpurowych kielichów clamantis, które pękami osypały młode ściany i zaborczością swych pnączy, bogactwem liści i kwiecica wspięły się aż pod strop dachu, wesołe, swawolne i kapryśne w swoich zarzutach pieściwych objęć. Zmurszałe szczątki dawnej świetności, przy skromnym a wdzięcznym gniazdku wyglądały na zgrzybiałego pradziada, którego podpięra najmłodszy prawnuczek uśmiechnięty jak majowy poranek. Pałac w ruinie odżył jakby na nowo, patrząc na te dziwy odrodzenia. Słyszał jeno tak samo daleki zgiełk Dunajca płynącego u stóp wyżyny pałacowej jak i za czasów swej najświetniejszej młodości, i patrzył na potężne platany, większe teraz i mocarniejsze, podniebne ale te same.

Uwagi takie uczyniła Kasia a poparł ją Krystyn.

— Na mnie Sławohora i ten archaiczny prapałac robi wrażenie walącego się w grtzy feudalizmu, przy zupełnie nowoczesnym przybyśzu o pogodnym uśmiechu. Przy tej ciężkiej zmurszałości to jedno skrzydło odnowione do rdzenia i takie jakieś wesołe porywa i cieszy.

— Masz rację, Krzysiu, to wrażenie sprawia młodzieńcza świeżość tego skrzydła. Coś tu ożyło, coś zakwitło.

— Ja wam powiem co — uśmiechnęła się Dada jasnym, dobrym uśmiechem — oto rodzina i szczęście!

Twarz Kasi spoważniała. Ogarnęło ją nagle wzruszenie. Krystyn wskazał ręką bawiące się dzieci.

— A oto owoce — rzekł figlarnie.

— Tak, i wiercie mi moi państwo kochani, że to wielkie piękno życia.

Krystyn spojrział ukradkiem na Kasię a ona rzekła drżącym nieco głosem:

— Przyznaję słuszność Dadzie, że rodzina to piękno życia, ale taka rodzina jak wasza, jak Pobogów, w które wniknął promień szczęścia. Wtedy

zupełnie inaczej patrzy się na świat, bo jest to ogromne ukochanie w duszy, jest ten promień ciepły i jasny, który ozłoci każdą chwilę i całe lata.

— Patrzcie się! — zawołał Krystyn — i tak oto mówi kobieta nowoczesna, samodzielna, która nie chce zakładać rodziny!...

— Ja nie chcę rodziny? Kto ci to powiedział?...

— Stwierdzasz dowodami. Nie chcesz słuchać o powtórny małżeństwie, więc nie odczuwasz w życiu swoim braku owego ciepła i jasnego promienia.

Kasia poczerwieniała wzburzona.

— Odczuwam bardziej niż sądzisz. To mało! pragnę szczęścia i rodziny, pragnę tego piękna całą organiczną istotą swoją, ale...

— Ale człowieka, który ci to zapewnić chce odpychasz. Że już pomijam względy materialne, których w obecnej twojej sytuacji zaniedbywać nie należy. Twój stan majątkowy dzisiejszy po... przejściu — że się tak wyrażę — Wara.

— Może zaniechamy tego tematu — przerwała sucho.

— Przepraszam! Teraz nie jest to co dawniej było, Kromiłów zrobił się Kromiówkiem, ale na tym nic a nic nie zależy temu, kto chce ofiarować ci dom swój, nazwisko...

— Lepszych, niż te, które noszę nie potrzebuję i nie otrzymam.

— Tytuł...

— Nie obchodzi mnie wcale! Miałaś słuszność, jestem nowoczesna i na te rzeczy obojętna. Zostawiam takie zachęty kobietom próżnym.

— Jest bardzo bogaty.

— Jakoś mnie to nie porywa...

— Człowiek pod każdym względem...

— Itd., itd. Nie powtarzaj się, Krzysiu, znam już to na pamięć. Zresztą walory takie posiada nie on jeden.

Krystyn rozłożył ramiona bezradnie. Dada śmiała się serdecznie.

— Ale on chce ci dać szczęście i założyć z tobą rodzinę.

— Nareszcie trafiłeś na to, co jest dla mnie najważniejszym. Tylko nie zgłębiasz dostatecznie treści owej rodziny. W takiej jedynie zajaśnieje szczęście i zakwitnie piękno, w której obie strony ożywione są jednakowym uczuciem i pragnieniem. Ale uczuciem głębokim i prawdziwym nie... szaleł. Powiedział mi to raz... ktoś...

Zająknęła się, dodała ciszej:

— I miał wielką, wielką rację.

Była chwila milczenia, w której każde z nich co innego myślało, lecz myśli te krążyły w niewielkiej od siebie odległości.

Mały Kubuś podbiegł do matki i wskoczył jej na kolana. Dada zaczęła go pieścić a Kasia nagle spojrzała na zegarek.

— Powinni już być, pociąg dawno przyszedł!

— Gdzie tatuś? — spytał chłopczyzna.

— Tatuś pojechał samochodem po gości na stację — odrzekła Dada i zwróciła się do Kasi.

— Skoro pan Andrzej był teraz znowu z chłopcami w Poznaniu, to zapewne i Wojtek Dębosz jedzie do nas, bo skądże trzy osoby jak podaje telegram.

— Może jedzie Pobóg?

— Wątpię, byli już w Poznaniu a teraz są w Krażu.

— Dla Wojtka nie telegrafowałyby w ten sposób. Ale za chwilę porwali się wszyscy z ławki.

— Podjeżdżają! — krzyknęła Kasia z krwawym rumieńcem na twarzy.

Zahojski bystro spojrzał na nią, potem na Dadę, która uśmiechnęła się i ni z tego ni z owego ucałowała Kasię. Krystyn zrobił wielkie oczy.

— Chodźmy! — zawołała Dada. — Już są!

Wtem spoza węgła odnowionego skrzydła gmachu wypadł Tomek i z rozwianą jasną czuprynką biegł jak szalony do Kasi. Dopadł do niej i chwycił jej ręce, rozczzerwieniony, radosny, całował je, śmiejąc się z uciechy.

— Tomek, kto z wami przyjechał jeszcze?

— Jakiś zagraniczny pan, nie wiem kto.

— Zagraniczny?

— Tak jest, panowie poprowadzili go do mieszkania. Oj, jaka piękna wystawa, jaka piękna! Aż nie wiadomo było na co patrzeć.

Tomek unosił się w zachwytach a Kasia spoglądała na dom, gdzie Dada znikła i Krystyn. Lecz za chwilę na bocznej werandzie pośród listowia pnączy zamajaczyła wysoka postać męska. Kasi zabrakło tchu w piersiach.

Dębosz zbiegł prędko ze schodów. Tomek skoczył do niego i zaraz rzucił się znowu w drugą stronę ujrzawszy dzieci.

Kasia i Andrzej powitali się w milczeniu. Jego ciemna głowa była długo pochylona nisko przy jej dłoniach, które drżały zbyt wyraźnie.

— Kto z... panem przyjechał? — spytała, patrząc mu jasno w oczy.

— A... to cała historia!

Uśmiechnął się, hamując wrażenie jakie wywarło na nim przywitanie Kasi.

— O, właśnie idą panowie!

Prawie rad był, że może rozmawiać z nią w tej chwili o czymś innym.

Strzelecki, Krystyn i jakiś obcy jegomość zbliżali się istotnie. Dębosz odsunął się parę kroków, by ochłonać. Kasia zapanowała także nad sobą. Patrzyła ze zdumieniem na cudzoziemca. Średniego wzrostu, chudy, prosty i nieco sztywny, głowę miał bardzo typową. Czaszka pokryta przeredzonymi włosami lekko siwiejącymi, które oblepiały gładko ciemną i boki głowy. Twarz wąska koloru kości słoniowej, szczupła i gładka, miała po bokach spływające do uszów bokobrody zaledwo szpakowate. Wąsy wygolone, nos suchy i pod wysokim czołem głęboko osadzone oczy, ocienione krzaczastą brwią. Miał okulary w szyldkretowej oprawie założone zwyczajnie za uszy. Ubrany w czarny, długi surdut wyglądał surowo. Rękę lewą miał zasuniętą w zanadrze zapiętego szczelnie surduta.

Zbliżając się do Kasi patrzyli na nią ciekawie.

Strzelecki przedstawił gościa.

— Profesor Bernard de Rosse. Uścisnął krótko rękę Kasi.

Zaprosiła go na ławkę kamienną, nie rozumiejąc, skąd on i co oznacza ta wizyta. Ale de Rosse zapatrzył się na platany z takim zdziwieniem, że o wszystkim i o obecnych zapomniał. Wzrok podnosił coraz wyżej i wyżej, odstępując co krok dalej i zadzierając głowę w górę, na żylastej szyi. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, zachwyt odmalował się na twarzy. Staął oddalony o kilka kroków i spojrzał na obecnych.

— To są platany? — rzekł po francusku. — Cuda, cuda! Nic podobnego nie widziałem!!

Nagle obejrzał się i zobaczył ruiny w całej okazałości z tym skrzydłem mieszkania Strzeleckich, ręce złożył jak do modlitwy.

— Dziwy! same dziwy spotykam w tym kraju. Niezwykłe okazy starożytności i nowe, młode talenty. To bardzo ciekawe!...

Zwrócił się do Kasi.

— Dokończę mojej prezentacji. Jestem Belgiem. Z zamiłowania archeolog, przy tym miłośnik zapalony i profesor sztuki. Poświęciłem dla niej życie.

Usiadł na wskazanym sobie miejscu, złożył splecione dłonie na kolanach i mówił powoli:

— Nie zaniedbam nigdy żadnej okazji gdy mogę przysłużyć się sztuce. Jestem jej fanatykiem i zapewne dlatego, że ją ubóstwiałam pozwala mi ona składać na swym ołtarzu coraz nowe hołdy. Odnajdę zawsze, odgadnę a nawet przeczuję jej wybrańców. W Poznaniu znowu dokonałem jednego takiego odkrycia.

Spojrzał przenikliwie w oczy Kasi.

— Opowiem pani jak to było. Otóż w pałacu sztuki zwrócił moją uwagę chłopiec może najwyżej piętnastoletni, który z tłumem chłopców ze szkoły zwiedzał sale...

— Tomek! — zawołała Kasia cała w ogniach. Profesor lekko drgnął.

Kasia rzuciła spojrzenie szybkie na Dębosza, on skinął głową i uśmiechnął się.

Profesor mówił dalej spokojnie.

— A zwrócił moją uwagę dlatego, że w wyrazie jego twarzy było to coś, co tylko wybraniec sztuki mieć może a jej fanatyk odczuć potrafi. Inni chłopcy przebiegali sale, on szedł jakby we śnie, jak w ekstazie. Popychali go, ciągnęli za sobą, widocznie żartowano z niego. Ale on uparcie zostawał i chował się przed nimi. Gdy patrzył na rzeźby, na obrazy był w nim ktoś inny. Człowiek, nie odczuwający go, myślałby może, że to dziecko niezupełnie normalne. Zapytałem, co go tu najbardziej zachwyca? Nie zrozumiał mnie, zmieszał się i straciłem go z oczu. Lecz ani przez chwilę nie przypuszczałem, aby był istotnie nienormalny. Śledziłem tę szkołę, ale zawsze mi ginął. Nareszcie niespodziewanie znalazłem go znowu. Siedział na ławce na wprost fontanny. Skulony rysował coś na kartonie. Obserwowałem go z daleka. Gdy ktoś podchodził blisko do niego i patrzył zatrzymując się, chłopiec wyjmował drugi karton ze spodu rysując na nim. Gdy ten ktoś odchodził, karton szedł na spód i znowu zaczynała się praca. Zaryzykowałem... Podszedłszy usiadłem obok niego. Manewr poprzedni powtórzył się, ale ja udałem, że zajmuje mnie gazeta, którą umyślnie rozłożyłem. On zaś po chwili powrócił do dużego kartonu.

Moją już było rzeczą dojrzeć, co rysował. Otóż na mniejszym owym jawnym kartonie była świetnie odrysowana kredką fontanna. Woda spadająca obficie z dołu do góry i vice versa była w ujęciu i wykonaniu niezrównana. To mijanie się tryskających pióropuszków wody odtworzone znakomicie. Ale byłem ciekawy drugiego ukrywanego kartonu. Ujrzałem go wreszcie.

Profesor umilkł. Poglądził bokobrody, odetchnął głęboko i mówił wśród ogólnej ciszy.

— Mam go u siebie w tece. Przeszedł już przez wiele rąk. Wracam do rzeczy. Otóż przezwyciężyłem nieśmiałość i skromność chłopca. To już jest odczucie się wzajemne. Na nieszczęście nie mogliśmy się porozumieć językowo. Ale rysunek nie potrzebował tłumaczenia. Rozmawialiśmy tedy na migi. Chłopak jest bardzo miły i wdzięczny, wcale nie taki dziki za jakiego mógłby się wydawać. Przy tym inteligentny i nadzwyczaj wrażliwy.

Rozmawialiśmy z sobą wybornie bez słów. Nadszedł opiekun jego, tu obecny pan Debosz.

Sklonił głową w stronę Andrzeja.

— Poznaliśmy się... i dowiedziałem się o... Thomek Kotczewa wszystkich szczegółów, które mnie po prostu zdumiały... i... i olśniły.

Profesor złożył znowu ręce na piersiach jak do modlitwy. Mówił poważnie patrząc w oczy Kasi płonącymi źrenicami.

— Pani! Thomek to olbrzymi talent, talent twórczy, genialny! Pani! ja się na tym znam, ja się nie mylę nigdy, nigdy! Thomek to jeden z tych, którzy pojawiają się bardzo rzadko i których przyszłość należy do świata. To dziecko sztuki, umiłowane jej dziecko! Pani znalazła ten diament i wydostała go z szarych pokładów w jakich się znajdował. Pani go doceniła i odczuła. Ale trzeba go szlifować, by świetnym zabłysnął brylantem. Dlatego mam wielką, gorącą prośbę. Proszę mnie powierzyć kierunek nad tym dzieckiem sztuki. Ja go będę kształcił, będę czuwał nad nim, bo to moje posłannictwo, to jedyny cel mego życia. Oddajcie mnie państwo w opiekę tego małego artystę, jak o łaskę proszę o to!

Schylił się i ucałował rękę Kasi niemal z nabożeństwem. Ona miała w oczach łzy wzruszenia i szalonej podniety. Wszyscy byli pod wrażeniem bardzo silnym. I jakaś cisza zaległa uroczysta jakby tchnienie sztuki rzuciło na tę grupę ludzi święty czar.

Dębosz blady, poruszony do głębi duszy stanął teraz obok Kasi, która była niesłychanie wzburzona.

— Ależ cóż przedstawiał rysunek Tomka, że pana profesora usposobił względem niego tak... gorąco? — spytał nagle Zahojski.

— Rysunek?... Pokażę go państwu. Widziałem i jego rzeźby z gliny. Pan Debosz był tak uprzejmy, że zaprosił mnie do siebie, gdzie mieszkał z małym artystą. Przy mnie chłopak odmodelował w glinie swój rysunek. W moich oczach powstało od razu parę drobnych ale świetnych rzeczy. Mnie nie potrzeba wielkich dzieł, aby odróżnić artyzm od dyletanctwa. Wystarcza samo wzięcie się do rzeczy, samo odczucie sztuki, jej stygmat, który od razu uderza nawet w drobnostkach.

Profesor palcami chudej ręki stukał się w czoło i mówił:

— Ja to czuję od razu, poznam od razu, jakby głos sztuki wołał we mnie — oto ten! jakbym jej błogosławioną dłoń widział na skroni wybrańca... A rysunek? Zaraz, zaraz...

Powstał gorączkowo. Dębosz go powstrzymał.

— Pan profesor pozwoli, ja tękę przyniosę. I poszedł.

Zahojski patrzył pilnie na Andrzeja, idącego w stronę werandy. Teraz obchodziła go o wiele więcej zagadka — od której rozwiązania był już bardzo blisko — niż wszystko inne.

De Rosse gładził ręką popielate swe bokobrody i powtarzał w zapamiętaniu.

— Tak, tak, tak!... Ja tego chłopca nie wypuszczę z ręki, uważałbym to sobie za grzech, za zbrodnię. Byli ze mną w Poznaniu artyści, mecenasi sztuki, moi przyjaciele, pokazałem im te próby chłopca gęsiarka, który dwa lata dopiero jest pod innymi wpływami i w innym środowisku. Nie chcieli wierzyć, że to możliwe. Przekonali się, bo i oni wiedzą, że spojrzenie boskich oczów Sztuki pada niekiedy na wybrańca ukrytego w szarym tłumie najskromniejszych warstw narodu.

Dębosz przyniósł tekę. Profesor otworzył ją z pośpiechem, wydobył spory arkusz tektury owinięty starannie w bibułki. Wszyscy pochylili się nad nim ciekawie.

Kredkowy rysunek rzucony był śmiało z brawurą i fantazją i to najpierw uderzało. Przedstawiał też pomysł fantastyczny: walkę grzywiastego lwa z jakąś hydrą o ludzkiej szyderczej i złej twarzy, osadzonej na korpusie przypominającym pokręcone konary jakiegoś drzewaczy korzeni zwikłanych, z których mnóstwo macek ruchomych, niby węże, owijało nogi lwa, zapadało na jego grzbiet, chwytając go podstępnie i czyhając tymi pętami na każdy jego ruch. Zwierzę w szale walki straszliwej z najeżoną grzywą, w rozpaczliwych rzutach nóg, w rozwartej paszczy i w konwulsyjnych skurczach brzucha miało w sobie plastykę męki i śmiertelnej trwogi. Hydra oplatająca go z chytrym okrucieństwem była odczuta wybornie.

— Pomysł powstał przed klatką lwa w zoologicznym ogrodzie — rzekł profesor — tak mnie poinformował sam malec.

— Walka lwa z wyobrażeniem niewoli — dodał Dębosz. — Tomka oderwać było trudno od klatek, użalał się nad niedolą zwierząt pozbawionych wolności i to tego samego dnia wyraził w swoim rysunku.

— Są tu naturalnie jeszcze duże usterki techniczne w wykonaniu — mówił profesor — ale ten śmiały rzut, ta plastyka a zresztą sam pomysł i wyobraźnia, dająca tej marze niewoli wyraz najpełniejszy, to jest aryzm, to talent wielki i bezsprzeczny. Oczywiście jeszcze w zątku.

— Nigdy bym nie uwierzył, że to jego robota i jego pomysł — rzekł Zahojski.

— Profesor mówił, że on to wykonał w glinie, jakże to wyszło? — spytała Kasia.

— Słabiej nieco, niż w rysunku, bo był onieśmielony moim zaciekawieniem, ale jednak jak na początkującego znakomicie. Rzeźbę zabrał tymczasowo mój przyjaciel.

Profesor pokazał drugi karton.

— A to fontanna. Proszę zwrócić uwagę na odtworzenie wytrysków wody. To oczywiście nie nadaje się do rzeźby, ale ta woda jest wprost bajecznie zrobiona. .

— Takich rysunków z wystawy Tomek posiada mnóstwo, przywiózł je dla pani. Dla mojej matki, która była także ze mną i z Wojtkiem w Poznaniu, zrobił z gliny chłopca roznoszącego lody.

— Widziałem to, wyborne! — zawołał profesor. — Pani odnalazła prawdziwy i twórczy, ogromny talent! To pani zasługa i za to składam jej moją cześć. Lecz teraz na mnie kolej, by dokończyć dzieła, które musi stać na wysokości swego zadania. Jestem człowiekiem, na szczęście bardzo zamożnym, nic więcej w życiu nie mam, prócz sztuki i archeologii, to moje dwa umiłowania jedyne.

Profesor przedstawił Kasi swoje curriculum vitae i ponowił prośbę o oddanie mu Tomka pod wyłączną opiekę.

— Mieszkam stale w Bernie. Chłopak będzie się tam uczył i kształcił w językach. A już o jego duchową, moralną istotę może pani być zupełnie spokojna, tak samo jak i pewna jego świetnej kariery artystycznej, za którą odpowiadam przed Sztuką, to najświętsza odpowiedzialność moja i najdroższy obowiązek.

— Ależ panie profesorze! — zawołała Kasia wstrząśnięta i przerażona — jakże ja tak mogę powierzyć... Uznaję w zupełności poważne stanowisko pana względem Tomka. Jestem szczerze wzruszona zamiarami profesora, ale... ale... wszak ten dzieciak to już jedyny mój cel w życiu... jedyna ozdoba...

— Jedyne cel pani życia, pani życia? powtarzam — zawołał profesor zdumiony. — Przepraszam panią i pani wybaczy, ale ja w to nie mogę uwierzyć. Pani taka bardzo młoda? Wiem, że jest pani wdową, lecz ma pani cel już teraz, oto architektura. Słyszałem od pana Debosza, że pani poświęca się jej z zamiłowaniem. A zresztą przed panią całe życie, szczęście, rodzina własna, obowiązki najbardziej osobiste, przy społecznych pracach w swoim pięknym zawodzie. I dla pani jedynym celem mógłby być Thomek?... Nie! to tylko tak się pani teraz zdaje.

— Jakiś mądry człowiek — mruknął Krystyn, patrząc na Kasię. Ona uśmiechnęła się.

— Przepowiada mi pan to wszystko, czego ja dla siebie samej nie widzę w życiu.

Dębosz nagle wyprostował się jakoś, przybladł i wolno odszedł dalej. Zahojski śledził go ciekawie.

— Teraz pani tak sądzi mylnie — zawołał profesor — ale to jest przed panią bliskie i konieczne w życiu.

Mówił jeszcze lecz odsunięcie się nagle Andrzeja zmieszało Kasię i już słuchała profesora niedbale.

— Wreszcie powiem pani, że dotychczasowe postępowanie jej z Thomkiem zaprzecza temu egoizmowi, jaki wykazałaby pani broniąc chłopcu osiągnięcie szerszych zakresów nauki i rozwoju jego talentu. Pani powodowana uczuciem dla swego pupila, nie chce rozstania z nim, to zrozumiałe, ale po rozwadze...

Tu już Dada Strzelecka wmieszała się do rozmowy, prosząc o odłożenie narady na potem, gdyż obiad był na stole.

Temat jednakże tak bardzo zainteresował wszystkich, że przez ciąg obiadu i potem nie przestano mówić wyłącznie o nim.

Narady trwały. Wracano do nich podczas zwiedzania ruin, podczas spaceru nad Dunajec i w ciągu całego wieczoru.

Dębosz zapytany wręcz przez Kasię o zdanie, odpowiedział nieco szorstko:

Popieram w tym wypadku projekt profesora. Chłopakowi nie można tamować przyszłości, o ile ma ją przed sobą i tak świetną, jak profesor zapewnia. Pani dla Tomka jest ręką opatrzności, która odnalazła go i wydobyła na widownię, oceniając jak należy jego talent i żywiąc co do niego jak najlepsze zamiary. Lecz profesor ma słuszość. Przed panią są jeszcze inne obowiązki życia, inne piękno i uczucia. Wiem, że nawet wtedy nie zachwiałyby się pani i nie osłabła względem Tomka... Zbyt silny ma pani charakter i wolę... Ale... jestem szczery — na kierownika dla chłopca, by ten diament — jak profesor mówił — oszlifować na brylant i zrobić z niego naprawdę artystę o wysokim poziomie poczucia sztuki i wykończenia jego talentu, uważam tylko profesora, jako znowu opatrznościowego opiekuna dla chłopca.

De Rosse powstał szybko i położył obie ręce na ramionach Andrzeja.

— Dzielny z pana człowiek, panie Debosz. Wiem, że pan ma dla tego malca sentyment serdeczny, zdołałem to wyczuć w Poznaniu. Powoduje się pan jednakże męskim zrozumieniem sprawy. Mam wrażenie, że zdanie pańskie przeważy i zdecyduje.

Purpurą okryła się twarz Andrzeja.

— Główną opiekunką Tomka jest pani i od pani zależy, wszystko — rzekł skłaniając głowę w stronę Kasi.

Profesor do niej teraz wyciągnął ręce. Mocno uściśnął podane sobie dłonie.

— A więc... droga pani?...

Kasia patrzyła z uśmiechem na Andrzeja, mówiąc:

— Są wśród nas siły i talenty ukryte jak cenne minerały w ziemi, ale rzadko kiedy szczęśliwy kilof losu wydobędzie je na jaw, lecz i wtedy nie zawsze dadzą się one oszlifować tak, by wydały z siebie istotny swój blask i wykazały wartość swej treści...

— Tak droga pani, tak — powtarzał profesor kiwając głową i niezupełnie rozumiejąc co oznaczają te słowa w jej ustach.

— Tak powiedział mi kiedyś pan Andrzej — rzekła Kasia. — Zgadłeś dobrze, profesorze, że zdanie jego przeważy i zdecyduje. Zgadzam się na powierzenie Tomka panu profesorowi ale z warunkiem.

— Przyjmuję wszystkie — zawołał radośnie.

— Pierwszy, że pan profesor przebędzie jeszcze z nami przez czas dłuższy w ciągu wakacji. Zapraszam pana do siebie na całe lato.

— O, co to, to nie! — zawołał Dębosz rozpromieniony — bo i moją skromną siedzibę pan profesor raczy odwiedzić.

— Nastąpi to wtedy dopiero zanim my wypuścimy profesora i was ze Sławohory — zawołałi razem Strzeleccy.

De Rosse był rozrzewniony.

— Przy wszystkich dziwach, jakie tu spotykam, nie widziałem jeszcze tak gościnnych ludzi! Przyjmuję te warunki z radością, dokąd tylko będę mógł pozostawać na moim urlopie, który sam sobie udzieliłem od obowiązków dla sztuki.

— Tu są także obowiązki dla sztuki, profesorze. Trzeba poznać, zjednać sobie tego małego, dzikiego trochę artystę. Drugi warunek również konieczny: to kwestia finansowa, która będzie nadal moim obowiązkiem.

— A nie, nie! na to się stanowczo nie zgadzam!

— Przyjął pan jednakże wszystkie moje warunki z góry.

— Nie pani, ten wyłączam bezwarunkowo!

— Sprawa do omówienia po wakacjach — machnął ręką Strzelecki.

— Jeszcze jeden warunek — zawołał de Rosse — jeśli go nie odgaduję to go sam podaję. Że państwo oboje — zwrócił się do Kasi i Andrzeja — odwieżą do mnie Thomka. Rozpatrzą się państwo dobrze w warunkach, w jakich zostawią swego pupila. Chcę abyście państwo nie mieli żadnych

wątpliwości, że powierzacie go w ręce uczciwe, pewne no i... nieco znane pośród mecenasów sztuki... co mam nadzieję uspokoi was w zupełności.

Kasia i Dębosz słuchając profesora i jego zwrotów do nich w liczbie mnogiej mienili się na twarzy.

— Z największą przyjemnością — odrzekła Kasia. — To był istotnie ów trzeci mój warunek. Profesor trafnie go odgadł.

Zapanowała bardzo miła i serdeczna harmonia, wśród zebranych gości. Ale Tomkowi na razie nic nie mówiono. Dopiero na drugi dzień rano Kasia zabrała go na swój zwykły spacer nad Dunajec i tam, na wiszarze skalnym wyjawiała mu cel przybycia profesora oraz postanowienie swoje co do jego wyjazdu do Szwajcarii. Nie zaznaczała zbyt oceny jego talentu dokonanej przez profesora, mówiła tylko o koniecznej pracy i rozwijaniu zdolności, które posiadał.

Wiadomość ta zrobiła na chłopcu ogromne wrażenie. Ale pierwszą myślą i troską jego było, że będzie musiał rozstać się z nią i z Andrzejem. Łzy spływały z jego oczów, objął kolana Kasi, całował je płacząc.

— Jakże to będzie, jak ja bez pani mojej najdroższej będę żył!... Siedzieli na wiszarze, wśród dzikich malin i szafirowych gencjan.

Dunajec huczał pod nimi.

Kasia całowała czoło Tomka sama wzruszona do łez...

— No, jeszcze to nie zaraz, jeszcze całe wakacje będziemy razem... a potem będziemy ciebie odwiedzali, będziesz do nas przyjeżdżał...

Przemawiała do niego pieściwie, jak do kochanego już bardzo dziecka.

Tomek słuchał i łzy ocierał. Wtem krzyknął, zrywając się z kolan:

— Pan Andrzej!

Kasia podniosła się prędko patrząc dokoła...

— Tu, przy Dunajcu, na koniu! — zawołał Tomek.

Nisko nad samą rzeką Dębosz stał istotnie konno i kłaniał się im czapką. Koń pod nim tańczył młyńca i rzucał się płoszony zgiełkiem rzeki, której wartkie wody obmywały mu kopyta.

— Proszę do nas! Ale jak pan tu dojedzie? — zawołała Kasia nabrzmiałym radością głosem.

Andrzej odsądził się od rzeki, zbaczając spod stromej skały pod obłą wzgórze, łączące się z wiszarem. Po czym rozpędził konia i jednym potężnym susem przesadził wąską w tym miejscu wodę. Zadudniły ostro kopyta na skalistym podłożu wzgórza i w mgnieniu oka z gąszczów kosodrzewiny wypadł jeździec prosto na Kasię i Tomka. Koń miał chrapy rozdrżane, popłoch w oczach.

Dębosz zeskoczył, powitał Kasię. Wziął Tomka za ramię i rzekł wesoło:

— No Tomuś!... Ale... co to?... — zapytał. — Masz łzy w oczach?...

— Powiedziałałam mu już wszystko i tak się oto rozrzewnił.

— Wstyd! Chłopak jesteś i mazgaisz się? — zgromił go z udanym gniewem. Odszedł na krok, by przywiązać konia do sosny.

Tomek zmieszał się. Wtem zarzucił ręce na szyję Dębosza.

— Ale i pan będzie przyjeżdżał do tej Szwajcarii, razem z panią, prawda?

— Zawsze razem, zawsze! — powtórzył Andrzej wnikając w oczy Kasi wymownie i pytająco.

— Zawsze razem — powtórzyła drżącymi ustami.

— Jak to dobrze! O, jak to dobrze! — ucieszył się chłopak podskakując i klaszcząc w dłonie. Nie wiedział, co ze sobą zrobić z radości.

— Jaki ja szczęśliwy, och, jaki ja szczęśliwy!... Już chyba nie ma na świecie szczęśliwszego jak ja chłopca!

Rozejrzał się dokoła jakby szukając jakiegoś ujścia dla swej roz-bujanej fantazji. Nagle dopadł konia, odplątał mu uzdę, pociągnął go za sobą.

— Tomek, tu niebezpiecznie — krzyknęła Kasia. Andrzej uśmiechnął się do niej.

— Ależ on jeździ zupełnie dobrze i śmiało. Chłopak wskoczył na siodło.

Andrzej zawołał:

— Jedź w stronę lasu przez płaskie wzgórze, omijaj rzekę, żeby ci się nie spłoszył!...

— Nie, nie! — odkrzyknął Tomek i pokłusował znikając za krzakami malin.

Oni oboje spojrzeli na siebie. Andrzej wyciągnął do niej rękę.

— Zawsze razem?!...

W oczach jej był jasny i szczery płomień, gdy odpowiedziała:

— Tak.

Z głuchym okrzykiem szczęścia zamknął ją w swych ramionach. Po długiej chwili pierwszego spojenia ich ust Andrzej przygarnął jej głowę do piersi i szepnął cicho:

— A mówiłaś wczoraj, że tego nie widzisz dla siebie w życiu?

— I mówiłam, że jedyną ozdobą mego życia jest Tomek. Wybacz, zadałam kłam samej sobie.

Wtem usłyszeli głos Tomka.

— Proszę państwa, jak się nazywają te kwiaty?

Podbiegł prędko trzymając konia za uzdę i pokazywał z daleka dwa szkarłatne kielichy kwiatów. Ujrzawszy Kasię w ramionach Dębosza, stanął oniemiały, bezradnie, pociągany przez szarpające się konia.

— Przywiąż go przywiąż do drzewa i chodź tu do nas — zawołał Dębosz wesoło, głosem jeszcze wzburzonym.

Tomek prędko spełnił polecenie. Zbliżał się patrząc na nich szeroko otwartymi oczami.

Andrzej pochylił się do niego.

— Ucałuj nas teraz razem, Tomek. Pani będzie moją żoną i już będziemy naprawdę razem.

Chłopak z okrzykiem szalonej radości rzucił się na szyję obojga, łącząc ich w jednym uścisku i wołał zdyszany:

— To i w tej Szwajcarii będziemy także razem?...

— Nie, tam odwiedzimy ciebie od czasu do czasu. Ale ty będziesz już teraz do naszego domu przyjeżdżał — rzekł Dębosz patrząc na Kasie wzrokiem, w którym był cały ogrom szczęścia.

— Do naszego domu — powtórzyła z uczuciem i pochyliła się nad Tomkiem jak matka.

— Ach ty, drogi nasz artysto!...

RS

RS